

JOAN SMITH

**NIE DLA DAMY**

# Rozdział 1

To chyba jakaś pomyłka! - powiedziałam do panny Thackery, gdy nasz powóz wyjechał z przyzwoitych okolic Piccadilly w nie cieszącą się dobrą sławą dzielnicę ruder, Long Acre.

Nie odważyłam się jednak pociągnąć za linkę, żeby John Groom się zatrzymał. Zapadał zmierzch i na rogach ulic gromadziły się grupki bandytów i złodziejasków, rzucając łakome spojrzenia na nasz pojazd.

- Nie tak to sobie wyobrażałam - odpowiedziała panna Thackery, zerkając ze zdumieniem przez okno.

Gdy skręciliśmy za róg, rozległ się wystrzał i dwoje czy troje włóczęgów przykucnęło. John Groom popędził konie i przez następne dziesięć minut rzucało nami o ściany powozu. Nawet pannę Thackery opuściło zwykłe opanowanie, aja umierałam ze strachu.

Papa ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwami Londynu, ale ponieważ jest tylko prowincjonalnym duchownym, który sam nie był w Londynie od ponad dwudziestu lat, nie zwracałam na to większej uwagi. Kiedy ciotka Thalassa, siostra mojej zmarłej matki, zostawiła mi w spadku dom w Londynie, sądziłam, że nastął kres moich kłopotów. Albo zamieszkam w nim wraz z panną Thackery, albo, jeśli okaże się dla nas zbyt obszerny, sprzedam go i wynajmę jakieś mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy. W grę wchodziła również przeprowadzka do Bath.

Panna Thackery jest dla mnie jak matka. To kuzynka papy, która przyjechała prowadzić nam dom po śmierci mamy dwanaście lat temu. Życie toczyło się gładko przez dziesięć lat, dopóki do naszej parafii nie wprowadziła się rodzina Hennessey: energiczna wdowa i dwie ładne, ale wulgarne dziewczyny w wieku szesnastu i piętnastu lat. Po miesiącu pani Hennessey zarzuciła sieci na papę, a po roku prawie go przekonała, że jest w niej zakochany. Bywa słodziutko uśmiechnięta, gdy papa jest w pobliżu, ale kiedy on wychodzi z pokoju, z niej wychodzi żółć. Przeżywszy dwadzieścia jeden lat na tym padole, potrafię wyczuć jędzę.

Przewiduję, że papa wytrwa we wdowieństwie już najwyżej dwa miesiące. W chwili kiedy ona się wprowadzi jako pani na probostwie, ja się wyprowadzam. Byłam już tak zdesperowana, że nawet rozważałam możliwość poślubienia sir Osberta Canninga, który ma czterdzieści lat i jest głupawy.

Kiedy jednak dostałam list od adwokata z zawiadomieniem o spadku po ciotce Thalassie, pomyślałam, że mój problem został rozwiązany. Pożyczyłyśmy z panną Thackery powóz papy i ruszyłyśmy do Londynu, by „pozbyć się” mojego spadku. Ojciec radził, żeby wszystko wycenić, sprzedać meble i udać się do pośrednika, aby dom sprzedał lub wynajął, co będzie korzystniejsze.

Adwokat opisał posiadłość na Wild Street jako „duży dom w częściowo handlowej okolicy”. Nie sprecyzował, o jaki handel chodzi. Zaczęłam podejrzewać, że nie tylko nielegalny, ale i niebezpieczny.

Powóz nie zatrzymał się jednak przy Long Acre, lecz skręcił w Drury Lane. Adwokat wspominał, że dom ciotki znajduje się w pobliżu tej ulicy teatrów. Jej nieżyjący mąż zajmował się pracą administracyjną w teatrze, a ona w rzadkich listach wspominała o goszczeniu takich gwiazd scen londyńskich, jak Kean, Siddons, pani Jordan. Ciekawe sąsiedztwo!

Patrzyłam z wielkim zainteresowaniem, dziwiąc się różnicowaniu Londynu. Dziwne, że rezydencja mojej ciotki znajdowała się w pobliżu takich obskurnych domów. Między wysokimi, wąskimi, nędznymi budynkami pojawiały się domy w miarę eleganckie. Jednak ludzie wychodzący z nich lub wchodzący wcale nie wyglądali na zamożnych. Kolejne zdumienie wzbudziła we mnie gromadka dzieci w łachmanach, bawiących się na ulicy. Tak chyba nie mieszkają bogaci, w otoczeniu biedoty?

Kiedy przyjrzałam się dokładniej, zauważyłam, że na każdej „rezydencji” znajdował się szyld. Na

niektórych z nich oferowano brandy, na innych likiery, jednak przeważnie sprzedawano tu gin.

- To pałace z ginem! - wykrzyknęłam i zaczęłam chichotać mimo zmęczenia.

Byłyśmy w drodze od siódmej rano, a od południa nic nie jadłyśmy.

- Litości! - powiedziała panna Thackery i wyjrzała, żeby obejrzeć ten spektakl. - A dzieciaki pozostawione same sobie, kiedy się ściemnia. I chyba są z tego bardzo zadowolone, co? Śmiem twierdzić, że John Groom zgubił drogę. Z pewnością twoją ciotka nie mogła mieszkać w takiej okolicy. Mullard nigdy jeszcze nie był w Londynie i mimo planu, jaki mu dała pani Hennessey, na pewno już dawno minął ten stary kamienny kościół na rogu.

- Mam nadzieję, że tak się stało - powiedziałam i prawie natychmiast powóz skręcił i zatrzymał się.

- Zgubił drogę, tak jak mówiłam - oznajmiła panna Thackery, zresztą bez satysfakcji.

Nie była kobietą, którą cieszyłoby spełnianie się ponurych przepowiedni. Jest najbardziej opanowaną osobą, jaką znam. Najostrzejsza opinia, jaką kiedyś wyraziła na temat pani Hennessey, brzmiała: „Ona naprawdę wie, czego chce i jak to zdobyć”.

- Mullard najprawdopodobniej studiuje swój plan - powiedziałam.

Powóz przechylił się i po dwóch sekundach w oknie pojawiła się zmęczona twarz naszego woźnicy. Jeśli ktoś miał cięższy dzień niż panna Thackery i ja, to był to z pewnością Mullard, który nigdy nie

powoził w mieście większym niż Bath. Otworzył drzwiczki i powiedział:

- To tutaj, panno Irving.

- Chyba jakaś pomyłka!

- Nie, tu jest Wild Street, drugi dom od skrzyżowania z Kemble Street. Niezbyt mi się tu podoba.

- Mnie też nie! Nie tego się spodziewałam.

- Mam panie zawieźć do hotelu na noc? Moglibyśmy tu wrócić rano, jak się wyśpimy,

Moje rozczarowanie było jednak tak ogromne, że przespanie jednej nocy nic by nie pomogło.

- Musisz być bardzo zmęczony, Mullard. Zostańmy na jedną noc. Jeśli moja ciotka tu mieszkała, musi tu być... bezpiecznie - powiedziałam, rozglądając się niepewnie. Wokół naszego powozu zaczęła zbierać się grupka uliczników.

Panna Thackery popatrzyła w mrok i powiedziała:

- Zawsze możesz sprzedać ten dom, Cathy. Każda nieruchomość w Londynie jest coś warta.

Wyszliśmy z powozu z ponurymi minami i przypatrzyliśmy się dokładnie mojemu dziedzictwu. Nazwanie tego sąsiedztwa lichym było dla niego pochlebne, ale przynajmniej do Wild Street nie dochodziły te pseudopałace, w których handlowano alkoholem. Jedyne drzewo w tym kwartale ulic, pięknie rozrośnięty wiąz, znajdowało się na jej posesji. Teraz, na początku czerwca, miał już wszystkie liście. Mój dom nie różnił się specjalnie od sąsiednich. Była to dzielnica mieszkaniowa z pewnymi ambicjami jakieś pięćdziesiąt lat temu. Domy były wysokie i ponure, z pokrytej kurzem i dymem

cegły, oddzielone od siebie tylko wąskimi przejściami, wiodącymi na tył budynku. Przeprowadzenie tędy powozu do stajni wymagało nie lada kunsztu. Jak zapewniał mnie adwokat, dom posiadał stajnię, co stanowiło jego dodatkową zaletę.

Dom miał cztery kondygnacje. Po obu stronach podniszczonych drzwi wejściowych znajdowały się dwa okna, niektóre z ozdobnymi szybami. Na wyższych piętrach rozmieszczono okna tak samo, lecz były bez ozdób. Od frontu znajdowała się zaciszna weranda, na której byłoby przyjemnie posiedzieć w letnie wieczory, tylko przysłaniał ją okap poddasza. Zdumiało mnie, że w tyłu oknach paliło się światło. Na straży domu została pani Scudpole, gospodyni mojej zmarłej ciotki, już ona usłyszy na temat tego marnotrawstwa świec!

Panna Thackery i ja uniosłyśmy spódnice, żeby ich nie ubrudzić na chodniku, i zapukałyśmy do drzwi. Po kołatce pozostały tylko dziury w drewnie. Miałyśmy klucze, ale chciałyśmy być uprzejme wobec pani Scudpole i dać jej czas na przyglądzenie włosów czy zmianę fartuszka. Jak się wkrótce przekonaliśmy, takie drobiazgi zupełnie uchodziły jej uwadze. Wiedźma, jaka otworzyła nam drzwi, wyglądała, jakby wypadła z któregoś z lokali sprzedających alkohol. Wprawdzie nie cuchnęła ginem, ale była bardzo nieapetyczną, rozczochraną kobietą w fartuchu, który dawno nie oglądał wody ani mydła.

- Pani pewno będzie panną Irving? — spytała, patrząc to na mnie, to na pannę Thackery.

- Jestem panna Irving - powiedziałam wyciągając rękę, co zignorowała. - A pani, rozumiem, nazywa się Scudpole?

- Owszem, kotku. Wejdźcie do środka. Zrobię wam kanapków.

Wprowadziła nas do ciemnego holu wyłożonego drewnem, obok zakurzonych schodów prowadzących na górę, po czym weszliśmy do salonu. Żadne słowa nie sprostają zadaniu opisanego pomieszczenia. Był obszerny i słabo oświetlony, zatłoczony mnóstwem nie dopasowanych do siebie mebli i mnóstwem bibelotów. Na podłodze leżały jeden na drugim dwa czy trzy dywany, z najmniejszym na wierzchu, ukazując po skrawku z każdej warstwy. Wierzchnia warstwa była ciemnoniebieska. W salonie ustawiono aż trzy zupełnie różne sofy i ponad tuzin krzeseł. Pod ścianami piętrzyły się stoły, jeden na drugim, a lampy były poutykane w każdym wolnym miejscu.

- Dobry Boże! Czy pani Cummings prowadziła sprzedaż używanych mebli? - spytałam. Nie potrafiłam sobie inaczej wytłumaczyć tej graciarni w najlepszym pokoju.

- Zrobię herbaty i jakichś kanapków - odpowiedziała pani Scudpole.

Wyszła, a ja popatrzyłam na pannę Thackery.

- Co o tym sądzisz? - spytałam.

Podeszła do małego stolika, umieszczonego na większym stole koło kominka.

- Ten to chyba Hepplewhite - powiedziała. - Reszta nadaje się na podpałkę w zimny dzień.



Usłyszałyśmy stukot za oknem, podbiegłyśmy i zobaczyłyśmy, jak John Groom przepycha czwórkę koni i powóz obok domu. Nie usłyszałyśmy żadnego skrobania ani skrzypienia drewna, więc pewnie szczęśliwie przejechał.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co moja ciotka robiła z tym całym... towarem - zastanawiałam się głośno, patrząc bezradnie na zagracony pokój.

- Niektóre panie nabierają dziwnych przyzwyczajęń w starszym wieku - stwierdziła panna Thackery-

Moja towarzyszka ma czterdzieści pięć lat, ale należy do tych kobiet, które wydają się spieszyć do starości. Ukrywa pod czepkiem piękne brązowe włosy i nosi szare suknie. Ma twarz długą i szczupłą, nie bez śladów urody. Jej oczy mają piękny odcień błękitu. Kiedy uda się skłonić ją do uśmiechu, wygląda młodziej.

- Na szczęście ja gromadzę tylko szale i pończochy. Mam dziewięć szali. Nie wiem, dlaczego prześladowuje mnie taka absurdalna myśl, że na starość będzie mi zimno.

- Mamy dostatecznie dużo opału - powiedziałam dla rozluźnienia atmosfery, jaką zagęszczał ten pokój.

- Ktokolwiek kupi ten dom, może go mieć umeblowany - powiedziała. - Sprzedasz dom, skoro już go zobaczyłaś?

- Tak, oczywiście. Sprzedam, ale nie będę mieszkała z papą, jeżeli ożeni się z nią.

- Nie obawiaj się, Cathy, ona też tak będzie uważała. Nie zechce, żebyśmy się jej kręciły pod

nogami. Na plebanii nie zmieszczą się i one, i my. Mówiła już, że dziewczętom bardzo podoba się twój pokój, co znaczyło, że ty i ja mogłybyśmy mieszkać w moim.

- Dobry Boże! On jej się nawet jeszcze nie oświadczył. Jak tłumaczyła oglądanie mojej sypialni?

- Któregoś dnia weszła ze mną na górę po książeczki z hymnami. Zatrzymała się przy twoich drzwiach i po prostu weszła.

- Wstrętny babsztyl!

Mullard wniósł nasze kufry.

- Wyjmę najpierw fartuszek, nim wniesiesz je na górę, Mullard - powiedziała do niego panna Thackery. - Me potrafię siedzieć w takim brudzie. Pościeram chociaż kurz.

- Zaraz będzie herbata. Zaczekajmy chwilę - zaproponowałam.

Panna Thackery musi coś robić. Nie znosi brudu i nie potrafi siedzieć beczynnienie.

- To może trochę potrwać - powiedział Mullard.

- Pani Scudpole prosiła, żebym rozpałił ogień, jak tylko przyniosę kufry.

- Dobry Boże! Pozwoliła, żeby ogień zgasł. To możesz i mnie dać fartuch - powiedziałam. - Nie marnujmy czasu, bo tu jest dużo roboty.

Zdjęłyśmy wierzchnie okrycia, włożyłyśmy fartuchy, a kiedy Mullard przyniósł nam szmatki do kurzu, zaczęłyśmy odkurzać wszystkie dostępne powierzchnie. Nie tak wyobrażałam sobie te wakacje w Londynie. W krótkim czasie twarze i ręce miałyśmy szare, bo pokój był naprawdę brudny.

Odwrociłam się na moment, gdyż usłyszałam czyjeś kroki w holu. Były zbyt energiczne jak na panią Scudpole, która posuwała się w tempie zmęczonego zółwia. To mógł być tylko Mullard, ale on nie wchodził do salonu bez zaproszenia, chyba że były jakieś kłopoty.

- Ochwacił konie w tym ciasnym przejeździe!  
- wykrzyknęłam i podbiegłam do drzwi.

O mało nie wpadłam na młodego dżentelmena, który złapał mnie za ramiona, żebym się nie przewróciła. Uniósł delikatnie zarysowane brwi nad inteligentnymi szarymi oczyma. Na kształtnej głowie błyszczały krótko przystrzyżone kasztanowe włosy. Był wysoki i całkiem zgrabnie zbudowany. Świetnie skrojony strój wieczorowy doskonale leżał na jego szerokich ramionach. Staromodna biała krawatka związana malowniczo świadczyła o odrobinie próżności. Był tak przystojny, że dech mi zapało.

- Kim, do licha, pan jest i co pan robi w moim domu? - spytałam.

Nie chciałam być tak niegrzeczna, lecz zaskoczenie nadało nieprzyjemny ton mojemu głosowi. Popatrzył na mnie z zagadkowym uśmiechem.

- Jak pani widzi, zajmuję się przewracaniem młodych dam. Nic się pani nie stało?

Zorientowałam się, że wciąż trzyma mnie za ramiona, i cofnęłam się.

- Jestem wciąż w całości - odpowiedziałam.

- A jeśli idzie o pani drugie pytanie, nazywam się Alger. - Skłonił się. - A pani z pewnością jest panną Irving?

- Skąd pan zna moje nazwisko? - zapytałam nieco zaskoczona.

- Oczywiście od pani Scudpole. Wszyscy tu pani oczekiwaliśmy.

Jego spojrzenie wędrowało z mojej zabrudzonej twarzy poprzez fartuszek na zakurzone ręce. Najwidoczniej dobrze się bawił.

- Proszę wybaczyć mi mój wygląd - powiedziałam, czerwieniejąc ze złości.

- Ależ wygląda pani uroczo. Młodsza, niż się spodziewałem, i znacznie ładniejsza. - Wyciągnął rękę i stał pajęczynę z mojego policzka. Odsunęłam się.

Na jego twarzy pojawiło się zdumienie, a później roześmiał się.

- Mógłbym pomyśleć, że pani się mnie boi, panno Irving.

- To mój dom. Dlaczego miałabym się pana bać?

- Zadałem sobie dokładnie to samo pytanie.

- Nie powiedział mi pan, co pan tu robi.

- Przyszedłem złożyć kondolencje z powodu śmierci pani ciotki.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Przepraszam, że odezwałam się niegrzecznie. Zaskoczył mnie pan. Nie widziałam, żeby pan wchodził frontowymi drzwiami.

- Nie wszedłem. Właśnie miałem wyjść, ale chciałem panią poznać i...

- Jeśli nie wszedł pan drzwiami, czy mogłabym się dowiedzieć, jak dostał się pan do mojego domu?

Zmarszczył brwi.

- Chciałem powiedzieć, że zszedłem z góry.
- Z góry? Czy pan Duggan pana przysłał?

Nim zdołał odpowiedzieć, głośnie szuranie nogami zapowiedziało wejście pani Scudpole, niosącej tacę.

- Bry wieczór, panie Alger - powiedziała i przeszła między nami, żeby postawić tacę na jednym z licznych stołów.

- Baranina na zimno i ser - powiedziała ponuro.  
- Rzeźnik nie miał płacone od miesiąca. Jak pani będzie chciała tu jeść, trza mi dać parę groszy, proszę pani.

Pan Alger uśmiechnął się współczująco i powiedział.

- Zostawię panie przy posiłku. Mam nadzieję spotkać panią wkrótce. Niech mi będzie wolno powitać panią przy Wild Street. - Skłonił się i wyszedł.

Nie odpowiedziałam na to ani słowem, ani się nie odskłoniłam.

- Kim był ten człowiek? - spytałam panią Scudpole.

- Numer 2A - odpowiedziała tajemniczo.  
- Przepraszam, co takiego?  
- Przecież wynajmuje apartament 2A, nie?  
- Gdzie? Co on tu robi?  
- Mieszka piętro wyżej, proszę pani. Nie mam nic do pana Algera. Zawsze płaci regularnie, nie tak jak niektórzy.

- Mieszka tu? Chce pani powiedzieć, że moja ciotka wynajmowała pokoje?

- O Jezuniu, to pani nie wiedziała? Wynajęła

każdy metr kwadratowy na pierwszym piętrze, a nawet na strychu, ale jeżeli to tylko ma być pani i ta stara panna - wskazała głową na pannę Thackery - to jest dosyć miejsca na parterze. - Oparła się o ozdobną komodę, gotowa do pogawędki. - Więc na poddaszu ma pani profesora Vivaldiego. On...

- Dziękuję, pani Scudpole. To na razie wszystko - odpowiedziałam, spoglądając na nią, dopóki się nie wyprostowała. - Porozmawiam z panią po kolacji. To był męczący dzień.

- Jest pani winna rzeźnikowi trzy funty i cztery pensy - rzuciła na odchodnym.

Tymczasem panna Thackery nakryła do stołu.

- Patrzyłam od drzwi i dziwiłam się, co tu robi taki elegancki dżentelmen - powiedziała. - Wygląda nieźle, ale nie wynajmowałby pokoiów w tej części miasta, gdyby należał do dobrego towarzystwa. Śmiem twierdzić, że jest aktorem z Drury Lane.

- Aktorem! No tak, to by wyjaśniało. Jest bardzo przystojny, prawda?

- Uważam, że ma zbyt swobodne maniery. Musisz go upomnieć, gdy znów przyjdzie tu przeszkadzać.

Sięgnęła po kanapkę.

- Ta baranina jest całkiem dobra, Cathy - powiedziała. - Poczujesz się lepiej, jak coś zjesz.

Mówiąc to, nalała herbatę do dwóch wyszczerbionych filiżanek i zaczęłyśmy pierwszy posiłek w naszym domu na Wild Street.

## Rozdział 2

Po jedzeniu poczułam się na siłach, aby zwiedzić dokładnie część domu zajmowanego przez moją ciotkę Thal. Panna Thackery, która umie zawsze znaleźć rozsądne wyjaśnienie każdej zagadki, wkrótce tłumaczyła mi, jak to się mogło stać, że moja ciotka mieszkała w takiej podejrzanej dzielnicy i wynajmowała pokoje.

- Pamiętasz, Cathy, że jej mąż miał coś wspólnego z teatrem - powiedziała.  
- Był jakimś kierownikiem czy coś takiego. To by wyjaśniało kupno domu w pobliżu Drury Lane. Sądzę, że kiedy się wprowadzał, dzielnica była jeszcze dość przyzwoita, a wiesz, jak trudno się przeprowadzić, gdy człowiek przywyknie. Więc kiedy jej mąż umarł, twoja ciotka dalej tu mieszkała, wynajmując pokoje, żeby zarobić na życie. Tak to zapewne było.

- A te niepotrzebne meble? - zapytałam, zastanawiając się, jak mogłaby to wyjaśnić, nie uznając mojej ciotki za maniaczkę.

Pani Scudpole, która od czasu do czasu pojawiała się podczas naszego obchodu i absolutnie nie znała pojęcia „prywatność”, odezwała się od drzwi:

- Jedyne sposoby, jakie miała, żeby ściągnąć moniaki od lokatorów. Jak jej byli winni, zabierała im coś. Powolutku umeblowała mieszkania, ale trochę zostało.

- Całkiem sporo - powiedziałam, przeciskając się między stołem jadalnym, obstawionym kompletem krzeseł, a tuzinem innych, stojących pod ścianą.

- Nigdy nie używała tego pokoju - zapewniła nas pani Scudpole.

- A gdzie jadała? - spytałam z ciekawością.

- Jak jej się podobało.

- Gdzie jest główna sypialnia?

- Tam, na końcu holu.

Weszliśmy do kolejnego magazynu staroci. Trzy komody, dwie toaletki, a pod przeciwległą ścianą obrzydliwe łóżko z baldachimem. Drugie łóżko wydało się nieodzowne, gdyż i panna Thackery, i ja sypiamy osobno. Jednak w sypialni nie było na nie miejsca, chyba żeby wisiało u sufitu.

- To łóżko tutaj należało do panny Siddons kilkanaście lat temu - poinformowała nas pani Scudpole.

Uniosłam spłowiała złoconą kapę i zobaczyłam pościel, w której, być może, spała jeszcze ta starzejąca się aktorka kilkanaście lat temu.



- Dlaczego nie zmieniła pani pościeli? Wiedziała pani, że przyjeżdżamy.

- Nikt mi nie kazał.

- Więc proszę ją zmienić teraz - powiedziałam, starając się zachować spokój. - Jutro ściagnę tu jakiegoś handlarza starych mebli - zwróciłam się do panny Thackery. - Nikt nie kupi domu w tym stanie. Będę też zmuszona usunąć lokatorów.

- Jeśli nie mają podpisanej umowy - zauważyła moja towarzyszka. - Być może prawo nakaze ci zachowanie terminu wypowiedzenia. Będziesz musiała porozmawiać z Dugganem.

- Wynajmę własnego adwokata. Duggan nie jest zbyt użyteczny. Nie powiedział mi nawet, że dom pełen jest lokatorów.

- Jeśli wszyscy są tak godni zaufania jak pan Alger, może nowy właściciel zachce ich zatrzymać.

Nie zapomniałam, oczywiście, o panu Algerze. Jego twarzy nie dało się zapomnieć, ale nie byłam przekonana o jego stateczności. Pani Scudpole zmieniła pościel, a my wróciłyśmy do salonu. Ledwo usiadłyśmy, w drzwiach pojawiła się młoda kobieta.

- Dobry wieczór - powiedziała miłym, prowincjonalnym akcentem i dygnęła. — Nazywam się Clarke, z 2B. A pani to zapewne panna Irving - zwróciła się do mojej starszej towarzyszki.

Wyjaśniłyśmy nieporozumienie i zapytałam, czego sobie życzy.

- Przyszłam zapłacić miesięczny czynsz, proszę pani. - Zerknęła na boki i sprawdziła, czy jesteśmy same. - Nie chciałabym tego dawać pani Scudpole.

Myśleliśmy, że może pieniądze powinien zebrać adwokat. Może jemu należało je przesłać?

Sprawiła miłe wrażenie i jej wygląd budził zaufanie. Była młodsza ode mnie. Oceniłam ją na jakieś osiemnaście lat.

- Czy pani z panem Clarkiem zajmuje lokal 2B?  
- spytałam, gdyż przedstawiła się jako pani, a nie panna.

- Och nie, proszę pani. Jestem wdową. Mój mąż zginął na wojnie. Był oficerem - powiedziała z dumą.

- Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci.

- To była dla mnie wielka tragedia - odpowiedziała ze smutkiem - ale mam przynajmniej małego Jamie'ego do towarzystwa. Mojego syna - dodała czule. - Trudno go chować z renty po mężu, ale na całe szczęście znalazłam kobietę, która się nim zajmuje, kiedy wychodzę do pracy. To panna Lemon, Bea Lemon.

- A gdzie pani pracuje, pani Clarke? - spytała panna Thackery.

- Jestem modystką. Może tego po mnie nie widać, ale znam się na tym. Mam to po matce. Była Francuzką, ale ja nie mówię po francusku - dodała szybko, pewnie, żebym nie myślała, że chce imponować.

Rzeczywiście nie zgadłabym, że jest tak, jak mówiła. Nie wyglądała ani na wdowę, ani na matkę, ani na francuską modystkę. Wyglądała na młodszą córkę zamożnego rolnika, wspinającą się po drabinie społecznej, żeby zostać damą. Niesforne jasne włosy okalały jej bladą, lecz ładną twarz. Oczy miała

niebieskie, z długimi rzęsami i błyszczące młodością. Wyglądała jednak na zmęczoną, czemu trudno się dziwić. Musiała bardzo dzielnie sobie radzić, sama wychowując i utrzymując syna.

- Czy nie zamierza pani podnosić czynszu? - spytała z niepokojem. - Pan Butler coś mówił.

- Niczego jeszcze nie postanowiłam, ale chciałybym sprzedać ten dom.

- Och, tak bym się zmartwiła! Kupi go jakiś stary kutwa i albo zamieni na melinę, albo podwyższy czynsze. Nie wiem, co bym zrobiła! Tak trudno znaleźć przyzwoite pokoje niedaleko mojej pracy, a przecież nie mogę sobie pozwolić na dorożkę dwa razy dziennie.

Było mi jej bardzo żal, ale nie mogę opierać całej swojej przyszłości na dbałości o wygodę jednej owdowiałej matki.

- Zobaczymy - powiedziałam niezobowiązująco.

Popatrzyła na mnie ze łzami w dużych błękitnych oczach.

- Chciałabym, żeby pani została. Jest pani taka miła. - Uniosła dłoń i wytarła łzy. - Przepraszam, panno Irving. Nie prosiłam dla siebie, tylko dla Jamie'ego...

Odniosłam nieodparte wrażenie, że pani Clarke dla swego syna stawiałaby czoło lwom i tygrysom.

- W każdym razie, jeśli zdecyduję się na sprzedaż domu, pomogę pani znaleźć jakieś inne mieszkanie - obiecałam pospiesznie.

Uśmiechnęła się słodko i odpłaciła tym, czym mogła.

- Może pani przyjść jutro i zobaczyć Jamie'ego, jeśli pani zechce. Teraz już śpi.

- Dziękuję, moja droga. Chętnie go zobaczę.

Po raz pierwszy zwróciłam się do kogoś „moja droga”. Poczułam się staro.

- Podobny jest do ojca - powiedziała nieśmiało, lecz z dumą. - Mam podobiznę Jamesa zrobioną, nim wyruszył na wojnę. Bardzo mi to pomaga. Pan Butler zna artystę, który mógłby mi ją skopiować w kości słoniowej, do noszenia jako medalion, ale to kosztuje gwineę.

- Może pani siądzie, kochanie? - powiedziała pani Thackery, bo dziewczyna wyraźnie miała ochotę się wygadać, a my nie miałyśmy nic pilnego do roboty.

- Muszę wracać na górę. Czy zechciałyby mi pani dać pokwitowanie, panno Irving? Pan Butler mówi, żeby zawsze brać pokwitowanie. Nie, żeby pani Cummings próbowała nas oszwabić, ale pan Butler gdzieś indziej musiał kiedyś zapłacić dwa razy.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła panna Thackery.

- Obawiam się, że nie mam jeszcze kwitariusza - powiedziałam.

Trochę byłam zła w pierwszej chwili, że dziewczyna mi nie ufa, ale doszłam do wniosku, że to ja nie mam doświadczenia w interesach. Ona ma rację.

- W środkowej szufladzie biurka, proszę pani - powiedziała, wskazując głową w stronę jednego z kilku biurek.

Znalazłam tam kwitariusze, wypisałam kwit i podałam jej.

Już miała wyjść, gdy pojawił się jeszcze jeden

lokator. Był to przyzwoicie wyglądający młody człowiek, który z ukłonem przedstawił się jako pan Butler. Wiedziałyśmy już, że interesuje się żywo sprawami młodej wdowy. Średniego wzrostu, w codziennym ubraniu, prezentował się nieźle. Guziki przy jego żakiecie były znacznie większe, niż nosili panowie w Radstock, ale żakiet był dobry. Pan Butler miał błyszczące brązowe oczy i rudawe kręcone włosy, których pozazdrościłaby mu niejedna kobieta. Jego twarz wyglądała jak oblicze cherubinka po kilku latach trudów. Co prawda nie wyglądała na szczególnie utrudzonego, ale z pewnością był bardziej doświadczony od cherubinka.

Nie mógł oderwać wzroku od młodej wdowy. Póki nie pobiegła na górę do Jamie'ego, niewiele można było z niego wydobyć. Gdy wyszła, natychmiast przeszedł do rzeczy.

- To mój miesięczny czynsz, co do pensa. Scudpole już się dopominała, ale nie jestem takim naiwniakiem, żeby jej zapłacić.

Napisałam pokwitowanie bez przypominania.

- Czy pan ma umowę na wynajęcie mieszkania, panie Butler? - spytałam, ciekawa, kiedy będę mogła się pozbyć nie chcianych lokatorów.

- Co? Umowę? Nie. Zapewne jest pani ciekawa, dlaczego płacimy czynsz miesięcznie, a nie kwartalnie? Pani Cummings nie uznawała umów. Twierdziła, że znacznie łatwiej wyrzucić nieodpowiednich lokatorów, jeżeli nie podpisali umowy. Czy pani zamierza podwyższyć czynsz? Jeżeli tak, to mogłoby się przynajmniej świecić światło na schodach w no-

cy. I warto naprawić te nieszczelne okna. Mówiła mi pani Clarke, że w jej sypialni zimą hula wiatr.

- Nie mam zamiaru podwyższać czynszu. Planuję sprzedać dom i po prostu jestem ciekawa, kiedy muszę dać wypowiedzenie lokatorom.

- A bodaj to! Nie wiem, co pocznie biedna pani Clarke, jeżeli ją pani wyrzuci. Nie wszędzie ją przyjmą z dzieckiem. Wie pani, ona dużo przeżyła.

- Czy pan i pani Clarke są dawnymi przyjaciółmi?  
- spytała panna Thackery. - To znaczy z tych samych stron?

- Nie, poznałem ją pół roku temu. Ona jest z Somerset. Zauważyły panie ten piękny akcent? Ja pochodzę z Devonshire. Papa przysłał mnie do Londynu, żebym popracował w biurze giełdy w nadziei, że zbiję fortunę.

- A co pan robi w tym biurze? - dopytywała się dalej panna Thackery.

- Przeważnie rachuję i przepisuję na czysto listy. To jest diabelnie nudna praca i dla nas, tych z dołu, żadne z tego pieniądze. Staram się dostać do Whitehall. Więc mówi pani, że sprzedaje pani dom?

- Obawiam się, że tak, panie Butler.

- Może by pani jeszcze to przemyślała? Przypuszczam, że moglibyśmy się złożyć po kilka szylingów na wyższy czynsz, jeżeli o to idzie.

- Nie, nie o to chodzi - powiedziałam pospiesznie.

Poczułam się w pewnej mierze odpowiedzialna za ciężkie życie tych młodych ludzi. Zauważyłam, że pan Butler ma palce poplamione atramentem i spodnie wyświecone od długiego wysiadania na stołku

przy zliczaniu długich kolumn i przepisywaniu listów. Nie zdawałam sobie sprawy, że życie niektórych ludzi jest takie trudne. Moim największym zmartwieniem była pani Hennessey. Ale cóż w końcu wynikłoby takiego z jej małżeństwa z papą? Musiałabym mieszkać w jednym pokoju z panną Thackery i żyć w tym samym domu z panią Hennessey i jej ordynarnymi córkami. Byłoby trudno, ale cóż to takiego w porównaniu z biedną panią Clarke, a nawet panem Butlerem, który już wyglądał na zniszczonego. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia czy dwadzieścia jeden lat.

A kiedy sprzedam dom, ich życie będzie jeszcze trudniejsze. Będą musieli się przeprowadzić do lokali jeszcze gorszych lub droższych niż zajmowane obecnie.

Pani Scudpole przyczłapała do drzwi i powiedziała:

- Pościel zmieniona. Ja nie piorę. Trzeba posłać do praczki, ale jest jej pani winna za ostatnie pranie.

- Proszę mi spisać w punktach wszystkie zadłużenia. Przejrzę je z panią jutro.

Wyszła nie odpowiedziawszy.

Pan Butler doradził:

- Lepiej niech pani sama porozmawia z praczką. Ta stara to znana oszustka. Pani ciotka jej nie ufała. Tak bym chciał panią przekonać co do zatrzymania domu. Zobaczysz pani, że to bardzo dogodne położenie. Niedaleko Temple Bar, salonu modystki Lalonde i Drury Lane.

Ani Temple Bar, ani modystka mnie nie interesowały i wiedziałam z wczorajszej jazdy, że znaj-

dowaliśmy się z dala od elegantszego Londynu. Na Wild Street nie było dla mnie nic godnego uwagi, ale nie chciałam już tego tłumaczyć panu Butlerowi. Wsadził pokwitowanie do kieszeni i wyszedł, pewien chociaż na miesiąc mieszkania w tym parzywym raju.

- Sprawdź w książce rachunkowej, kto jeszcze zalega z czynszem, Cathy - zaproponowała panna Thackery.

Sprawdziłam pokwitowania i przekonałam się, że czeka nas jeszcze spotkanie z niejakim profesorem Vivaldim (poddasze), panną Irene Whately (3A), panem Erikiem Scharkeyem (3B) i panem Algerem (2A). W sumie sześcioro lokatorów. Pani Clarke (2B) i pan Butler (3C) już zapłacili. Po krótkim obliczeniu znałam swój roczny dochód.

- Ciotka Thal zarabiała trzysta funtów rocznie na tej ruderze! - wykrzyknęłam. Sprawdziłam jeszcze raz, czy nie popełniłam błędu. To więcej niż procent z moich pięciu tysięcy posagu. Dostaję z niego tylko dwieście pięćdziesiąt. To chyba jakiś lichwiarski czynsz!

- Wydaje mi się, że pan Butler i pani Clarke sądzą, że to jest okazja, bo czemu pytaliby, czy masz zamiar podwyższyć opłatę?

- Zastanawiam się, za ile mogłabym sprzedać ten dom. Może jest wart więcej, niż myślałam?

- Wezwiemy jutro agenta nieruchomości. Jeśli nowy właściciel odnowi dom, mógłby podwyższyć czynsze i zarobić niezłą sumkę. Musisz to mieć na uwadze sprzedając.



Dyskutowałyśmy o tym przez pół godziny. Jutro sprowadzimy jakiegoś majstra budowlanego, żeby zbadał dom i powiedział, czy jest jeszcze solidny, zwłaszcza dach, krokwie i tak dalej. Następnego dnia wezwiemy agenta nieruchomości i wystawimy dom na sprzedaż. A tymczasem zbierzemy resztę pieniędzy za czynsz i zwrócą się nam koszty wizyty w Londynie.

Po męczącym dniu poszłyśmy spać o dziesiątej, ale było nam niewygodnie we wspólnym łóżku, a poza tym dochodziły wciąż różnorodne hałasy z ulicy. W Radstock powozy nie jeździły aż do późnych godzin nocnych, nie słychać było głośnych rozmów, pijackich hulanek ani mrozących krew w żyłach krzyków, które zdaniem panny Thackery były tylko kocią muzyką. Nie miałam pojęcia, jakie były ustalenia w kwestii zamykania drzwi frontowych. Czy każdy z lokatorów ma własny klucz, czy są otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę? To następna rzecz, jaką muszę rano sprawdzić. W końcu zasnęłam.

## Rozdział 3

Przeżyłam niespokojną noc. Belki w tym starym domu skrzypiały i trzeszczały. Przez cały czas zamykano i otwierano jakieś drzwi. Nie tylko frontowe, których używali lokatorzy, ale i kuchenne. Jednak dźwięki dochodzące z okolic kuchni nie były donośne. Jeśli pani Scudpole miała gości, przyjmowała ich bardzo cicho. Nawet potajemnie.

Wreszcie zasnęłam na dobre, lecz o siódmej rano zbudziło mnie tupanie po schodach. Leżałam przez chwilę z zamkniętymi oczyma, zastanawiając się, któż to się tak szamoce po plebanii. Poczułam wtedy czyjś łokieć wciskający mi się w boki przypomniałam sobie, gdzie jestem i dlaczego mam towarzystwo w łóżku. Otworzyłam oczy i zobaczyłam kolekcję używanych mebli stłoczonych przy ścianach. Zapomnia-

łam o tym zadaniu, kiedy wraz z panną Thackery ustalałyśmy, co należy zrobić przed sprzedażą domu. Musimy wezwać kogoś, żeby usunął te graty. Przy bliższym zapoznaniu się z nimi okazały się bezwartościowe. Jeśli będziemy miały, szczęście, może ten człowiek weźmie meble jako zapłatę za ich transport i będziemy miały to załatwione bez niepotrzebnych wydatków.

Leżałam spokojnie, nie chcąc budzić panny Thackery. Mój spadek okazał się rudera, *moja* gospodyni oszustką, miałam przed sobą kilka dni na załatwienie interesów, do czego byłam absolutnie nie przygotowana, a jednak czułam się szczęśliwa. Te niezwykle wakacje miały jakąś szczególną aurę. Dobrze mi robi, kiedy moim spokojnym życiem wstrząsną sprawy innych ludzi. Może w efekcie stanę się bardziej wyrozumiała. Wątpiłam jednak, czy zdołam być szczęśliwa ze swoją macochą.

Kiedy panna Thackery zaczęła się kręcić, wstałam i zaczęłam się przygotowywać na ciężki dzień. Dałam jej chwilę na oprzytomnienie. Woda w miednicy była zimna, ale przynajmniej czysta. Umyłam się w niej, a kiedy się ubrałam, zadzwoniłam na panią Scudpole. Nie zareagowała. Sądząc, że może zamiata schody albo wykonuje inne niezbędne prace domowe, sama odniosłam miednicę do kuchni. Ponieważ piec był zupełnie zimny, wywnioskowałam, że gospodyni jeszcze w ogóle nie wstała.

Usłyszałam jakiś zamęt w alejce obok domu. Podeszłam do okna sprawdzić, co tam się dzieje. Zobaczyłam wóz okryty plandeką, który właśnie

ruszał. Alejka była prywatnym przejazdem, należą-  
cym do domu, więc podeszłam do drzwi sprawdzić,  
kto jej używa.

Podejrzanie wyglądający robotnik uchylił czapki  
i powiedział:

- Dzień dobry, panienko.

Na wozie siedział drugi mężczyzna. Był niewy-  
soki, z kapeluszem naciągniętym na oczy. Zauwa-  
żyłam, że nie nosił barchanowej bluzy roboczej,  
lecz wełniany żakiet z mosiężnymi guzikami, jak  
dżentelmeni.

- Co tu robicie? - spytałam uprzejmie, lecz sta-  
nowczo.

- Już odjeżdżamy, panienko - odpowiedział.

- Zmyliłem drogę i skorzystałem z pani przejazdu,  
żeby się zatrzymać i zorientować. Nic nie znisz-  
czyłem.

Uderzył batem zszarganą szkapę i odjechał. Nie  
miał dobrych zamiarów. Przy takim małym ruchu  
na ulicy mógł się tam zatrzymać i orientować.  
Z drugiej strony nie bardzo wiedziałam, co złego  
mógłby zrobić w tej alejce, więc przestałam się tym  
przejmować.

Drzwi obok kuchni były otwarte, ukazując nie  
posłane łóżko. Weszłam do tego pokoju, ale pani  
Scudpole w nim nie było. Pomyślałam, że może od  
nas odeszła, co tłumaczyłoby hałasy dochodzące  
nocą z tej części domu, ale zobaczyłam jej ubrania  
i rzeczy osobiste. Może pobiegła kupić nam świeżego  
mleka lub jajek? Napełniłam miednicę i zaniiosłam  
pannie Thackery.

Kiedy ubrała się, poszłyśmy znów do kuchni. Wciąż nie było śladu pani Scudpole. Musiałyśmy obejść się bez śniadania, gdyby nie panna Thackery, która wychowała się na farmie i posiadała umiejętność rozpalania ognia pod kuchnią. Zagotowałyśmy wodę, ugotowałyśmy jajka, zrobiłyśmy herbatę i zjadłyśmy posiłek z chlebem, bez grzanek, bo nie mogłyśmy znaleźć żadnego urządzenia do tego. Podczas śniadania drzwi wejściowe trzasnęły kilka razy, ale to chyba lokatorzy wychodzili do pracy, bo pani Scudpole wciąż nie wracała.

O dziewiątej jeszcze jej nie było i zaczęłyśmy się o nią martwić. Pomyślałam, że może trzeba zawiadomić policję. Panna Thackery miała rozsądniejszy pomysł, żeby spytać lokatorów, gdzie ona może być. Miałyśmy już wejść na górę i zacząć pukać do drzwi, gdy pani Scudpole pojawiła się w kuchni, wciąż w tym samym uderzająco brudnym fartuchu. Nie niosła mleka, jajek ani niczego innego, ani nie przyszła z dworu, tylko z holu prowadzącego do naszych pokoi.

- Gdzie pani była? - spytałam.  
- Chyba trochę zasnęłam.  
- Rzeczywiście. Jest po dziewiątej. Nie wiedziałyśmy, co się z panią stało.

- Pani ciotka tak wcześnie nie wstawała.  
- Ale nie było pani w sypialni.

Spojrzała chytrze i odpowiedziała:

- Pani Cummings pozwoliła mi używać tamtej sypialni. Mój materac jest taki nierówny jak worek z kamieniami.

- To znaczy oprócz pani sypialni są jeszcze dwie inne! Dlaczego nam pani nie powiedziała? Dlaczego pani nie pokazała nam wczoraj tego pokoju?

- Powiedziała, że mogę go używać.

Może nie jestem zbyt dobra w interesach, ale poznaję, kiedy ktoś kłamie. Unikała mojego wzroku. Wszystkie rzeczy trzymała w małej sypialni. Sama wprowadziła się do lepszego pokoju.

- Będziemy teraz potrzebowały tej sypialni - powiedziałam chłodno. - Oczywiście oczekujemy czystej pościeli. A ponieważ pani działa tylko na rozkaz, polecam pani włożyć czysty fartuch i uczesać się. Panna Thackery i ja wstajemy o siódmej trzydzieści. Na śniadanie jemy jajka i tosty i pijemy herbatę. Czy przygotowała pani już tę listę długów, o której mówiłam wczoraj wieczorem?

- Nie prowadzę rachunków. Mam to wszystko w głowie. Jak mi pani da pieniądze, to zapłacę.

- Proszę mi podać nazwiska osób, którym jestem dłużna. Sama im zapłacę.

Wymieniła pobliskiego rzeźnika i panią Lawson, praczkę. Okazało się, że to jedyne rachunki; a po wygłoszeniu jakichś mętnych komentarzy na temat nagłej śmierci mojej ciotki nie była już pewna, czy w ogóle jestem komuś coś winna. Ja natomiast byłam pewna, że to wszystko wymyślił, żeby wycisnąć ze mnie pieniądze.

- W przyszłości sama będę załatwiała sprawy finansowe. Jak pani już doprowadzi do porządku siebie i tę kuchnię, chciałabym, żeby pani pozamiatała schody, pani Scudpole. Jak się pozbędziemy

tych wszystkich gratów, zabierzemy się do reszty domu. W takim stanie nie da się go sprzedać.

Po tym oficjalnym przemówieniu wyszłam z pokoju, a panna Thackery wybiegła za mną. Poszliśmy obejrzeć tę drugą sypialnię, która okazała się najlepszym pokojem w całym domu. Umeblowanie było z jasnego dębu, a dywan i zasłony miały kolor morskiej piany. Ściany pokryto delikatną chińską tapetą w ptaki i kwiaty. Pokój nie był przeładowany nadmiarem starych mebli. Widziałam na pierwszy rzut oka, że była to sypialnia mojej ciotki, gdyż znajdowały się tam jej drobiazgi. Na toaletce leżały szczotki, liczne flakony i kosmetyki. Szafa pękała od ekscentrycznych strojów.

- Thal Cummings zawsze kochała suknie - przypomniała panna Thackery, przeglądając ubrania.  
- Niektóre są z pięknych materiałów, Cathy. Ona była potężna, więc łatwo będzie można z nich coś uszyć dla ciebie.

- Może coś wybiorę, jak będziemy wyjeżdżały. Więc co robimy najpierw? Chyba musimy się pozbyć tych starych mebli, nim zawołamy kogoś do wyceny budynku, bo inaczej nie zobaczy w ogóle ścian ani podłóg.

- Zrobmy listę - zaproponowała panna Thackery.

Sporządzanie list to jej specjalność. Poszliśmy do salonu i zaczęliśmy spisywać, co należy zrobić. Ledwo zrobiliśmy część, gdy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jakiś starszy pan. Był wysoki i szczupły, z siwymi włosami i binoklami na nosie. Wyglądał na emerytowanego duchownego lub dy-

rektora szkoły. Nosił dobrej jakości ubranie i złoty zegarek, a w każdym razie dewizkę, lecz ubranie było już mocno podniszczone.

- Witam panie - ukłonił się elegancko. - Jestem profesor Vivaldi. Przyszedłem zapłacić czynsz za pokoje na poddaszu.

Miał z lekka cudzoziemski akcent. Może Włoch, sądząc z nazwiska?

Przedstawiłyśmy się i wyjęłam kwitariusz. Tak jak inni zapłacił gotówką i tak jak inni spytał, czy mamy zamiar nadal wynajmować pokoje i jaki będzie czynsz.

Odpowiedziałam to samo co innym. Wydawał się strapiony i powiedział „to szkoda”, ale nie namawiał nas do zatrzymania domu.

Wstał i włożył swój wymięty pilśniak na głowę.

- Idę do British Museum. Mała praca na temat zabytków greckich, którą przygotowuję - wyjaśnił.

- Często tam latem jeździłem, kiedy wykładałem w Oksfordzie.

Patrzyłyśmy przez okno, jak szedł ulicą. Następny nieszczęśnik, któremu należało współczuć. Nie sądzę, abyśmy znajdowali się w pobliżu British Museum, ale może ulica Bloomsburg, przy której się ono znajduje, była bliżej, niż mi się wydawało. Czy było blisko, czy daleko, patrząc na wytartą marynarkę profesora byłam pewna, że będzie szedł pieszo, i to w jego wieku. Smutne zwieńczenie kariery dla oksfordzkiego profesora.

Gdy wyszedł, zaczęłyśmy omawiać naszych lokatorów. Zgodziłyśmy się, że są nieco powyżej pozio-



mu, jakiego można było się spodziewać w tym sąsiedztwie. Profesor, wdowa po oficerze, młody człowiek pracujący na giełdzie i pan Alger, którego zajęcia jeszcze nie poznałyśmy, ale który sprawiał z nich wszystkich najlepsze wrażenie.

Po kilku minutach znów rozległy się kroki na schodach, a następnie pukanie do drzwi. Ucieszyłam się, widząc w nich pana Algera. Nie chcę powiedzieć, że serce mi zatrzepotało, jak jakiejś głupiotkiej pensjonarce, chociaż był niezwykle przystojny. Chodzi mi o to, że był jedynym lokatorem nie wzbudzającym we mnie poczucia winy. Robił wrażenie człowieka, który potrafi o siebie zadbać i dobrze mu się powodzi. Mówiąc krótko, wydawał się zupełnie nie na miejscu na Wild Street.

- Nadchodzi dzień zapłaty - powiedział, wkraczając z ukłonem i żartobliwym uśmiechem.

Popatrzyłam na niego przerażona.

- Jakiż ze mnie głupiec - dodał śmiejąc się. - Nie mam na myśli biblijnego końca świata, lecz tylko opłatę czynszu.

- Jestem pewna, że mielibyśmy jakieś zwiastuny, gdyby zbliżał się sądny dzień - odpowiedziałam.

Uniósł brwi zdumiony. Zmierzył mnie wzrokiem bardzo dokładnie. Następnie spojrzał na pełną godności pannę Thackery i opanował się. Powiedział uprzejmie:

- Płacę trochę po terminie, ale po śmierci pani Cummings nie bardzo wiedzieliśmy, komu płacić.

Wyjęłam kwitariusz. Kiedy przyjmowałam pie-

niądze i wypisywałam pokwitowanie, panna Thackery odezwała się.

- Może mógłby nam pan poradzić, panie Alger. Chcemy się pozbyć wszystkich tych gratów. Cathy, panna Irving, pomyślała, że jakiś furman mógłby je wziąć zamiast zapłaty za wywóz.

- Co? Oddać? - spytał. - Dlaczego nie sprzedać?

Ponieważ były to moje meble, odpowiedziałam.

- Boję się, że wynajęcie wozu kosztowałoby więcej, niż mogę dostać za te rupiecie. To nie są wartościowe meble, proszę pana, ale odrapane i uszkodzone, często bez gałek i uchwyków.

- Poza biurkiem w stylu Hepplewhite - wtrąciła panna Thackery.

Pan Alger podszedł obejrzeć meble zgromadzone w salonie. Spojrzał przez ramię z chytrym uśmiechem.

- Jeżeli nie chodzi o zarobek, tylko o pozbycie się tych gratów z salonu, mam inną propozycję.

- Posłuchamy - powiedziałam.

- Wydaje mi się, że pani lokatorzy byliby szczęśliwi, gdyby mogli je wykorzystać. Pokoje reklamuje się jako „umeblowane”, ale wyposażone są tylko w niezbędne minimum. Zdumiewające, że można się obyć bez tylu sprzętów. Mnie na przykład bardzo by się przydało któreś z tych biurków - powiedział, przesuając dłonią po jedynym lepszym meblu, biurku Hepplewhite. - A gdyby była jakaś niepotrzebna komódka, to wiem, że pani Clarke bardzo potrzebuje czegoś na rzecz syna Jamie'ego. To jej syn.

- Poznałyśmy już panią Clarke - powiedziała moja towarzyszka.

- Uroczą dziewczyną i taki smutny los. Wszyscy otaczamy ją rodzicielską troską - powiedział Alger z delikatnym uśmiechem.

Zainteresowania pana Butlera nie nazwałabym „rodzicielskim” i nie byłam też zupełnie pewna odcienia uczuć pana Algera, ale wdowa z pewnością jest ładna i potrzebuje pomocy.

- Nie mam zastrzeżeń, aby lokatorzy używali tych mebli, jeśli mają ochotę - powiedziałam.

- Więc zamawiam to biurko! - Alger położył rękę na meblu. - Obiecuję, że będę o nie dbał.

- To jedyny porządny mebel - podkreśliłam.

Panna Thackery rzuciła mi pytające spojrzenie, czy zamierzam je oddać na zawsze.

- Możesz wziąć to biurko, jak sprzedam dom - pocieszyłam ją.

- Chyba nie zamierza pani sprzedać tego domu! - wykrzyknął Alger.

- Nie jest to miejsce, w którym chcielibyśmy zamieszkać - wyjaśniłam.

- Z pewnością nie takie, do jakich pani przywykła. Chyba pani Cummings nigdy nie mówiła, skąd pani pochodzi... - W jego oczach widać było zainteresowanie.

- Pochodzimy z Radstock. Mój ojciec jest tam proboszczem.

- Rozumiem.

Sądząc po tym, jak się zakrztusił i zaczął mrugać oczyma, nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Ponie-

waż przyłapał mnie wczoraj na odkurzeniu, w fartuszkach i z brudną twarzą, sądził zapewne, że pochodzę z gminu.

- Więc, jak pan rozumie, nie możemy tu mieszkać.

Pan Alger spojrzał na krzeselko. Skinęłam głową, wyrażając zgodę, więc usiadł i zaczął odradzać mi sprzedaż.

- Zapewne w Radstock żyje się bardzo spokojnie - powiedział. - Ale istnieją różne strony życia. Uważam Wild Street za fascynującą. Czuje się tu puls wielkiego miasta.

- Tak, czuje się i słyszy - powiedziała panna Thackery. - Z trudem udało nam się zasnąć z powodu tych hałasów.

- Szybko można się przyzwyczaić - poinformował nas. - To część lokalnego kolorytu. A tu, w okolicy teatru, można spotkać ponadto wiele ciekawych osób. Bardzo pouczające przeżycie.

- Ja uważam rzeźmieszków i meliny z alkoholem za doświadczenie, bez którego mogę się obejść.

- Doprawdy? Sądziłem, że córkę duchownego zainteresuje pomoc potrzebującym.

Zawstydziłam się, że taka myśl nie zaświtała mi w głowie. Praca charytatywna odgrywała dużą rolę w moim życiu, ale były to takie cywilizowane zajęcia, jak rozdawanie jedzenia głodnym czy organizowanie kościelnych kiermaszy.

- Obawiam się, że nie jestem odpowiednio przygotowana. Wild Street jest zbyt... - powiedziałam niepewnie.

- Dzika? - odpowiedział. - Może ma pani rację. Jest pani zbyt delikatna, żeby mieć do czynienia z prawdziwą nędzą. Biedne, bezradne kobiety, zmuszone wyjść na ulicę w młodym wieku, bezdomne dzieci.

- Nie może pan oczekiwać, żebym sama naprawiała całe zło Londynu - powiedziałam ostro, czując wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedział.

- Ma pani rację. To nie na siłę jednej osoby. Musimy robić, co możemy. Ma pani gdzie indziej wygodny dom i trudno oczekiwać, że zmieni pani swoje życie tylko dlatego, że ludzie tutaj są w potrzebie.

Czułam się jak hipokrytka. Czy jestem naprawdę tak obrzydliwie samolubna, bo chcę wrócić do swego wygodnego życia? Oczywiście nie powiedziałam mu, że moje dotychczasowe życie i tak się ma zmienić. Jednak panna Thackery zrobiła taką aluzję.

- Panna Irving sądziła, że sprzeda ten dom i wynajmie mieszkanie, na przykład na Upper Grosvenor Square. Może pan być pewien, panie Alger, że zajmie się pracą charytatywną.

Pan Alger uniósł brwi ze zdziwieniem.

- A więc myślą panie o przeprowadzce do Londynu! Jak to miło! - Uśmiech sugerował, że naprawdę się cieszy.

- Jak tylko usunie się stąd te meble, chcę sprowadzić jakiegoś fachowca, żeby ocenił, czy dom jest w dobrym stanie.

- Nie ma potrzeby - stwierdził pan Alger. - Ktokolwiek kupi ten dom, nie będzie się przejmował,

czy dach przecieka. To jest okolica złodziejskich czynszów, panno Irving. Właściciele upychają maksymalną liczbę ludzi na minimalnej powierzchni, biorą, ile się da, i uciekają. Nie, żebym chciał oczerniać pani ciotkę! Ona tu mieszkała, więc się bardziej interesowała. W każdym razie wiem, że dach nie przecieka. Wpadam czasami do profesora Vivaldiego i wiem, że ma przytulnie i sucho.

- Więc nie ma sensu, żebyś wydawała pieniądze na taką kontrolę, Cathy - podsumowała pani Thackeray.

- Tak, masz rację. Nie chciałabym, żeby moi lokatorzy wpadli w ręce krwio pijcy, ale naprawdę...

Nim zdołałam dokończyć, pan Alger wszedł mi w słowo.

- Ten dom to wcale nie taki zły interes.

Ponieważ nie udało mu się wzbudzić we mnie poczucia winy ani zainteresowania ciekawym sąsiedztwem, teraz apelował wprost do mojej chciwości.

- Będzie pani szczęśliwa, jak się pani uda dostać za to pięć tysięcy, a jeżeli będzie pani pilno, to raczej bliżej czterech. Zapewne zainwestuje pani w Consols? - Skinęłam głową. - A więc pięć procent od czterech tysięcy, dwieście funtów rocznie. Za czynsze tutaj ma pani około trzystu.

- Ale utrzymanie domu będzie kosztowało około pięćdziesięciu funtów rocznie.

- Wręcz przeciwnie! - uniósł brwi w zdumieniu.

- Zapomina pani o parterze, najbardziej wartościowej części domu. Może pani albo tu mieszkać, nie płacąc za czynsz gdzie indziej, albo wynająć komuś

za sto funtów rocznie. Jeżeli pani sprzeda dom, będzie pani musiała wynająć gdzieś mieszkanie. Przy Upper Grosvenor Square mieszkanie tej wielkości będzie kosztowało znacznie więcej niż sto funtów. Czynyś to pieniądze wyrzucone w błoto. Jeśli pani tu zostanie, wartość domu będzie rosła w miarę inflacji i wraz ze wzrostem Londynu. Nieruchomości to obecnie świetna inwestycja. Z finansowego punktu widzenia zrobi pani najlepiej zostając tutaj.

- Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić panny Thackery i siebie mieszkających tutaj - powiedziałam - ale może jako inwestycja to niezłe. Pomyślę.

- Sąsiedztwo nie jest takie przykre, jak się pani wydaje - ciągnął dalej pan Alger. Był bardzo przekonujący. - Założę się, że pani woźnica przywiózł panią przez Long Acre, najgorszą z możliwych tras.

- Tak, przejechaliśmy przez Long Acre.

- Powinna pani była przyjechać przez Strand. Może bym teraz pokazał pani tę drogę? Mój pryncypał dał mi powóz do dyspozycji.

- Gdzie pan go trzyma?

- W pani stajni. Pani Cummings dała mi pozwolenie. Jeżeli jest pani ciekawa, dlaczego opłata za nią nie jest wykazana w moim czynszu, zaraz wyjaśnię.

- Nie kontrolowałam pana, panie Alger!

Pogroził mi zgrabnym palcem i powiedział:

- A powinna pani! Jeżeli ma pani zostać kobietą interesu, musi pani liczyć każdego pensa, panno Irving. Sprawa polega na tym, że pani Cummings

wolała nie mieć w wykazie wyższych dochodów ze względu na podatki. Płaciłem za stajnię, pozwalając korzystać z powozu. Kiedy się gdzieś wybierała, przysyłano mi go z Whitehall. Czasem używała go również wieczorami. Pani ciotka lubiła wyjść do teatru.

- Ja mam tu tylko powóz podróżny mojego papy, który jest zupełnie nieprzydatny w ruchu miejskim. Możemy utrzymać poprzedni układ, jeśli panu odpowiada.

- Bardzo mi odpowiada. - Uśmiechnął się. - Czy mówiłem już, że często towarzyszyłem pani Cummings? - Do uwagi tej dodał uwodzicielski uśmiešek.

Panna Thackery pochwyciła wątek rozmowy, który mi umknął.

- Co pan robi w Whitehall, panie Alger?

- Whitehall! Rządowa dzielnica! - wykrzyknęłam.

- Myślałyśmy, że jest pan aktorem.

- Dobry Boże! Jestem aż tak zepsuty? - zaśmiał się.

- Nie o to chodzi - wyjaśniła moja towarzyszka.

- Nie przyszło nam do głowy, że ktoś z rządowych sfer mógłby uznać Wild Street za odpowiedni adres.

- Ja uznaję. Czy polecałbym go paniom, gdybym tu nie chciał mieszkać? Odpowiadając na pani pytanie, jestem sekretarzem lorda Dolmana. On działa w Izbie Lordów. Specjalizuje się w problemach związanych z handlem. Nie jest to zbyt uciążliwe zajęcie. Chce, żebym startował w wyborach do parlamentu z jego okręgu. Planuję karierę polityczną. A jeżeli panie zastanawiają się, dlaczego tu



mieszkam - dodał niepewnie - sprawa wygląda tak, że dostaję pewną sumkę rocznie od ojca, ale nie jestem bogaty. Póki nie zdobędę, jakiejś rządowej synekury, żyję oszczędnie. Lord Dolman proponował mi pokoje w swojej rezydencji na Berkeley Square, ale chcę mieć trochę niezależności. Lord Dolman jest moim powinowatym - dodał, by wyjaśnić jego hojność.

Ja popędziłabym natychmiast do mieszkania na Berkeley Square, ale rozumiałam młodego dżentelmena, pragnącego niezależności.

Gdy skończył wyjaśnienia, spytał:

- Czy jest pani wolna, żebyśmy odbyli małą przejażdżkę po najbliższej okolicy?

- Mamy tyle do zrobienia przed południem...  
- odpowiedziałam.

Jednak kiedy przemyślałam sprawę podczas naszej rozmowy, uznałam, że właściwie niewiele teraz można zrobić. Lokatorzy mają zabrać meble, nie muszę szukać fachowca do oględzin budynku, a dopóki nie rozważę za i przeciw sprzedaży domu, nie będę wzywać agenta nieruchomości.

- Mogę zostać i zebrać czynsz od pozostałych lokatorów, jeśli chcesz - zaoferowała się panna Thackery. - I rozprawię się też z panią Scudpole. Co to znaczy, żeby brała sobie najlepszy pokój, a Thalassa spała w tym magazynie.

- Muszę zawiadomić lokatorów, że mogą zabrać te niepotrzebne meble.

- Pod schodami w holu jest tablica ogłoszeń  
- poinformował mnie pan Alger. - Proponuję, żeby

pani wyznaczyła godziny, w których można zabierać meble, bo inaczej ludzie będą pani siedzieć na głowie cały dzień. Może zechce pani dopilnować, żeby były sprawiedliwie rozdzielone. Tylko żeby nikt nie zabrał mojego biurka.

- Wywieszę ogłoszenie - stwierdziła panna Thackery. - Powiedzmy dziś wieczorem, między ósmą a dziewiątą, kiedy wszyscy będą już w domu, żeby mieli równe szanse.

Zgodziłam się na tę propozycję. Nic nas już nie trzymało. Wzięłam więc kapturek i narzutkę, i wróciłam do salonu, gdzie czekał pan Alger. Pani Scudpole, w nieco czystszy fartuchu, zamiatiała schody. Alger patrzył zdziwiony na to niecodzienne zjawisko.

Powiedział żarliwie:

- Tak bym chciał, żeby pani została, panno Irving. Potrafiłaby pani coś zrobić z tego domu.

- Może mnie pan na to namówi, ale najpierw musi mnie pan przekonać, że nie trzeba koniecznie przejeżdżać przez Long Acre, żeby dotrzeć do cywilizowanej części miasta.

## Rozdział 4

Myśląc o innych sprawach, nie zastanowiłam się nawet, gdzie mieszka woźnica pana Algera ani jak go zawiadania, kiedy jest potrzebny. Okazało się, że mój lokator jeździ sportowym powozikiem i gdy pomógł mi się wdrapać na wysokie siedzenie, sam wskoczył i schwycił lejce. Nigdy nie jechałam kariolką, bo córka prowincjonalnego pastora musi się odpowiednio zachowywać. Ale ponieważ nikt znajomy mnie tu nie spotka, postanowiłam zrobić sobie przyjemność.

- Lord Dolman musi być jeszcze młodym człowiekiem - powiedziałam, gdy jaskrawożółty powozik ruszył, ciągniony przez parę żwawych siwków.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Z powodu tej kariolki. Kiedy mówił pan o niezależności, myślałam, że to jakiś zgrzybiały starzec.

- Byłby zaskoczony, gdyby go tak opisać. Jest w świetnej formie, ale kiedy jest się u kogoś gościem, cały dzień jest się do dyspozycji. Trzeba zmieniać plany, kiedy okaże się, że potrzeba jeszcze jakiegoś pana przy kolacji czy na wyjście do teatru.

- To chyba nie aż taka niewygoda!

- Zależy, jakiej damie trzeba towarzyszyć. Zapewniam panią, że to nie te niezwykle poszukują towarzysza. - Uśmiechnął się do mnie przebiegle. - Jestem dosyć wymagający, jeśli idzie o damy, z jakimi pokazuję się na mieście.

Prawdopodobnie miał to być komplement, ale nie spodobała mi się jego forma.

- Nie każda kobieta ma szczęście być piękna, ale nie jest to ważne, jeśli ma dobry charakter.

- Tylko dama pewna własnych wdzięków może powiedzieć coś takiego - uśmiechnął się.

- Ale czy nie powinien pan powiększać kręgu swoich... wpływowych znajomych?

- Często biorę udział w wieczornych przyjęciach u Dolmana, ale wolę to robić wtedy, kiedy ja mam ochotę, i po uprzedzeniu. Mam też swoich przyjaciół i swoje życie.

- Oczywiście - powiedziałam, skinąwszy głową, jakbym się zgadzała.

Zastanawiałam się jednak, co to za życie i przyjaciele, skoro musi robić z tego tajemnicę przed swym patronem. Gdyby naprawdę dbał o karierę, powinien być bardziej ugodowy wobec lorda Dolmana.

Kariolka pędziła z prędkością zagrażającą mojemu czepeczkowi i narzutce. Domyślałam się doskonale,

dłaczego Alger nadał takie tempo, i poprosiłam, żeby zwolnił.

- Przy najlepszej woli i najszybszych koniach nie jest pan w stanie ukryć, że sąsiedztwo jest w najwyższym stopniu nieodpowiednie. Niech pan spojrzy! - wykrzyknęłam, wskazując na parę obdar tusów zataczających się na ulicy, pijanych w sztok o dziesiątej rano,

- Może córka pastora chciałaby się zatrzymać i próbować ich nawrócić na dobrą drogę? - spytał żartobliwie. Byłam wściekła. - Wkrótce wjedziemy na Strand - powiedział i rzeczywiście po chwili niebezpiecznej jazdy znaleźliśmy się na eleganckiej ulicy w nietkniętym pojeździe.

- Może pan teraz zwolnić - powiedziałam, poprawiając płaszcz i prostując kapelusz;

Skrecił na północ na Picadilly i w normalnym tempie wjechał na New Bond Street, gdzie panowała elegancja i szyk najmodniejszych kreacji. Nie mogłam powstrzymać okrzyków zachwyty.

- Więc to jest ta ulica New Bond Street, o której czytałam w magazynie *La Belle Assemblee*. I nawet ten kapelusik, który pokazywali w ostatnim numerze! Czyż nie uroczy? Ciekawe, w którym sklepie można go kupić.

- Trochę wyższy poziom niż główna ulica w Radstock, co? - Uśmiechnął się zadowolony, że nareszcie może mi czymś zaimponować.

- Bije na głowę nawet Milsom Street w Bath - wykrztusiłam.

- To rzeczywiście pochwała.

Sporo eleganckich dam i dżentelmenów skinęło głową lub pomachało panu Algerowi. Elegancka młoda blondynka w modnym kapeluszu kazała zatrzymać swój powozik i zawołała:

- Nie widziałam cię wczoraj wieczorem u lady Bingham, Algie. Obiecałeś mi walca.

- Odrobimy to na następnym raucie! - zawołał i odjechał. - To była panna Carter.

Nazwisko nic mi nie mówiło, ale twarz powinna zwrócić uwagę każdego mężczyzny, który ma oczy. Nie przystawał, żeby porozmawiać z ludźmi, którzy go zatrzymywali, ani nie podchwycił moich aluzji, że tutejsze sklepy wyglądają zachwycająco.

Rozglądałam się, podziwiając wystawy pełne cudownych drobiazgów i tłumy tarasujące przejścia.

- Nigdy nie widziałam tylu ludzi, nawet w Bath - powiedziałam.

- Dla nas z Londynu wyjazd do Bath jest powrotem na łono natury. Założę się, że będzie pani odczuwała to samo, jak już się przyzwyczai do londyńskich atrakcji. Teatry, bale, rauty.

Elegancki młody człowiek zaryzykował życiem, przechodząc ulicę w największym ruchu.

- Halo, Algie, idziesz do klubu wieczorem? - zawołał.

- Nie dzisiaj, Pelham. Jestem zajęty.

Mężczyzna nazwany Pelham zwrócił się w moją stronę ze złośliwym uśmiechem.

- Rozumiem.

Jego uśmiech sugerował pewność, że to ja byłam tą wieczorną atrakcją.

- To był lord Harding - powiedział pan Alger.
- Ale mówiliśmy o pani pozostaniu w Londynie i licznych możliwościach tutejszych rozrywek.

Czułam, że właśnie tracę okazję poznania ludzi, którzy mogliby mi ewentualnie umożliwić te rozrywki. Odpowiedziałam ostro:

- Nie oczekuję takich rozrywek, o jakich pan mówi. Nie sądzę, żebym się nadawała na debiut tutaj. Poza tym jestem w żałobie.

- Nie nosi pani żałoby - zauważył.

- Właściwie nigdy nie znałam pani Cummings. Ojciec nie uważał za konieczne, żeby się starać... to znaczy...

- Rozumiem. Jeśli pani nie uważa ciotki za osobę na tyle bliską, żeby nosić po niej żałobę, niektórych skromniejszych rozrywek nie musi się pani pozbawiać.

- Jeżeli pozostanę, wynajmiemy gdzieś skromne mieszkanie z panną Thackery. Interesują mnie teatry, galerie sztuki, biblioteki i przejażdżki.

- Pojedziemy na wystawę w Somerset House któregoś popołudnia, kiedy powóz i ja będziemy wolni. Niech się pani nie waha mi powiedzieć, kiedy go pani potrzebuje. Na tym polega nasza umowa!

Propozycja ta przywróciła mi humor.

- To byłoby cudownie!

Ponieważ pan Alger nie zatrzymywał powozu, żeby się przejść, wydawało mi się, że spieszo mu do pracy. Powiedziałam:

- Czy lord Dolman nie oczekuje pana w pracy?

- Nigdy nie pojawia się w Izbie przed południem.

- Londyn jest bardzo dziwny. Mężczyźni nie chodzą do pracy przed dwunastą w południe, moja ciotka nie wstawała do dziesiątej i nie jadała w jadalni.

- Mówiłem pani, jakie to pouczające doświadczenie - zaśmiał się. - Wczoraj przed wyjściem zrobiłem całą pracę na zapas. Jeśli idzie o bale, to rozumiem pani wstrzeźliwość, ale bywam też zapraszany na znacznie skromniejsze rauty. Jeśli gustuje pani w tańcach, ten aspekt życia w Londynie nie jest bynajmniej zamknięty dla młodej damy, która nie miała jeszcze tutaj debiutu.

- Jest pan bardzo uprzejmy, ale przyjechałam nie przygotowana na takie rozrywki. Papa oczekuje, że wystawię dom na sprzedaż i w ciągu tygodnia wrócę do Radstock.

- Ale mówiła pani coś o wynajęciu mieszkania - powiedział, patrząc pytająco.

- Tak, ale papa o tym jeszcze nic nie wie - wyznałam. - Dopóki nie będę miała pieniędzy za dom, nie mogę ruszyć się z plebanii.

- A więc płynie w pani żyłach krew buntownika. Doskonale! A co ma pani przeciwko domowi swego ojca, jeśli nie będę zbyt niedyskretny?

Alger jechał z powrotem New Bond Street w kierunku Green Park. O tej wczesnej porze było prawie pusto. I dopiero wtedy, kiedy nie było wokół młodych ludzi, których mogłabym poznać, ani sklepów, które chciałabym obejrzeć, zaproponował, żeby wysiąść i przejść się. Gdy chodziliśmy powoli po parku, niepostrzeżenie zaczęłam mu opowiadać o pani Hennessey i jej córkach.



- Wszystko to brzmi trywialnie i bardzo egoistycznie, jeśli porównamy, jak mieszkają biedna pani Clarke i pan Butler, ale podobnie jak pan pragnę niezależności. Nie będę jej miała w domu mojego papy, kiedy się ożeni.

- W tej sytuacji postąpiłbym tak samo - powiedział natychmiast. - Ale będąc zagorzałym człowiekiem interesu, mieszkałbym na Wild Street, dopóki nie wzrośnie wartość domu, i zarobiłbym jakąś sumkę. Później wynająłbym mieszkanie w eleganckiej dzielnicy Londynu.

- Ale jak mogę mieć przyzwoitych znajomych, mieszkając na Wild Street? - spytałam. - Trudno zaprosić kogoś z dobrego towarzystwa na kolację w tym domu.

- To jest Londyn. Zdziwiłaby się pani, gdyby wiedziała, jakie detale można pominąć, gdy dama posiada solidny posag.

- Nie mam solidnego posagu. Mam zaledwie pięć tysięcy funtów.

- I następne pięć w nieruchomości na Wild Street według dzisiejszych cen. To czyni dziesięć tysięcy, cena obowiązująca za baroneta. Jeśli zaczeka pani kilka lat ze sprzedażą, dostanie pani za dom może piętnaście tysięcy. My, opisywani w gazetach łowcy posagów, stosujemy pewną ulgę, jeśli dama jest ładna. - Przystanął i przesunął dokładnie wzrokiem po mojej twarzy sprawiając, że się zaczerwieniłam. - Twarz taka jak u pani, nie wymizerowana, bez braków w uzębieniu, bez pryszczycy, bez zez... Pani jest warta koło dwudziestu tysięcy. Śmiem twierdzić,

że księżęta będą się do pani tłoczyli.

Powiedziałam ostro:

- Niech pan nie będzie naiwny.

- Dlaczego nie? Cudownie jest być naiwnym w piękny, wiosenny dzień, z piękną kobietą u boku. A nim pani wyciągnie nieprzychylne wnioski, niech mi będzie wolno powiedzieć, że nie żartowałem na temat pani urody. Jest pani piękna w taki nieświadomy sposób.

- Nie jestem nieświadoma!

- Przekręca pani wszystko, co mówię. Chciałem powiedzieć, że nie zdaje pani sobie sprawy ze swej urody.

- Mam myszowate włosy.

- Brązowe, jak lwia grzywa. Oczy ma pani też trochę jak lew. Zielone, z takim specjalnym odcieniem.

- Ale lwy nie mają piegów.

- Nie, i nie spierają się o każde słowo, jakie człowiek powie. Staram się powiedzieć pani komplement.

- Dziękuję panu. Pan też jest bardzo przystojny. Ale za kilka lat moja twarz się zdewaluuje.

Spojrzał na mnie śmiejąc się.

- Może powinna pani kuć żelazo, póki gorące, jeśli na przykład wystarczy pani baronet.

- I jeśli baronetowi wystarczy mieszkanie na Wild Street. Rozumiem, że ci łowcy posagów nie posiadają własnych domów, do których mogliby wprowadzić żonę.

- To już los szczęścia. Sądzę jednak, że pani

twarz jeszcze się nie rozpadnie przez najbliższe dziesięć lat, a może i dłużej. Nie może pani mieć więcej niż dwadzieścia.

- Mam dwadzieścia jeden.

- Więc nie ma się co martwić. Jestem od pani o dziesięć lat starszy, a wciąż się uważam za młodzieniaszka.

- I słusznie, ale psy i kobiety wcześniej się starzeją.

- Powstrzymam się od komentarza. - Ujął mnie pod łokieć i spacerowaliśmy dalej. - A co pani sądzi na temat mojego pozostania na Wild Street? Jeśli brakuje pani przyjaciół, mogę być pomocny.

Widziałam na własne oczy, że pan Alger ma dużo znajomych. Świadomość ta była rzeczywiście kusząca, ale mieszkać na Wild Street...

- Pomyślę nad tym. Oczywiście, muszę napisać do papy i spytać, co o tym sądzi.

- Będę oczekiwał jego odpowiedzi. A na razie niech pani nie pozwoli wykorzystać się swoim lokatorom.

- Nie zwykłam dać się wykorzystywać, panie Alger - odpowiedziałam. Zmrużył oczy i starał się wyczuć, czy nie było w tym, co powiedziałam, jakiejś aluzji. - Zauważyłam, że panna Whately i pan Sharkey jeszcze nie opłacili komornego. Przycisnę ich dziś wieczorem. - Nie odpowiedział, ale wyczuwałam w jego oczach napięcie. - Lokatorzy wydają się bardzo mili - dodałam. - Byłam zdumiona, że są tacy porządni.

- Och, dziękuję pani. Staramy się wszyscy dobrze zachowywać.

- Ależ nie miałam na myśli pana! - odpowiedziałam ze śmiechem.

Był przecież jednym z lokatorów. Po godzinie spędzonej w jego towarzystwie nie mogłam pojąć, co robi na Wild Street. Był o klasę wyżej od pozostałych, nawet spowinowacony z arystokracją. Musi być jakiś powód, dla którego nie mieszka w eleganckim otoczeniu. Jednak koniecznie chciał mnie namówić do zatrzymania domu i twierdził, że będzie tam dalej mieszkał.

- Czy pokoje w Albany kosztują znacznie więcej niż w moim domu? - spytałam. - Pan Nugent, mój przyjaciel z Radstock, mieszkał tam, gdy był kilka lat temu w Londynie. Mówił, że to ulubione miejsce kawalerów.

- Tak, ale byłoby znacznie drożej - odpowiedział zdecydowanie, Alger. - Powyżej moich możliwości. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - Wygląda, jakby pani starała się mnie pozbyć. Mam nadzieję, że to szaleńcze tempo, jakie nadałem swojej kariolce, nie sprawiło wrażenia, że jestem nieodpowiedzialnym człowiekiem.

- Nie, tylko nie udało się ukryć byle jakiego otoczenia, ale przemyślę to, co pan mówił. Bardzo prawdopodobne, że papa każe mi natychmiast sprzedać dom i wracać.

- A zbuntowana zrobi tak, jak ojciec każe?

- Myślę, że tak. Ale kiedy... jeżeli... ożeni się z panią Hennessey, na pewno wyprowadzę się albo do Bath, albo do Londynu.

- Odwiozę panią teraz do domu, żeby mogła pani

napisać list. Ustalmy, kiedy wybierzemy się zwiedzić Somerset House. Jest pani wolna jutro po południu?

- A co z pana pracą? - odpowiedziałam.

- Pójdę do pracy przed południem. Dolman będzie na zebraniach komisji całe popołudnie. Nie będzie mnie potrzebował.

- Wydaje się, że ma pan bardzo dogodne zajęcie.

- Nie narzekam - odparł lekko.

- Ja myślę. Więc dobrze, jutro po południu.

Wsiedliśmy z powrotem do powoziku i wróciliśmy na Wild Street. Przygotowałam się na najgorsze, ale dom nie wyglądał tak strasznie, jak pamiętałam. Gdyby był na lepszej ulicy, z czystymi oknami i pomalowanymi drzwiami, wyglądałby co najmniej przyzwoicie, jeśli nie elegancko.

Pan Alger odprowadził mnie do wejścia, nim powrócił do swojej kariolki i pojechał prawdopodobnie do Whitehall. Drzwi napawały mnie wstrętem. Liczne warstwy farby popękały i obłaziły tak, że nie można było się dopatrzeć żadnego koloru. Dotknęłam klamki z obrzydzeniem, taka była brudna.

Pani Scudpole przygotowała niezbyt smaczny lunch, na który składały się znów zimna baranina i ser.

- Nie możemy oczekiwać, że będzie gotować, sprzątać i robić wszystko inne - powiedziałam przeprasząc do panny Thackery. - Jeżeli papa zgodzi się, żebym trochę tu została, nim sprzedamy dom, musimy znaleźć jeszcze kogoś do pomocy. I musimy oczywiście odesłać powóz.

Napisałam list po południu, opisując stan rzeczy

i możliwość zarobku, jeśli zatrzymałabym dom na kilka lat i dalej wynajmowała, po dokonaniu drobniejszych remontów. Mullard poszedł go wysłać. Odniosłam wrażenie, chociaż się nie uskarżał, że nudzi się potężnie.

- Może pani znalazłaby dla mnie jakąś robotę przy domu? Z tego podwórka można by zrobić ogródek, jakby je tylko uprzętać - zaproponował.

Poszłyśmy wraz z panną Thackery je obejrzeć. Jeśli wewnątrz domu przypominało magazyn starych mebli, to na zewnątrz był po prostu śmietnik. Wszystko, czego ciotka nie uznała za stosowne zatrzymać w domu, wyrzucała bez ceregieli na podwórko.

Połamane krzesła leżały na zardzewiałym, żelaznym piecyku, drewniana skrzynka pełna była potłuczonych porcelany, resztę też zajmowały różne niepotrzebne rzeczy.

- Mógłbym porąbać te zepsute krzesła i co tam jeszcze na opał - zaproponował. - Handlarz żelastwem mógłby sobie zabrać ten piecyk, a porcelanę bym zakopał.

Panna Thackery, zamiłowana ogrodniczka, stwierdziła, że moglibyśmy mieć w jednej połowie ogródka warzywa, a w drugiej kwiaty.

- Kiedyś tu rosły kwiaty - powiedziała, grzebiąc w ziemi. - Są kłacza piwonii, a to na pewno jest krzak róży. Ma kolce, ale nie ma kwiatów.

Uzgodniliśmy, że Mullard zajmie się oczyszczeniem podwórka, a ja poszłam jeszcze raz obejrzeć dokładnie front domu. Pomalowanie drzwi znacznie

by pomogło, tylko najpierw trzeba zdrapać albo opalić starą farbę. Uzgodniliśmy, że najodpowiedniejszym kolorem będzie ciemnozielony. Byłoby ładniej, gdyby były jaśniejsze, ale panna Thackery słusznie zauważyła, że przy tylu ludziach każde kopnięcie, a nawet ślady palców byłyby bardziej widoczne.

- Kupię nową mosiężną kołatkę. - Uśmiechnęłam się na myśl, jak pięknie będzie wyglądała. - Poproszę pana Algera, żeby mnie zawiózł do sklepu, jak pojedziemy jutro po południu do Somerset House.

Opowiedziałam pannie Thackery o swoich planach i zaproponowałam, żeby pojechała z nami. Nie chciałam znów zostawiać jej samej.

Resztę popołudnia spędziłyśmy na dalszym przeglądaniu graciarni i nalepianiu karteczek na meblach, które lokatorzy mogą wziąć.

- Przydybiemy pana Sharkeya i pannę Whately, kiedy przyjdą po meble, żeby zapłacili komorne - powiedziała panna Thackery. - To dziwne, ale żadnego z nich dzisiaj nie widziałam. Być może pan Sharkey jest w pracy, ale co może robić panna Whately?

Usłyszałyśmy kroki w holu.

- To pewnie ona - szepnęła panna Thackery.

Patrzyłyśmy w napięciu na drzwi.

## Rozdział 5

Delikatne kroki wywoływały obraz drobnej, eleganckiej, może już starszej damy. W drzwiach stanęła kobieta o obfitych kształtach, choć nie można jej było nazwać grubaską. Potężny biust i rozłożyste biodra podkreślone szczupłą talią wyglądały jak z obrazu Rubensa. Koło łokci widać było dołeczki w białych ramionach. Nie była młoda, ale nie była jeszcze stara. Jednak przy najlepszej woli nie można jej było nazwać subtelną. Olbrzymia, skomplikowana koafiura i ilość mallowideł na twarzy wystarczały, żeby nabrać podejrzeń co do jej profesji. Dodać do tego głęboko wyciętą suknię z fioletowego jedwabiu, ozdobioną wielką ilością wstążeczek, falbanek, guziczków, czerwonych różyczek, a nie będzie wątpliwości, o jakiej profesji mowa.



Zjawisko otworzyło usta i wydobył się z nich piękny, gardłowy głos.

- Panno Irving - powiedziała, ruszając do przodu tanecznym krokiem, rozsiewając wokół woń fiołków. - Jestem panna Whately spod 3A. - Przykucnęła w pięknym ukłonie, który ucieszyłby królową Charlotte, pełen był bowiem antycznego wykwintu. Powstała i uśmiechnęła się.

- Tak się cieszę, że mogę panią poznać. Troszeczkę się spóźniłam z tym komornym. Przepraszam, złotko, ale aż do wczoraj pani nie było. Zresztą chyba lepiej późno niż wcale, nieprawdaż?

Mówiąc to wręczyła mi pieniądze. Białe palce ozdabiały liczne tanie pierścionki. Podziękowałam i sięgnęłam po kwitariusz. Panna Thackery wpatrywała się w naszego gościa, jakby nigdy niczego takiego nie widziała, i w istocie tak było. Takich typów nie widywało się ani w Radstock, ani w Bath, chyba że na scenie. Jej piękny głos i wdzięczne ruchy, jak również mieszkanie w pobliżu Drury Lane nasunęły mi przypuszczenia, że może jest aktorką.

- Mam nadzieję, że nie będzie nas pani stąd wyrzucać, panno Irving?

Odpowiedziałam jej to samo co innym.

- Boziu, ja to mam pecha! - wykrzyknęła, przykładając rękę do czoła w melodramatycznym geście.  
- Tak blisko Drury Lane. Wiedziałam, że to długo nie potrwa.

Panna Thackery odchrząknęła i spytała:

- Czy pani jest aktorką, panno Whately?

To pytanie spowodowało kolejny teatralny ukłon. Moja opiekunka popatrzyła na mnie bezradnie i odwzajemniła się dygnięciem. Nasza aktorka przysunęła sobie krzeselko i usiadła mówiąc:

- Właśnie tak, proszę pani.

Przedstawiłam pannę Thackery, a panna Whately zaczęła opowiadać.

- Słuchajcie, panie, jeżeli wybieracie się do teatru, mogę wam załatwić tańsze bilety, tak jak to robiłam dla pani ciotki. Szkoda, że panie nie widziały Sprovokowanego męża. Grałam lady Wronghead. Chcieli, żebym grała córkę lady Wronghead ze względu na mój wiek, rozumiecie, ale to mała rólka. Miałam cudowne sceny z hrabią Bassetem. Des Maithand grał hrabiego. Wspaniały aktor.

- Czy wciąż to grają? - spytałam z pewnym zainteresowaniem.

- Nie, to było zeszłej zimy.

- A jaką rolę teraz pani gra? - spytała panna Thackery.

- Aktualnie jestem wolna i wypoczywam po ciężkim sezonie. Teraz jest trudniej o role, od czasu, jak mają tego nowego dyrektora w Drury Lane, pana Bakera. Grają podwójne role za te same pieniądze. Straszny sknera! Za darmo Baker by nawet nie kichnął. Chce, żebym grała w Sprovokowanej żonie, coś jak druga część Sprovokowanego męża. Vanbrugh jest świetnym dramaturgiem.

- Myślałam, że właśnie idzie pani do teatru - powiedziała panna Thackery, patrząc na kostium naszej lokatorki.

- Co? W tej starej szmatce? - spytała panna Whately i roześmiała się perliście. - Och, Boże, panno Thackery, nie chciałabym umrzeć na scenie w tym łąchu. Nie, pułkownik Stone zaprasza mnie na kolację. Obwozi mnie swoim powozem od paru tygodni. Stary piernik, ale *coś* trzeba czasami zjeść. I jest bezpieczny. Już to ma za sobą.

Zdumiały mnie te bezpośrednie słowa. Żeby zapełnić czymś przedłużającą się ciszę, spytałam:

- Czy widziała pani może naszą informację na tablicy ogłoszeń?

- Chyba nie podwyżka komornego? - wykrzyknęła.

- Nie, chodzi o *meble do* mieszkań.

- Och, Boże, chodzi o to krzeselko? To Sharkey je rozwalił. Jeżeli chce nas pani rozliczyć za zniszczone meble, to niech pani goni Sharkeya.

Panna Thackery wręczyła jej karteczkę.

- To jest ta informacja - powiedziała.

Zdaje się, że napisała kilka, nim była zadowolona z efektu, i dała teraz lokatorce mniej udany egzemplarz.

Panna Whately zmarszczyła się na chwilę.

- Mogłaby mi pani to przeczytać? Zostawiłam okulary na górze.

Biel policzków otaczająca różowe plamy znikła. Cała twarz była teraz różowa i uderzyła mnie myśl, że ona nie potrafi czytać. Jak więc uczyła się roli?

- Jest tam napisane, że chcę się pozbyć zbędnego umeblowania i zapraszam lokatorów, żeby sobie je zabrali - wyjaśniłam.

- Przydałaby mi się przyzwoita toaletka i dwa dodatkowe krzesła - powiedziała, marszcząc czoło.

- Ile pani za to by chciała?

- Nic. Te meble są tu niepotrzebne. To tylko pożyczka. Przy wyprowadzaniu się należy je zostawić.

- To znaczy za darmo? - Nie mogła uwierzyć.

Zerwała się z krzesła i pobiegła w róg pokoju.

- Co oznaczają te małe karteczki?

- Są na tych meblach, które chcę usunąć.

- Wezmę to - powiedziała łapiąc małą skrzynkę z jednego stosu. - Przyda mi się na różne drobiazgi. I toaletkę, tak jak mówiłam, i sześć krzeseł. A nie miałyby pani czasem kawałka dywanu?

Spojrzałam na trzy, które miałam pod nogami. Jeden wystarczał w zupełności.

- Kiedy meble zostaną zabrane, zobaczymy, co tu mamy - powiedziałam jej.

- Niech Jack zaczeka i pomoże mi to zanieść na górę. To znaczy pułkownik Stone. Albo nie, najpierw niech mi postawi kolację. Czy mogłaby pani przylepić karteczkę z moim nazwiskiem na tych mebelkach i zachować dla mnie kawałek dywanika, panno Irving?

- Tak, możemy to zrobić - zgodziłam się.

Usłyszałyśmy otwieranie frontowych drzwi i szuranie nogami w holu.

- To pewnie pułkownik - powiedziała panna Whately. - Halo, Jack, tutaj! - zawołała.

Do salonu przyczłapał zabytkowy dżentelmen. Miał śnieżnobiałe włosy i pomarszczoną twarz.

Panna Whately mogłaby go z łatwością podnieść jedną ręką. Nie sędzę, żeby jego względy mogły zagrozić jej cnocie.

Miał doskonale skrojony wieczorowy garnitur. Dodatki, jakie nosił: rękawiczki, dewizka od zegarka, rubinowa spinka do krawata - wszystko wskazywało na to, że był dobrze sytuowany. Zachowywał się również jak dżentelmen.

- Renie, kochanie, jesteś jak zwykle czarująca - powiedział trzęsącym się głosem.

- To panna Irving i panna Thackery - przedstawiła nas lokatorka. Stary pułkownik skłonił się elegancko.

- Jestem zaszczycony. Kochanie, mam nadzieję, że jesteś dziś przy apetycie. Zarezerwowałem dla nas prywatny gabinet w Clarendonie i zamówiłem dużo ostryg, jak lubisz.

Panna Whately spojrzała na nas z dumą, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie, jak go wytrenowałam?”

- Czas coś wrzucić na ruszt. Nie zapomni pani o moich meblach? Można po prostu ustawić je osobno albo niech pani poprosi Sharkeya, żeby to zaniósł do mojego mieszkania. Ma pani oczywiście klucze?

- Nie, właściwie...

- No to Scuddie je wzięła. Odebrałabym je od niej na pani miejscu. Jeżeli ktoś jest taki naiwny, żeby trzymać gotówkę w domu, to ona zwinie, jak amen w pacierzu. Boże, co my, kobiety pracujące, musimy znosić - zwróciła się do pułkownika, trzepocząc rzęsami.

- Tak bym chciał, żebyś pozwoliła się stąd zabrać, kwiatuszkę - zaskrzyphiał.

- Och, Jack, przecież wiesz, że twoja żona obdarłaby cię ze skóry - roześmiała się i wyprowadziła go z salonu, podtrzymując jednocześnie swą masywną postać. - Pa, pa! Musimy lecieć.

Panna Thackery i ja siedziałyśmy zdumione. Co powiedzą na nią w eleganckim hotelu Clarendon?

- Wezmę klucze od pani Scudpole - powiedziałam i wyszłam do kuchni.

Siedziała tam, przygotowując kolację. Niechętnie rozstała się z kluczami. Miałam nadzieję, że lokatorom nie zginęła żadna gotówka ani kosztowności.

- Widzę, że Renie znalazła nowego opiekuna - powiedziała kwaśno.

Zignorowałam słowo „opiekun”, chociaż pewno było właściwe.

- Poszła na kolację z pułkownikiem Stone - wyjaśniłam.

- Hm. Kolację, tak? Ciekawe, z czego płaci komorne i za co się stroi w te jedwabie i atłasy? Już od pięciu lat w niczym nie zagrała.

- Myli się pani. Zeszłej zimy grała w komedii.

- Tak, z jednym widzom za każdym razem. Nie grała na scenie, odkąd tu jestem, a w tym miesiącu minęło pięć lat. Jest inna nazwa na takie. Ladacznica!

Wzięłam klucze i wyszłam. Panna Whately była lokatorką, jakiej się tu spodziewałam, więc nie powinienam się specjalnie dziwić. To względna przyzwoitość pozostałych wpłynęła na moją ocenę. W każdym razie płaciła czynsz i była spokojna. Pozostawało

nam jeszcze spotkanie z tajemniczym Sharkeyem, ale opowieść panny Whately o połamany przez niego krzesło nie pozwalała spodziewać się zbyt wiele.

W ciągu następnej godziny kilka razy słychać było trzaskanie drzwiami. Wrócili pani Clarke i pan Butler, wprawdzie nie razem, ale w bardzo krótkim czasie. Ona wciąż jeszcze czytała ogłoszenie, gdy nadszedł on i usłyszałyśmy ich zachwycone okrzyki z powodu „darmowych” mebli. Profesor Vivaldi zjawił się bez takiego hałasu, a pan Alger, który poszedł późno do pracy, nie wrócił jeszcze. Przebrałyśmy się do kolacji, ale bez specjalnej elegancji, bo liczyłyśmy się ewentualnie z jakimś przesuwaniem mebli.

Pani Scudpole wysiliła się na upieczenie jakiegoś wysuszonego kurczaka i rozgotowała ziemniaki i groszek prawie na papkę.

- Spróbuję jutro sama przyrządzić jakąś pieczeń - powiedziała panna Thackery. - Jak jej się udało, na miłość boską, zmarnować takiego dobrego kurczaka? Smakuje, jakby tydzień siedział w piekarniku.

- Skrzydełka i nogi twarde jak kamień. Pierś jest jadalna. Jeżeli zostaniemy, muszę nająć kogoś, kto potrafi gotować. Niepokoję się trochę o pana Sharkeya. Od dwudziestu czterech godzin ani śladu. Chcę zajrzeć do niego po kolacji. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

- Może się po cichu wyniósł, nie płacąc czynszu?

- Jeżeli tak, postaram się znaleźć na jego miejsce

kogoś dobrze wychowanego. Zostałaby tylko panna Whately, rzucająca cień na reputację tego domu.

- To brzmi, jakbyś miała zamiar tu zostać, Cathy!

Nie zaprzeczałam. Zaczynałam odczuwać zainteresowanie moimi lokatorami i moim okropnym domem.

- Śmiem twierdzić, że ten pomysł zawdzięczamy panu Algerowi - dodała, patrząc wymownie.

- Nie bądź śmieszna - zaprotestowałam, ale poczułam rumieniec oblewający mi policzki. Muszę przyznać, że nasłuchiwałam, czy nie trzasną drzwi, oznajmiającego powrót. Skończyłyśmy kolację, ale nie pojawił się ani on, ani pan Skarkey. Było wpół do ósmej, więc poszłyśmy do salonu powitać lokatorów, którzy przyjdą po meble.



## Rozdział 6

Myślę, że chętnie pracowałabym w sklepie, sądząc po przyjemności, jaką mi sprawił dzisiejszy wieczór. Klienci przychodzili, przedstawiali *swoje* potrzeby, a ja pomagałam im wybierać. Ulubienicą wszystkich była pani Clarke, której dali pierwszeństwo, żeby wybrała, czego potrzebuje dla synka. Przedstawiła całkiem skromne wymagania: komódkę na ubranka i pościel Jamie'ego. Miała zresztą dobre oko. Wybrała zgrabny mebelek i spytała:

- Czy będę je mogła pomalować, panno Irving? Kołderka Jamie'ego jest niebieska.

Pan Butler, który szedł cały czas krok za nią, jak kamerdyner, pospieszył w sukurs.

- Mażnięcie pędzlem i będzie jak nowa. Panna Irving nie będzie miała nic przeciwko temu.

Panna Irving nie miała, a nawet znalazła wiszącą półeczkę, którą też można maznać farbą i nada się świetnie na zabawki małego.

Pan Butler zajęty był szperaniem w poszukiwaniu innych atrakcji dla ukochanej. Nie trzeba być wróżką, żeby widzieć, że stracił dla niej głowę.

- Przydałoby ci się jeszcze krzesółko, Anne - powiedział, przyglądając się zebranym krzesłom. - Kiedy panna Lemon je z nami, musimy przynosić dodatkowe krzesółko z sypialni.

- Ależ oczywiście, niech pani weźmie krzesółko. A może dwa? - powiedziała zachęcająco panna Thackery. Krzesel miałyśmy najwięcej.

Nie bez pewnej zachęty pani Clarke wybrała dwa krzesła, a pan Butler wziął co najmniej trzy. Nie wiem, co zamierzał z nimi wszystkimi zrobić. Gdy ja zajmowałam się wdową, profesor Vivaldi chodził po pokoju, aż wybrał sobie biurko i krzesółko. Pani Scudpole nie mogła być odsunięta od czegoś, co dawali za darmo, i przymierzała się do kilku pojedynczych stolików i różnych przypadkowych drobiazgów.

Mullard donosił meble z zagraconej sypialni, pomagał je przestawiać, żeby lokatorzy mogli dobrze je obejrzeć. Cały hol pełen był rupieci. Panna Lemon, bojąc się, że coś jej umknie, zeszła na dół, niosąc Jamie'ego. Była to szacowna pani w średnim wieku, traktująca Anne Clarke z mieszaniną matczynej troski, uczynności służącej oraz przyjaźni.

- Jamie się obudził, proszę pani - powiedziała.

- Więc pomyślałam, że nic się nie stanie, jak go tu przyniosę. Wie pani, jak on lubi trochę pobrykać przed nocą. Pamięta pani, że chciałam nocny stolik i lampkę, jeśli są.

Pani Clarke wzięła dziecko, żeby niania (czy kim ona była) mogła spokojnie oglądać.

Jamie był taki, jaki powinien być syn oficera. Jego okragłą twarzyczkę okalały ciemne loczki. Miał duże, błękitne oczy. Świeżo po drzemce był w świetnym humorze, śmiał się i gaworzył. Wraz z panną Thackery zachwycaliśmy się nim ku radości matki. Zgodziłyśmy się, że ma jej oczy, i uwierzyłyśmy na słowo, że włosy i uszy ma po tatusiu.

- To jego urodziny - wyjaśniła pani Clarke. - Dziś kończy już dziewięć miesięcy. Uszyłam mu tę sukienkę, którą ma na sobie.

Wydało nam się nieco dziwne, żeby dziewięć miesięcy uznawać za urodziny, ale zapewne dziecko odgrywało tak olbrzymią rolę w jej życiu, że miało pewnie dwanaście urodzin w roku. Sukienka była bardzo ładnie uszyta, z kaczuszkami wyhaftowanymi na karczku.

Kiedy podziwiałam sukienkę, wrócił pan Alger i natychmiast przystąpił do naszego meblowego interesu. Tłumek się rozrzedził, a profesor Vivaldi poszedł podziwiać Jamie'ego.

- Czy moje biurko Hepplewhite jeszcze jest? - spytał pan Alger.

- Owszem, jest. I proszę sobie dobrać odpowiednie krzesło. Mamy dzisiaj specjalną cenę na krzesła.

Milliard doliczył się dwudziestu czterech zbędnych krzeseł.

- Dobijemy targu. Jeżeli pani dorzuci jeszcze lampę, to wezmę dwa.

- To przybijemy. Chodźmy do holu. Jest tam komplet krzeseł z orzecha. Niektóre mają nawet cztery nogi. Będą pięknie pasowały do biurka, ale nie biorę odpowiedzialności za to, czy utrzymają pański ciężar.

Gdy badaliśmy krzesła i sprawdzaliśmy wytrzymałość nóg, drzwi się otworzyły i wpadł mały człowieczek z kręconymi brązowymi włosami. Był mniej niż przeciętnego wzrostu, ale jeszcze nie karzełek. Oceńłam, że był ode mnie niższy o pięć centymetrów, a ja liczę sobie metr sześćdziesiąt. Z nabrzmiałej bladej twarzy z jednodniowym zarostem wyzierały głęboko osadzone brązowe oczy. Jego ubranie było nie tylko źle uszyte, ale również nie można go było nazwać czystym. Marynarka miała duże, mosiężne guzy, watowane ramiona i wciętą talię, nieodpowiednią do jego sylwetki. Na krawacie widniały podejrzane plamki w kolorze zastygłej krwi. Przerażony wyraz twarzy sprawiał, że wyglądał na ofiarę prześladowań. Rozglądał się po zebranych, jakby oczekiwał, że zaraz ktoś może wyjąć pistolet.

- Dobry Boże, a to kto? - wykrzyknęłam.

- Nie poznała pani jeszcze pana Sharkeya? - spytał pan Alger, uśmiechając się na widok mego przestrawienia, - Proszę się zaznajomić ze swoim lokatorem.

Pan Sharkey podążył w naszą stronę.

- Co tu się dzieje, Alger? - dopytywał się. - Czy przyszli komornicy?

Alger przedstawił nas sobie i wyjaśnił sytuację.

- To znaczy, że możemy wziąć, co chcemy, za darmo? - upewniał się, a z jego zachłannego wzroku przebijało niedowierzenie.

- Pozwalam lokatorom na użytkowanie sprzętów z białą etykietką - wyjaśniłam.

Ruszył natychmiast sprawdzić, co może dostać.

- Niech pani nie zapomni przyszpilić go w sprawie komornego - przypomniał Alger, po czym poszedł podziwiać Jamie'ego.

Poszłam za Sharkeyem i znalazłam go w salonie. Jednak nie wybierał mebli, tylko stał przy stoliku ze zbieraniną drobiazgów, których chciałam się pozbyć. Były wśród nich tanie, odrapane figurki, wyszczerbione ozdobne salaterki i imitacja mosiężnych lichterzy, zegar bez wskazówek i inne bezużyteczne już przedmioty.

- Mogę to wziąć? - spytał.

- Oczywiście, panie Sharkey, jeżeli ma pan miejsce na to wszystko. Jeżeli idzie o komorne...

Schwycił mnie za rękaw i pociągnął w najciemniejszy kąt pokoju.

- Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać. Mógłbym wpłacić połowę jako zaliczkę. Ostatnio interes słabo idzie. Mam kłopoty z odebraniem pieniędzy od niektórych klientów. Wie pani, jak to jest. Sama jest pani kobietą interesu i to bardzo przystojną, niech mi będzie wolno powiedzieć.

- Uśmiechnął się tak, że przypominał krokodyla.

- Tak, oczywiście - odpowiedziałam, spoglądając na niego lodowato.

- Ha, ha. Jestem solidny, jeśli chodzi o pieniądze. Niech pani kogoś spyta. Algerowi zawsze oddaje.

- A w jakiej branży pan działa, panie Sharkey?

- Handluję hurtowo nietypowymi towarami.

- Och - zdumiałam się.

- Może wyjaśnię. - Sądził chyba, że łatwiej wyjaśni wpijając się krótkimi paluchami w mój rękaw. - Kupuję różne zapasy ze sklepów, które zbankrutowały, i sprzedaję innym. Działam też w prywatnych rezydencjach, szczególnie po śmierci właściciela. Szkoda, że najpierw mnie pani nie powiedziała o tym całym towarze - dodał, wskazując ręką na pozostałe graty. Wywiózłbym to pani, bo mam własny wóz, i coś by pani za to miała.

Spojrzałam na wielkie mosiężne guziki połyskujące z lekka w przytłumionym świetle i przypomniało mi się, gdzie już je widziałam.

- Czy to pana wóz stał dziś rano w przejeździe obok mojego domu?

- Wróciłem późno w nocy i stanąłem tam. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

- Mam przeciwko temu, że pański woźnica nie powiedział mi prawdy, kiedy pytałam. Wolałabym, żeby w przyszłości stawał pan gdzie indziej. Jeżeli ja albo pan Alger będziemy chcieli korzystać z powozu, będzie nam zawadzał.

- Racja. Porozmawiam z moim woźnicą. A teraz

czynsz. Mogę dać połowę teraz... a drugą przed końcem przyszłego tygodnia. Stoi? - Ujął moją dłoń swoją łapą.

- No, ewentualnie mogę poczekać do przyszłego tygodnia - powiedziałam, cofając rękę. Nie ważyłabym się w przypadku innych lokatorów, ale pan Sharkey wyglądał na to, że ma kontakty z takim środowiskiem, iż nie ufałam mu ani odrobinę.

Jego okrągła twarz rozpląnęła się w uśmiechu, ukazującym małe ciemne ząbki.

- Wiedziałem, że będzie pani rozsądna. Pani słu-cha - ciągnął, znów chwytając mnie za rękę. - Jak potrzebuje pani jakieś błyskotki, to najpierw do mnie, zanim pani pójdzie gdzieś kupować. Mogę dostać wszystko taniej. Pani zapyta Algiera czy Butlera. Skombinowałem złoty zegarek dla Butlera sześćdziesiąt procent taniej. Często mi wchodzi w rękę takie rzeczy w moich interesach.

- Nie bardzo interesują mnie błyskotki.

- Teraz na przykład mam piękny pierścioneczek z granatem - powiedział. Wsadził rękę do kieszeni i wyjął pierścionek z wiśniowym kamieniem. Wepchnął mi go do ręki. Obejrzałam dokładnie i wydał mi się dobry. - Chciałem go zatrzymać dla mamy - wyjaśnił, świdrując mnie oczkami, żeby sprawdzić, czy uwierzyłam w tę bajeczkę. - Mógłbym to pani zostawić zamiast miesięcznego czynszu...

- Dziękuję, panie Sharkey, ale wolałabym gotówkę.

Wziął z powrotem pierścionek i wyjął damski zegarek.

- A może to? - spytał, wymachując mi nim przed oczyma.

Był bardzo ładny. Ja wprawdzie nie potrzebowałam drugiego zegarka, ale panna Thackery zgubiła swój rok temu podczas przejażdżki. Gdy odnalazł się dzień później, był tak zgnieciony, że nie dało się go już naprawić.

- Skąd pan go ma? - spytałam.

- Był wśród wyposażenia domu, które wykupiłem w Kent. Właśnie tam byłem przez te ostatnie dni.

Wzięłam zegarek do światła. Był złoty, a w każdym razie wyglądał na złoty. Koperta wygrawerowana była w kwiatki, a na białej emaliowanej tarczy namalowano ręcznie przy brzegu maleńkie wianuszki różyczek.

- To wygląda na bardzo cenne, panie Sharkey. Obawiam się, że jest wart więcej niż miesięczny czynsz.

- No to za dwa miesiące i będę miał zapłacone z góry.

- Ale muszę pana uprzedzić, że może nie zatrzymam domu na tak długo. Myślę o sprzedaniu go.

- To wtedy odda mi pani różnicę. Mam do pani zaufanie - powiedział z obleśnym uśmiechem. - Wyświadczy mi pani przysługę, panno Irving. Jestem trochę pod kreską.

- Myślę, że tak będzie w porządku - powiedziałam.



Nie czułam się zupełnie w porządku, ale nie widziałam niebezpieczeństwa w tej transakcji.

- Niech to zostanie między nami - zaproponował.  
- Jak inni usłyszą, będą chcieli ode mnie coś okazyjnie kupić.

Profesor Vivaldi podszedł zapytać o jakiś nocny stolik, więc zostawiłam Sharkeya, żeby sobie obejrzał resztę mebli. W holu odbywały się już przymiarki, co jak powynosić.

Butler i Alger wzięli komódkę dla pani Clarke, panna Lemon niosła Jamie'ego, a ja zaoferowałam pani Clarke pomoc przy niesieniu wiszących półeczek. Muszę przyznać, że chciałam obejrzyć pokoje moich lokatorów. Pani Clarke urządziła swój salonik skromnie, ale bardzo przyjemnie. Ściany pomalowane były na smętny, musztardowy kolor i meble były byle jakie, ale udało jej się rozjaśnić pokój poduszkami, obrazkami i drobiazgami, które potrafi wymyślić kobieta z artystycznym zmysłem, nawet bez pieniędzy. Drewno aż błyszczało od polerowania.

Podziękowała mi trzy czy cztery razy i zaproponowała herbatę, ale ponieważ chciałam doglądać reszty, zeszłam na dół. Pan Alger i Butler też zeszli po krzesła, których udało mi się pozbyć.

Na schodach spotkaliśmy profesora Vivaldiego i Sharkeya, który pomagał mu nieść wybrany sprzęt. Sharkey wkrótce wrócił na dół i zaczął zbierać do pudła podniszczone bibeloty.

- Mogę z panem zamienić słowo, Alger? - zawołał z salonu i Alger podszedł do niego.

Zerknęłam tam po chwili, przypominając Butlerowi, które krzesła mają być wniesione do pani Clarke. Zobaczyłam, jak Sharkey pokazuje Algerowi pierścionek z czerwonym kamieniem, a pan Alger potrząsa głową. Nie wziął pierścionka, ale Sharkey albo sprzedał mu coś innego, albo namówił na pożyczkę, bo zobaczyłam, jak Alger wyjął portfel z kieszeni i pieniądze zmieniły właściciela. Kiedy Sharkey wbiegał po schodach, na jego okrągłej twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

- Dobrze pani poszło, panno Irving - powiedział Alger, wracając do holu. - Jeszcze ja zabiorę swoje biurko i krzesła, i zmieści się tu już mały kotek.

- Może nawet kot. Panna Whately też bierze kilka sprzętów. Myślała, że może któryś z panów zanieśe jej to na górę.

- Wyszła pewnie z pułkownikiem Jackiem, co? - zapytał Alger.

- Tak, poszli na kolację do hotelu Clarendon, proszę sobie wyobrazić.

- Ostrygi dla Renie!

- Widzę, że zna pan ten schemat?

- Tylko pierwszą część wieczoru - powiedział z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Nie sądzę, żeby pułkownik nadawał się do jakichś wyczerpujących poobiednich figli. Ledwo może chodzić bez pomocy.

- Po tuzinie ostryg nic nie wiadomo. Które meble są dla niej? Poproszę Butlera, żeby mi pomógł. Postawimy je przed jej drzwiami.

- Mam klucz. Powiedziała, że mogę otworzyć.

Przyszedł Butler po kolejne krzeselko i Alger go zaraz przydybał, żeby pomógł zanieść rzeczy panny Whately. Poszłam z nimi otworzyć drzwi.

- Zaraz przy wejściu na stoliku jest lampa i hubka z krzesiwem - powiedział Alger.

Jego znajomość topografii tego pokoju nie uszła mojej uwadze, ale nic nie powiedziałam. Gdy stanęłam w drzwiach w skąpym świetle z holu, znalazłam lampę i krzesiwo. Salonik Renie był zupełnie różny od pokoju pani Clarke. Był kolorowy i wesoły, ale okropnie zabałaganiony. Na ścianach wisiały afisze sprzed dziesięciu lat, z nazwiskiem Irene Whately. Nie były to jednak teatry Drury Lane czy Covent Garden, lecz małe prowincjonalne teatryki, których nazw nie znałam.

Kolorowe szale, czepki, rękawiczki walały się na sofie. Na stoliku przy sofie stała karafka wina i brudne kieliszki. Pomyślałam, że może tu czyta, ale nigdzie nie było widać ani powieści, ani magazynu. Przypomniało mi się zdanie: „Zostawiłam na górze okulary” - i zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby była analfabatką. Wydawało się dziwne, że nigdzie nie leżała gazeta ani list. Na środku podłogi walały się domowe pantofle. Odstawiłam je, żeby panowie się o nie nie potknęli.

- Wstawcie tę toaletkę tutaj, a panna Whately ustawi ją sobie później, gdzie będzie chciała - powiedziałam.

Znów poszliśmy na dół, Butler po krzesła panny Whately, Alger po swoje biurko. Żeby przyspieszyć

to usuwanie mebli, wzięłyśmy z panną Thackery po jednym krześle Algiera. Bardzo chciałam zobaczyć, jak on urządził swój salonik. Te pokoje, które widziałam, odzwierciedlały jakoś mieszkańców. Może po obejrzeniu jego pokoju rozszyfruję pana Algiera?

Rozczarowałam się. Pokój sprawiał wrażenie sterylne. Panował w nim porządek, ale niewiele dodano do minimalnego wyposażenia, jakie zapewniła moja ciotka. Było trochę książek, elegancko oprawionych w skórę, ze złoceniami, na stoliku obok sofy kłębiły się foldery i papiery, a kilka eleganckich drobiazgów wyraźnie odbijało od reszty. Karafka do wina i kieliszki, stojące na srebrnej tacy, miały niewątpliwie błysk kryształu. Na bocznych stolikach rozłożone były szachy na pięknej marmurowej szachownicy. Piękne marmurowe rzeźbione pionki wyraźnie wskazywały na przerwana partię. Również kryształowy kałamarz i inne drobiazgi z biurka były bardzo eleganckie.

- Teraz pani widzi, dlaczego potrzebuję biurka - odezwał się Alger. Stał za mną. - Sharkey jest zazwyczaj moim partnerem w szachy. Obawiam się, że mu nie dorównuję. Ale, ale, czy uregulował swój dług?

- Tak - odpowiedziałam, ale zarumieniłam się wspominając, jak zostałam namówiona na przyjęcie cennego zegarka.

- Pierścionek z rubinem? - spytał unosząc brwi w zatroskaniu.

- Z rubinem? Mówił, że to granat.

- Mnie wyglądał na rubin. Radziłbym nie brać od niego nic, poza gotówką. Brzydko jest źle o kimś mówić za jego plecami, ale kiedyś kupiłem od niego zegarek i potem tego żałowałem.

- Co się stało? - spytałam z przestraczem.

- Przyszedł posterunkowy i uwolnił mnie od zakupu. Z ledwością unikałem więzienia. „Otrzymywanie towarów pochodzących z kradzieży”. Chyba tak brzmiało oskarżenie. Udało mi się przekonać policję o swej niewinności.

- To znaczy, że jest złodziejem? Mówił, że kupuje od bankrutujących sklepów i gospodarstw domowych.

- To też, jak się trafi okazja. - Pewnie dostrzegł moje strapienie, bo powiedział: - Panno Irving! Czy pani przypadkiem?...

- Zegarek - powiedziałam i wyjęłam go z kieszeni. Teraz, kiedy wiedziałam już, dlaczego Sharkeyowi zależało na tajemnicy, nie czułam się winna, wyjaśniając ją. - Kupiłam go na urodziny pannie Thackery, bo ona swój zgubiła. Ojej, muszę mu natychmiast go oddać. Szkoda, że pan mnie wcześniej nie ostrzegł.

- Chciałem powiedzieć Sharkeyowi, żeby pani nie nabierała na swoje sztuczki. Nawet... - przerwał i zmarszczył się.

- Dał mu pan pieniądze, żeby zapłacił komorne.- Niech się pan przyzna. Widziałam to.

- Nic pani nie umknie! To była pożyczka. Zawsze oddaje, w taki czy inny sposób.

- To było bardzo uprzejme z pana strony, ale

chyba szkoda dla niego tej uprzejmości. Poproszę go, żeby się stąd wyprowadził.

- Och, nie spieszyłbym się tak, panno Irving - powiedział z uroczym uśmiechem. - Kto wie, kogo pani znajdzie na jego miejsce. Chwilowo trudno mu związać koniec z końcem, ale w rezultacie zawsze płaci. Utrzymuje matkę, która jest wdową, i cztery młodsze siostry.

- To z pewnością szlachetne, ale jednak oddam mu ten zegarek.

Poszliśmy do pokoju pana Sharkeya i zapukaliśmy do jego drzwi. Nikt nie odpowiadał. Zbiegliśmy na dół, żeby się dowiedzieć, że właśnie wyszedł.

- Oddam mu to od razu jutro rano - powiedziałam, a na razie ukryję w wazonie, gdyby jakiś policjant przyszedł mnie przeszukać.

- Nie wolno przeszukiwać domu bez nakazu rewizji - powiedział pan Alger. Wyglądałam pewnie na zaskoczoną, ponieważ poczuł się w obowiązku wyjaśnić mi swoją znajomość tych spraw.

- Nie można być znajomym Sharkeya nie zapoznawszy się ze swymi podstawowymi prawami - tłumaczył z uśmiechem. - To ciekawe doświadczenie dowiedzieć się, jak żyje ta druga połowa, nieprawdaż?

- Nie nazwałabym tego doświadczeniem.

- Nie powinna się pani przejmować drobiazgami.

- Drobiazgami! Przyjęłam kradziony przedmiot!

Mogą mnie do jutra zamknąć.

- Może wszedł w posiadanie tego zegarka legal-

nie? W najgorszym przypadku polecę pani doskonałego adwokata. Wypuszczą panią po dwóch latach. Żartuję, panno Irving! Myślę, że dobrze pani zrobi kieliszek wina.

Nalał dwa kieliszki. Widziałam, że coś go trapi. Milczał, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Jednak nim wyszedł, zmusił się do bardziej towarzyskiego zachowania.

- Nie zapomniała pani, że jutro mamy jechać do Somerset House?

- Nie i poprosiłam pannę Thackery, żeby nam towarzyszyła. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

- Powinienem był podkreślić, aby ją pani zaprosiła. Moje niedopatrzenie.

Zostało to bardzo elegancko powiedziane, ale trochę byłam zawiedziona, że nie przeszkadzało mu towarzystwo. Wkrótce poszedł na górę, a panna Thackery przysłała do mnie do salonu, niosąc herbatę na tacy. Rozmawiałyśmy, jak urządzimy teraz ten pokój, skoro udało nam się pozbyć zbędnych gratów. Poproszę Mullarda, aby resztę porządkował na opał do kominka. Panna Whately może wziąć niepotrzebny dywan i z pewnością jeszcze któryś z lokatorów chętnie zabierze drugi.

Panna Thackery zauważyła, że karafka z winem jest pusta, i poprosiła panią Scudpole o przyniesienie następnej butelki. Przyniosła i powiedziała:

- To ostatnia butelka w domu.

- Chyba ciotka miała piwniczkę z winem? Szukała pani w piwnicy?

- Tajest z piwnicy. Ostatnia - popatrzyła ponuro i wyszła z salonu.

Nie mówiłam pannie Thackery o zegarku. Chciałaby go od razu oddać Sharkeyowi, a ja zaczęłam myśleć o tym biedaku, który ma na utrzymaniu matkę i cztery siostry. Kolejny lokator, któremu muszę współczuć.



## Rozdział 7

Umówiliśmy się, że ja wprowadzę się do sypialni ciotki, a panna Thackery zajmie pokój, w którym spałyśmy obie poprzedniej nocy. Udałyśmy się na spoczynek wcześniej, co okazało się zbawienne, gdyż od pierwszej w nocy prawie nie zmrużyłyśmy oka. O pierwszej przyszła panna Whately, kompletnie pijana. Pułkownik podobnie. Wcześniej ustaliliśmy, że lokatorzy będą otwierać drzwi wejściowe swoimi kluczami, ale skomplikowana operacja włożenia klucza w dziurkę przekraczała możliwości ich obojga. Zaczęli walić w drzwi, wywołując w nas paniczny strach. Kiedy weszłyśmy na paluszkach do holu, uzbrojone w pogrzebacz i dzban do wody, śpiewy i chichot po drugiej stronie drzwi wyjaśniły nam sytuację.

Stali podtrzymując się wzajemnie i uśmiechając się idiotycznie. Kapelus

panny Whately był smętnie przekrzywiony, a suknia wymięta, jakby w niej spała. Na szyi miała krawatę pułkownika. On sam wyglądał bez tej części garderoby bardzo zawadiacko.

- Och, panno Cummings, wyszłam i zapomniałam klucza - powiedziała panna Whately i wybuchnęła śmiechem.

Trzymała w dłoniach klucz, ale na kółku z kluczami pułkownika.

Pułkownik uśmiechnął się mętnie.

- Widzi pani, że jestem w dezabilu - mamrotał niewyraźnie. - Ta panienska zabrała mi krawat. Nawet krowę namówiłaby, żeby oddała cielaka. - Popatrzył na swój klucz i otwarte drzwi. - Mówiłem ci, że mój zadziała - powiedział do panny Whately. - Moje drzwi zawsze otwiera.

- Dobrze, że chociaż klucz u ciebie działa, Jack - odpowiedziała lokatorka, mrugając w moją stronę.

Weszła, a pułkownik próbował wejść za nią. Ją przepuściłam i zagroziłam drzwi ręką.

- Dobranoc, panie pułkowniku - powiedziałam zdecydowanie.

- Co? Przecież to dopiero początek wieczoru. Renie zaprosiła mnie na kieliszek winka.

- Już pan wypił dosyć wina.

- Ani kropelki! Cały czas piłem brandy. - Próbował przepchnąć się obok mnie, ale dobre wychowanie nie pozwoliło mu siłować się z kobietą. Zaraz zresztą zwrócił uwagę na co innego. Podczas tych wszystkich zabiegów rozwiązał mi się szlafrok i spojrział teraz na mnie z okrzykiem:

- O! Tu coś ciekawego!
- Pułkowniku! - wykrzyknęłam, natychmiast zawijając się szczelnie.
- Nie przejmuj się nim, kochanie - rozpromieniła się Renie i zarzuciła mi na szyję jego krawat. - Jack tak tylko gada, ale jest nieszkodliwy, prawda, kotku?
- Tak, tak. Jestem niewinny aniołek - uśmiechnął się, sięgając znów do rozcięcia mojego szlafroka.
- Trzepnęłam go w rękę.
- Niech pan idzie do domu, pułkowniku - powiedziałam ostro i zamknęłam mu drzwi przed nosem. Odwróciłam się do panny Whately.
- Jack to lubi, wiesz - powiedziała, kiwając z uznaniem głową. - Trzepnąć, połaskotać, to coś dla niego.
- Czy wejdzie pani sama na górę? - spytałam.
- Lepiej jej pomóżmy, bo obudzi cały dom - powiedziała panna Thackery. Ponieważ mieszkała na drugim piętrze, a idę o zakład, że nie potrafiłaby wsadzić klucza w zamek, odprowadziłyśmy ją na górę. Całą drogę opowiadała coś swym donośnym, przenikliwym głosem.
- Uroczy człowiek z tego pułkownika, panno Cummings. Zaprosił mnie na doskonałą kolację.
- Potknęła się i omal nie zrzuciła na dół panny Thackery. - Och, pani się nie nazywa Cummings, tylko panna Thack... panna T.
- Gdy pokonałyśmy jedno piętro, zaczęła śpiewać na całe gardło „Mój Jack jest żołnierzem”.
- Pani Clarke uchyliła drzwi.
- A, to tylko Renie - powiedziała powstrzymując ziewnięcie i zamknęła drzwi z powrotem.

Natychmiast otwarły się drzwi pana Algera. Zdziwiłam się, że wciąż miał na sobie strój wieczorowy. Przypuszczałam, że o tej porze poszedł już spać.

- Mogę pani pomóc, panno Irving? - spytał i podszedł do nas. - Wstydziałabyś się, Renie - strofował ją, ale umiarkowanie. - Co panna Irving o tobie pomyśli?

- Och, nie! Panna Irving nie jest taka święta, za jaką chce uchodzić, Algie. Robiła oczy do mojego Jacka. Widziałam, jak się pani piersiami na niego pchała - pogroziła mi palcem.

Westchnęłam z konsternacji.

- Chciałbym to widzieć - pan Alger wyszczerzył zęby w uśmiechu. Objął Renie silnym ramieniem i pchał w górę.

Oparła się o niego i wodząc nieprzytomnie oczami zawodziła: „Mój Jack jest żołnierzem, poszedł na wojnę”. - To wspaniały człowiek, ten Jack - dodała, już nie śpiewając. - Pan też jest niezły, panie Algie. Przyjdzie pan do mnie na kieliszek winka, jak się jej pozbędziemy - powiedziała, odwracając głowę w moją stronę. - Tylko mnie nie uwiedź, ty brzydalu - mówiąc to zarzuciła mu na szyję pulchne ramiona i zaczęła ścisnąć.

Pan Alger zrobił nieszczęśliwą minę i podeszłam mu pomóc. W końcu znów ją ruszyliśmy - my ciągnęłyśmy ją za ręce, a pan Alger podtrzymywał od dołu i pchał, przy akompaniamencie jej chichotów i śpiewów. Otworzyłam drzwi i rzuciliśmy ją wreszcie na sofę.

- Nie powinniśmy jej tak zostawiać - powiedziała panna Thackery. - Trzeba ją położyć do łóżka.

- Och, panno T. - Uśmiechnęłam się. - Niech pani nie podpowiada Algie'emu.

- Będzie miała skurcz w szyi, jak do rana będzie taka zwinięta - ciągnęła panna Thackery, syknąwszy zde gustowana.

- Będzie znacznie gorzej niż skurcz w szyi. W głowie będzie czuła grzmoty, ale to już nie nasza wina - powiedziałam. - Zostawmy ją tutaj. Przepraszam za zakłócenie panu spokoju, ale widzę, że jeszcze pan nie spał.

- Z przyjemnością pomogłem. Przeglądałem jeszcze korespondencję dla Dolmana - odpowiedział. - Wrócę teraz do siebie.

Zostawiłyśmy go przy drzwiach i zeszłyśmy na dół. Trudno było zasnąć po takiej przerwie. Zastanawiałyśmy się, czy wymówić pannie Whately, skoro przeszkadzała innym lokatorom. O drugiej znów zaczął mnie morzyć sen. Kiedy zasypiałam, pięć po drugiej rozległo się znów walenie do drzwi. Oczywiście panna Thackery zerwała się natychmiast i przybiegła do mojego pokoju.

- Któż to może być? - spytała.

- Pan Sharkey jest jedynym, który wychodził. Pewnie zapomniał klucza. Niech go gęś kopnie!

Włożyłam szlafrok, wzięłam lampę i poszłam do drzwi, ubezpieczana z tyłu przez pannę Thackery. Otworzyłam drzwi, zastanawiając się, czy zaczekać, aż nie będzie w pobliżu mojej przyjaciółki. Ku swemu zdumieniu zobaczyłam w drzwiach wysokiego, spo-

glądającego groźnie policjanta. Wręczył mi jakąś kartkę.

- Mam nakaz przeszukania lokalu Erica Sharkeya na okoliczność skradzionych towarów - powiedział i wszedł do środka.

Nie widziałam innego wyjścia, jak tylko działać zgodnie z prawem.

- Trzecie piętro, mieszkanie 3B - powiedziałam, a on pomaszerował po schodach.

Był równie hałaśliwy, jak panna Whately. Sądziłam, że policja mogłaby mieć na uwadze niewinnych ludzi, którzy nazajutrz rano muszą iść do pracy. Nie poszłyśmy za nim na górę. Panna Thackery powiedziała, że nie spodziewała się niczego innego po Sharkeyu, i poszła spać.

Czekałam na podeście i zobaczyłam, że pan Alger wyszedł na korytarz i rozmawia z policjantem. Miał wciąż na sobie wieczorowy garnitur.

- Czy mógłbym zobaczyć ten nakaz? - spytał bardzo oficjalnie.

Policjant wręczył mu kartkę. Zapewne wszystko było formalnie w porządku.

- Czy Sharkey jest w domu? - spytał policjant.

- Nie, nie widziałem go dzisiaj wieczorem. O co jest oskarżony?

- Jak zwykle. Przechowywanie przedmiotów pochodzących z kradzieży. Lady Pryor miała pierścionek z rubinem, sznur pereł i zegarek, które zostały ukradzione wczesnym wieczorem przez jakiegoś złodziejaszka. To był taki towar, jakim się zajmuje Sharkey.

- Nie było go w mieście od paru dni, panie oficerze. Sądzę, że tym razem pudło.

- Jednak przejrzę jego lokal. Może znajdę coś innego.

Alger poszedł za nim, a ja stałam jak ogłuszona. Nie zdumiało mnie tak bardzo, że Sharkey zdobył pierścionek! zegarek nieuczciwie. Podejrzewałam, że sam je ukraść. Zdumiewał mnie jednak fakt, że był pośrednikiem, skupującym kradzione przedmioty i sprzedającym je po okazyjnych cenach. Zmartwiłam się poza tym, że Alger kłamał, by go chronić. A najbardziej nieprzyjemne było to, że ja byłam w posiadaniu kradzionego zegarka. Co powinnam zrobić? Oczywiście, wręczyć policjantowi, powiedzieć, skąd go mam. Byłam posiadaczką przedmiotu pochodzącego z kradzieży, ale niewinną. Chyba nie zostanę aresztowana przy pierwszym wykroczeniu. Pomyślałam o biednej wdowie, matce Sharkeya, i jego czterech młodszych siostrach. Co one zrobią, jak wsadzą go do więzienia? A Alger mógłby pójść razem z nim, gdyż kłamał policji. Była to niesłychanie trudna decyzja. Nie podjęłam jej jeszcze; kiedy policjant przyszedł z pokoju Sharkeya z pustymi rękami.

- Nie ma żadnego dowodu. Jest pan pewien, że Sharkeya nie było w mieście? - spytał Algera.

Alger kłamał w żywe oczy.

- Absolutnie pewien. Wyjechał dwa dni temu, bo sklep z zasłonami w Cranbrook wyprzedawał się. Miał zamiar wrócić jutro.

- Może wpadnę, żeby zamienić z nim słowo. Dobranoc, sir. Dziękuję za pomoc.

- Bardzo proszę, polecam się. Zawsze chętnie stoję po stronie prawa.

Schowałam się w salonie, gdy wychodził, a później poszłam zamknąć za nim drzwi. Kiedy się odwróciłam, krzyknęłam z przerażenia. Pan Alger stał u stóp schodów, obserwując mnie spokojnie wzrokiem żmii. Czułam, że zastanawia się, ile słyszałam.

- Przeszukał mieszkanie Sharkeya - powiedział.  
- Niczego nie znalazł.

Usiłował wysondować, ile wiem.

- Nie mógł, skoro ja mam zegarek lady Pryor, schowany w wazonie, a pierścionek znajduje się w kieszeni Sharkeya. Dlaczego pan kłamał w jego obronie?

- A pani? - spytał, patrząc zuchwale.

- Nie skłamałam.

- Przez przemilczenie, panno Irving - odpowiedział, powoli do mnie podchodząc. - Mogła pani dać oficerowi zegarek i powiedzieć, skąd go pani ma.

- Żałuję, że tego nie zrobiłam! Czuję się winna jak morderca. Ale dlaczego pan mu opowiadał takie bzdury? Czy to z powodu rodziny Sharkeya?

Alger miał tak dziwny wyraz twarzy, jakby nie wiedział, o czym mówię. Zaraz jednak pozbierał się i przybrał współczujący ton.

- Nie wiem, co by te biedne dziewczęta zrobiły, gdyby coś mu się stało.

- Bardzo wątpię, czy w ogóle ma rodzinę. Doniosę na niego od razu rano.

- Niech pani nie będzie dziwna. Oczywiście, że ma rodzinę. Dlaczego miałbym kłamać?



- Nie wiem, chyba że jest pan w to wmieszany razem z nim - powiedziałam i zrobiło mi się przykro, że uznałam taką możliwość. Rzeczywiście, najłatwiej było w taki sposób wytłumaczyć obecność tych marmurowych szachów w pokoju pana Algera.

Twarz Algera niebezpiecznie stężała. Stał w takiej odległości, że mógł mnie uderzyć, i nagłe zdałam sobie sprawę z tego, że jestem sama w tej części domu, z silnym mężczyzną, który mógłby mnie udusić, gdyby chciał. A wyglądał zupełnie, jakby chciał.

Trzepnął ręką i powiedział niecierpliwie:

- Niech pani nie działa zbyt pochopnie, panno Irving. Nie wie pani, jak prawo traktuje ludzi w tej części Londynu. Sharkey mógłby zapłacić życiem. To prawda, że wziął kradzione przedmioty. Byłoby niewłaściwe, gdyby je wziął wiedząc o tym. Prawdopodobnie był tego nieświadomy. Zresztą lady Pryor stać, żeby stracić te parę drobiazgów.

- Przecież nie powiesiliby go tylko z tego powodu.

- To zależy, jak zakwalifikowano by przestępstwo. Prawa tworzy się dla obrony dóbr i posiadłości bogatych, uprzywilejowanych klas.

- Ale to nie jest w porządku, że pomaga złodziejom. Chyba pan nie pochwalajęgo zachowania.

- Oczywiście że nie, ale jeśli go aresztują, to jego siostry skończą na ulicy. To ciężki los dla młodych, niewinnych dziewcząt. Prawdę mówiąc, próbuję trochę poprawiać Sharkeya. Zdarzają mu się jeszcze wpadki, ale jeśli pani mnie wesprze, może razem coś z niego zrobimy. To pierwszy wybryk od dwóch

miesiący. Dajmy mu jeszcze szansę. Przecież jako córka duchownego musi mu pani współczuć choć trochę. - Alger mówił to szczerze, z dużym zaangażowaniem.

Byłam w rozterce. Nie chciałam być zbyt surowa dla Sharkeya ani spowodować, że jego siostry pójdą na ulicę, ale nie chciałam być wykorzystywana przez parę oszustów.

- Jeżeli pan Sharkey odda biżuterię lady Pryor, anonimowo, dam mu jeszcze jedną szansę. Ale jeżeli coś takiego się powtórzy, panie Alger, doniosę na niego i na pana na policję. Go powiedziałyby lord Dolman, gdyby wiedział, co się tu działo dzisiejszej nocy? Straciłby pan pracę i zagroziłoby to całej pańskiej przyszłości.

- Jeśli mam być szczerą, lord Dolman patrzy na takie sprawy pobłażliwie. Działa na rzecz klas nie uprzywilejowanych. To on zaproponował, żebym próbował reformować Sharkeya.

Było późno, byłam zmęczona i zdenerwowana. Nigdy jeszcze nie musiałam podejmować tak trudnej moralnie decyzji. Los człowieka był w moich rękach, a kiedy uświadomiłam sobie, jak łatwe było dotąd moje życie, poczułam sympatię do Sharkeya. Jego życie, podobnie jak pani Clarke, nie było usiane różami. Może nawet bardziej zasługiwał na współczucie niż lady Pryor?

- Czy zmusi pan Sharkeya, żeby oddał te skradzione rzeczy, i dopilnuje, żeby więcej tak nie postępował?

- Taki mam zamiar. Właściwie mogłaby pani

spakować zegarek i pierścionek i odesłać je sama do lady Pryor, anonimowo. Czy to rozwiązanie panią zadowoli?

- Tak, jeśli pan dołączy perły. Policjant wspominał też o perłach.

- Nie sądzę, żeby Sharkey miał też perły. Stać go tylko na drobiazgi.

- W takim razie niech odda zegarek i pierścionek.

Uśmiechnął się. Warto było nieco nagiąć prawo dla takiego uśmiechu. Było w nim uznanie i ciepło, oznaczające coś więcej.

- Niech panią Bóg błogosławi. Wiedziałem, że można na panią liczyć. Okropny ma pani ten pobyt w Londynie. Musimy coś na to poradzić. Pani wielkoduszność wymaga godziwej nagrody. Czy lubi pani teatr?

- Nie musi mnie pan przekupywać, panie Alger. Już zawarliśmy układ.

- To nie przekupstwo!

- A więc nagroda.

- Pochlebia mi, że tak to pani widzi. Będzie to dla mnie nagroda, jeśli pozwoli się pani gdzieś zaprosić.

- Jedyłą nagrodą, jakiej pragnę, jest to, żeby pan nic nie mówił pannie Thackery, bo pomyśli, że oszalałam. Nie wiem, co powiedziałyby papa...

- Nie powiem nikomu. Będzie to nasza mała tajemnica. Nie ma nic lepszego, jak wspólny sekret, żeby zawrzeć przyjaźń - powiedział z ciepłym uśmiechem.

Spojrzałam na niego ostro. Podszedł bliżej i ujął moje ręce.

- Niech się przyjrzę tej zbuntowanej duszyczce. Nie jest już pani małym dzieckiem, które musi trzymać się ręki tatusia. - Jego ciemne oczy przyglądały mi się badawczo w mrocznym holu. - Jest pani dorosłą damą, i to bardzo atrakcyjną.

Usłyszałam echo słów Sharkeya w tych komplementach i odsunęłam się ze złością.

- Niech pan mnie dodatkowo nie obraża po zranieniu mnie i nie próbuje mi pochlebiać. Jak pan stwierdził, jestem dorosłą kobietą, za dorosłą na takie szczeniackie pochlebstwa.

- Szczeniackie! - wykrzyknął. - Mam przecież trzydzieści jeden lat.

- Więc jest pan za stary, żeby być jak żyć. Dlaczego pan się nie przeprowadzi na Berkeley Square i nie zadba o swą karierę w uczciwym otoczeniu?

Nie odrywał ode mnie wzroku. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

- A kto pomagałby pani taszczyć wieczorami nietrzeźwych lokatorów na górę, panno Irving? Jak pani uprzejmie sugeruje, jestem dżentelmenem i powinna mnie pani namawiać, żebym został.

- Proponowałam to dla pańskiego dobra.

- Nie zawsze powinniśmy przedkładać własne dobro. Wie pani, że byłoby niesprawiedliwe, gdyby powiesili biednego Sharkeya za zwinięcie paru świecidełek. Zostanę, jeśli mi pani pozwoli, i będę pilnował, aby znów nie zgrzeszył.

- Bardzo dobrze - powiedziałam z ulgą, ciesząc się, że zostanie. -A teraz idę spać. Jeżeli jeszcze ktoś

zapuka do tych drzwi, włożę głowę pod poduszkę i zignoruję to.

- Potrzebuje pani kamerdynera. Czy pani woźnica nie mógłby na razie pełnić tej funkcji? - spytał.

- Sądzę, że tak.

Był to doskonały pomysł. Poproszę Mullarda, żeby wyprowadził się z pomieszczenia nad stajnię, co musiało oznaczać, że my z panną Thackery znów będziemy w jednym pokoju.

- Dobranoc panu.

- Dobranoc, panno Irving. - Wychodził już, ale się odwrócił. - A jeżeli idzie o teatr, to nie łąpówka. Naprawdę chciałbym panie zaprosić któregoś wieczoru.

Skinęłam głową i popatrzyłam, jak wychodził. Cały czas myślałam o eleganckich szachach w jego pokoju i kryształowej karafce i kieliszkach. Czy był w zмовie z Sharkeyem i przyjmował te prezenty w zamian za fałszywe zeznania dla policji, czy był opiekunem, za jakiego się podawał? Czułam, że będę się całą noc denerwować, ale o świcie nareszcie zmorzył mnie sen.

## Rozdział 8

Następnego ranka omówiłam z panną Thackery kwestię przeniesienia Mullarda do domu, aby wieczorami mógł pełnić funkcję kamerdynera. Nie przeszkadzałoby mu to w oczyszczaniu podwórka i malowaniu drzwi wejściowych, i innych drobnych pracach, jakie okażą się konieczne. Podczas bezsennej nocy doszłam do wniosku, że jedynym rozsądnym posunięciem będzie sprzedaż domu. Nie byłam przygotowana do życia w takim podejrzanym otoczeniu, wśród złodziei i prostytutek. Dobroczynnością mogłam zajmować się u siebie. W Radstock dość było nieszczęśliwych istot, które potrzebowały współczucia i pomocy.

Mullard stanowczo zaproponował przeciwko zajęciu sypialni należącej do pań. Zwiedził dokładnie parter i znalazł

w pobliżu kuchni komórkę, która jego zdaniem doskonale mu będzie odpowiadała. Był to kolejny magazyn, ale kiedy usunął cały bałagan, pudła i torby, okazało się, że jest tam nawet łóżko. Służący spędził przedpołudnie przygotowując ognisko, żeby spalić wszystkie śmieci, jakie moja ciotka nagromadziła przez lata mieszkania na Wild Street. Należała do tych osób, które przechowują wszystkie gazety, listy, przetarte prześcieradła, podarte ręczniki.

Panna Thackery opróżniała szafę ciotki, aby tam powiesić rzeczy, a ja siedziałam w swoim pokoju, sporządzając listę spraw do załatwienia, nim sprzedam dom. Przejęłam ten zwyczaj od mojej towarzyszki. Najważniejsze wydawało mi się zeszkobanie starej farby, pomalowanie drzwi i założenie kołatki. W obecnym stanie te drzwi mogą odstraszyć każdego potencjalnego kupca.

Przyszła do mnie pani Scudpole i powiedziała:

- Właśnie przyszedł pan Alger. Chce z panią zamienić słowo w holu.

Wyszłam do holu, ale nie było go tam. Zajrzałam do salonu i zauważyłam, że podszedł szybko do okna. Zachowywał się tajemniczo i zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wygląda przez okno, aby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi, na przykład policja.

- Czy chciał pan zobaczyć się ze mną? - zapytałam.

Przestraszyłam go, ale podszedł do mnie z uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.
- Nie, absolutnie.

Rozejrzał się, a kiedy upewnił się, że jesteśmy sami, wręczył mi pierścionek z rubinem.

- Ma pani zegarek? - spytał.

- Tak, w tym wysokim wazonie, z namalowanymi winogronami.

Wyjął zegarek i podał mi adres lady Pryor, na Half Moon Street.

- Mam go ze spisu w Whitehall - wyjaśnił.

- Zakończyłem pracę na dzisiaj. Mam nadzieję, że nie rozmyśliła się pani co do naszej dzisiejszej wyprawy do Somerset House?

- Nie, chciałabym zobaczyć coś w Londynie, nim wyjadę, bo jest mało prawdopodobne, że wrócę. Postanowiłam doprowadzić trochę ten dom do porządku i natychmiast go sprzedać.

Westchnął strapiony.

- Obawiałem się właśnie, że po ostatniej nocy obrzydnie pani to miejsce. Ale rzadko mamy aż dwa takie wydarzenia jednej nocy.

- Nie mogę mieszkać w tym domu, panie Alger. Bardzo mi żal sióstr pana Sharkeya i pani Clarke, ale doprawdy! Spróbuję poszukać kogoś przyzwoitego, kto kupi dom i będzie nim tak zarządzał, jak moja ciotka, żeby lokatorzy za bardzo tego nie odczuli.

Skinął głową.

- Ma pani rację. To nie miejsce dla damy. Mogłaby pani jednak zatrudnić kogoś do prowadzenia domu. Pani i tak zarabiałaby na tej inwestycji, jak mówiliśmy o tym wczoraj.



- Niewiele będę zarabiać po zapłaceniu zarządzającemu.

- Mogłaby pani znaleźć kogoś, kto robiłby to w zamian za mieszkanie. Niekoniecznie to na parterze, które pani zajmuje - dodał zachęcająco. - Mogłaby je pani nieźle wynająć.

Ten nacisk, bym nie sprzedawała domu wydał mi się podejrzany, ale co mógłby na tym zyskać prócz zatrzymania swojego mieszkania?

- Nie rozumiem pana. Mógłby pan mieszkać luksusowo w rezydencji lorda Dolmana, a siedzi pan tutaj, gdzie nie da się spać nocą przez pijackie awantury i wizyty policji.

- Och, ale mam czarującą gospodynię - powiedział z uwodzicielskim uśmiechem.

Ale nie chodziło mu o gospodynię, skoro sugerował, że mogę wynająć zarządcę. Podeszłam do biurka i zaczęłam szukać w szufladzie pudełeczka na zegarek i pierścionek. Znalazłam jakieś po proszkach od bólu głowy. Zawinęłam i zaadresowałam.

- Rozumiem, że widział się pan z Sharkeyem, skoro ma pan pierścionek - powiedziałam. - Kiedy wrócił? Nie słyszałam go, a nie spałam prawie całą noc.

- Wstąpiłem do niego dziś rano, ale nie pytałem, kiedy wrócił. Ostrzegłem go i powiedziałem o wizycie policji. Prosił, żeby pani to dać - powiedział i wręczył mi pieniądze za miesięczny czynsz.

Byłam prawie pewna, że pieniądze pochodziły z kieszeni Algery. Skąd Sharkey je zdobył, o ile nie obrabował kogoś innego?

- Nie, nie ukradł. Wygrał w karty - powiedział, jakby czytając w moich myślach.

Napisałam pokwitowanie i podałam Algerowi. Załatwiliśmy interesy, ale nie odchodził.

- Czyjadła pani obiad? - spytał niespodziewanie.  
- Może włoży pani kapelusik i pójdziemy gdzieś?

- Jesteśmy dziś bardzo zajęte. Naprawdę, nie powinnam nawet iść na tę wystawę, ale pójdę.

- To nie potrwa długo i nie będziemy tam sami, panno Irving.

- Doprawdy - powiedziałam, czując, że się rumienię. - Nie ma potrzeby, żebyśmy byli sami.

- Nie, nie ma, być może, koniecznej potrzeby, ale mężczyzna lubi być sam z kobietą, którą... - przerwał i uśmiechnął się. - Muszę się nauczyć kontrolować ten niewyparzony język - powiedział. - Widzi pani, jakich obyczajów człowiek nabiera, mieszkając wśród pospólstwa.

- A mimo to namawia mnie pan na pozostanie tutaj.

- To może przynieść interesujące rezultaty - powiedział znów z tym uśmieszkiem. - Ale nie zamierzam sprowadzić pani na złą drogę. Skąd! Wybierzemy się po prostu na małą przejażdżkę. Niech pani pójdzie po kapelusz. Pokażę pani teatr Drury Lane. To tuż za rogiem.

- Będzie tam stał jeszcze po południu. Może mi go pan wtedy pokazać.

- Tak, i mogę też pokazać go pannie Thackery - powiedział, udając urażonego. - Jeżeli się znów nie spali. Widziała go pani po odbudowie?

- Nigdy nie widziałam. To moja pierwsza wizyta w Londynie.

- Dobry Boże - powiedział, jakbym mu właśnie oznajmiła, że mam drugą głowę, tylko trzymam ją w szufladzie biurka. - Widzę, że będzie problem, żeby panią trochę rozerwać, panno Irving.

- Nie musi się pan czuć zobowiązany do zapewnienia mi rozrywek. Nie przyjechałam do Londynu dla rozrywki.

- Nie czuję się wcale zobowiązany! Wręcz przeciwnie. Sprawi mi to wielką przyjemność. Więc jednak nie pojedzie pani teraz ze mną?

- Nie, proszę pana. Nie pojedę.

Nasz niewinny flirt, bo do tego sprowadzała się ta rozmowa, przerwały czyjeś kroki w korytarzu. Do salonu weszła panna Thackery.

- Nie mająj! - powiedziała bardziej z satysfakcją niż ze złością.

Alger zerwał się na równe nogi. Twarz miał wyraźnie kredowobiałą.

- Powiedziałam tylko, że musi wyczyścić kuchnię, bo jest brudna, Cathy - ciągnęła. Nie zauważyła niezwykłej reakcji Algera. - Wpadła w szal i powiedziała, że dosyć ma roboty, gotując dla trzech osób, nawet bez szorowania podłóg. Poza tym denerwuje ją Mullard. Nie chce, żeby spał w tej komórce. Jakby coś mogło grozić tej starej jędzy!

Oczywiście, wiadomość od panny Thackery była niemiła, ale ja przyglądałam się Algerowi, jak powraca mu rumieniec i oddycha z ulgą.

- Pani Scudpole dała nogę, tak? - spytał tonem rozmowy towarzyskiej.

- A o kim niby mówiła panna Thackery, pana zdaniem? - spytałam.

Któż inny mógłby to być? Pani Clarke albo pani Whately? Nie było innej kobiety w domu. Och, i panna Lemon. Z nich trzech mogłaby go zainteresować tylko pani Clarke.

- Tak sądziłem, że to pani Scudpole. Jeśli wydawałem się zdziwiony, to tylko dlatego, że oczekiwałem wiadomości, iż wzięła z sobą srebro. Jeszcze jeden powód, dla którego należałoby ją zwolnić.

- Nie, nie wzięła - tłumaczyła panna Thackery - bo byłam przy tym, więc trudno, żeby je wynosiła tuż przed moim nosem. I co zrobimy ze służącą, Cathy?

- Musimy się skontaktować z jakąś agencją i znaleźć tymczasowo kucharkę, która zgodzi się sprzątać, lub umiejącą gotować pokojówkę.

- Nikt przyzwoity nie zechce przyjść na Wild Street - wyraziła głośno moje ciche obawy. - W każdym razie nie umrzemy z głodu. Umieję trochę gotować i możemy same słać swoje łóżka i odkurzać.

- W tej części miasta trudno jest o uczciwą pracę - powiedział pan Alger. - Nie będą panie miały kłopotu ze znalezieniem kogoś. Mogę to rozgłosić.

- Najlepiej jakąś młodą dziewczynę - powiedziała panna Thackery z uśmiechem ulgi. - Mogę nad-

zorować gotowanie. Potrzebujemy kogoś silnego do uczciwej pracy.

- Pani Freeman z naszej ulicy ma dwie córki, które czasami wykonują różne prace, czekając na szansę w teatrze - powiedział Alger. - Pani ciotka korzystała czasem z ich pomocy przy jakichś wiosennych porządkach. Czy mam z nią porozmawiać?

- To byłoby bardzo miłe.

Poszedł natychmiast. Zauważyłam, że przed wyjściem zerknął w okno. Ciekawa byłam, czy nie kręcił się gdzieś policjant w poszukiwaniu Sharkeya. Podeszłam do okna, ale nie zobaczyłam nikogo.

- Miałyśmy szczęście - powiedziała moja towarzyszka. - Bardzo miło ze strony pana Algera. Jak sądzisz, po co tu przyszedł? Tak wpadł towarzysko? - spytała zaciekawiona.

Nie lubię mieć tajemnic przed nią.

- Chyba można by to tak ująć - odpowiedziałam ogólnikowo.

Uznała zapewne, że moje zakłopotanie wynikało z tego, że przyłapała mnie z wielbicielem. Gdy opowiadała o odejściu pani Scudpole i nowej dziewczynie, zastanawiałam się nad ważniejszą sprawą. Jak mam dostarczyć lady Pryor pierścionek i zegarek? Panna Thackery pojedzie z nami po południu. Podobnie jak pan Alger wolałabym, żeby została. Może Mullard mógłby nadać przesyłkę, kiedy pójdzie po farbę i kołatkę do drzwi? Dobrze, że Alger dotrzymał słowa i dostarczył pierścionek.

Panna Thackery poszła zrobić kanapki i herbatę, a ja wzięłam szmatkę, żeby wytrzeć kurz w salonie. Trudno było sprzątać, kiedy był taki zatłoczony, ale teraz, kiedy pozbyłyśmy się rupieci, widać było, że to niebrzydki pokój. Wysoki, o niezłych proporcjach, a podwójne okna dawały dużo światła, w którym niestety wyraźnie było widać podły aksamit na stołach i lampach.

Meble wymagały woskowania i oczyszczenia terpentyną, więc odkurzałam tylko drobiazgi. Na biurczku stojącym między oknami stały dwa piękne chińskie wazony. Wyższy ozdobiony był winogronami, a niższy, bardziej pękaty, jabłkami i brzoskwiniami. Uniosłam go i w środku coś zagrzechotało. Zajrzałam i zobaczyłam jakieś białe kuleczki. Sięgnęłam tam i wyciągnęłam sznur pięknych pereł. Pobłyskiwały w słońcu. Zapięcie wykonane z brylancików. Przez moment myślałam, że to ciotka je tam włożyła i zapomniała. Cóż za miła niespodzianka!

Zaraz jednak przypomniałam sobie przedmioty, jakie skradziono lady Pryor, i wiedziałam już, że to, co trzymam w ręku, nie należało do ciotki Thalassy. Wczoraj wieczorem Sharkey stał przy tym biurku. Z jakiegoś powodu wrzucił naszyjnik do wazonu. Może trudniej byłoby sprzedać perły niż mniej cenny zegarek i pierścioneł, nie chciał więc ich trzymać u siebie, na wypadek rewizji. Ciekawa byłam, czy Skarkey skłamał Algerowi, że ich nie kupił, czy Alger skłamał mnie?

Wkrótce znalazłam odpowiedź na to pytanie.

Alger wiedział, że perły tu są. Próbował je wyjąć i dlatego zbliżał się do okna, kiedy weszłam. Dlatego koniecznie chciał, żebyśmy pojechali sami. Dwa czy trzy razy prosił, żebym poszła po kapelusz, a wtedy zabrałby i schował do kieszeni naszyjnik. Z pewnością był współnikiem Sharkeya.

Perły były duże, a naszyjnik długi. Był wart chyba dziesięć razy więcej niż zegarek i pierścionek. Nie wymagało wielkiego poświęcenia ze strony Sharkeya i Algera, żeby zrezygnować z tamtych drobiazgów i uciszyć mnie, bym pozwoliła im zostać w moim domu. To wydawało się dla Algera bardzo ważne. Wzięłam naszyjnik i ukryłam w swojej sypialni, żeby Sharkey i Alger go nie znaleźli. Zapakuję go razem z innymi rzeczami do wysłania lady Pryor i palnę Algerowi kazanie za oszustwo.

Zjadłyśmy kanapki i resztki starego ciasta ze śliwkami. Gdy wstawaliśmy od stołu, wszedł pan Alger z dziewczyną, którą przedstawił jako Mary Freeman.

Była to trochę surowa nastolatka, o szczerym uśmiechu, z rudymi lokami. Jej skromna niebieska sukienka była czysta, a w ręku trzymała biały fartuszek.

- Przeważnie robię większe sprzątania, proszę pani - powiedziała - ale potrafię też proste rzeczy ugotować, usmażyć jajka i upiec kurczaka. Mama mówi, że może paniom przysyłać chleb i słodycze. Piecze pyszne ciasta.

- Pokażę ci, co trzeba zrobić - powiedziała panna

Thackery. - Możesz włożyć fartuszek, Mary, i sprzątnąć ze stołu. Trzeba wyszorować kuchnię. Dzisiaj sama ugotuję obiad.

- A co z naszą wyprawą do Somerset House?

- Zupełnie zapomniałam. Ale ty jedź, Cathy. Pojadę kiedy indziej. Nie mogę siedzieć spokojnie wiedząc, jak brudno jest w tej kuchni.

Kiedy pan Alger spojrział na mnie z uśmiechem, uznałam za stosowne zaoponować.

- Zostanę pomóc - powiedziałam.

Nalegała, żebym pojechała, a ponieważ chciałam zamienić słowo na osobności z panem Algerem, dałam się przekonać. Było oczywiste, że panna Thackery uznała go za mego wielbiciela. Jakże będzie zawiedziona!

Pan Alger poszedł na górę odświeżyć się, lecz przedtem spytał:

- Nie widziały dziś panie profesora Vivaldiego?

- Wyszedł wcześniej - odpowiedziałam. - Chodzi chyba do British Museum zbierać materiały.

- Chciałem sprawdzić cytaty łacińskie do przemówienia lorda Dolmana w parlamencie.

- Chyba lord Dolman zna łacinę - odpowiedziałam zdziwiona.

- Oczywiście. Źle się wyraziłem. Chciałem poprosić Vivaldiego o pomoc w znalezieniu odpowiednich cytatów. Dolman rozumie łacinę, ale, podobnie jak ja, nie zawsze potrafi znaleźć właściwy cytat. Nie ma nic lepszego jak odrobina łaciny, jeśli chce się wyrzucić wrażenie na Izbie.

Wyszedł, a ja poszukałam większego pudełka,



żeby zmieścić również perły. Przeszmuglowałam to do Mullarda, żeby nadał na pocztę. Lady Pryor dostanie z powrotem i perły, i zegarek, i pierścionek. Udało mi się przechytrzyć Algera i Sharkeya. Mogłam teraz odważnie przejść do konfrontacji.

## Rozdział 9

Włożyłam nowy słomkowy kapelusik i najlepszy niebieski płaszcz nie dlatego, żeby zaimponować Algerowi, ale żeby zadać szyku na wystawie.

- Bardzo twarzowe - powiedział Alger, uśmiechając się z aprobatą, gdy wychodziliśmy.

Pomógł mi wsiąść do powozu, lecz nim sam wsiadł, powiedział:

- Och, zapomniałem chusteczki. To sekunda. Proszę o wybaczenie.

- Panie Alger! Niech pan nie zostawia mnie samej z tymi końmi.

Czuł się niewyraźnie, zostawiając damę samą, ale nie to wywołało niešťęśliwy wyraz malujący się na jego twarzy. Podczas gdy stał niezdecydowany, zrozumiałam, o co chodzi.

- Jeżeli chce pan wrócić po perły - powiedziałam - to nie ma ich już w wazonie.

Spojrzał na mnie tak groźnie, że przez chwilę bałam się z nim jechać, ale ponieważ był biały dzień, poczułam, się dość bezpiecznie.

Wskoczył na kozioł i odezwał się dopiero wtedy, gdy ruszyliśmy.

- Wiedziała pani cały czas?

- Nie, znalazłam je dopiero wtedy, gdy pan poszedł po Mary Freeman.

- Co pani z nimi zrobiła?

- Są w drodze do lady Pryor, razem z jej zegarkiem i pierścionkiem. I niech pan nie sądzi, że tym razem ujdzie panu na sucho. Doskonale pan wiedział, że perły tam są! Chciał je pan zatrzymać. Udając niewinnego zaproponował pan oddanie mniej cennych rzeczy. Ile Sharkey panu płaci? Czy bierze pan swoją dolę w kompletach szachów i kryształowych karafkach? A może Sharkey pracuje dla pana?

Warknął zirytowany.

- Niech pani nie będzie śmieszna!

- Niech pan ze mnie nie robi idiotki!

- Sharkey powiedział mi, że perły są w wazonie - przyznał. - Wrzucił je tam wieczorem na przechowanie. Policja czasami przeszukuje jego mieszkanie. Miałem już od niego pierścionek do oddania i zamierzałem oddać też perły. Nie chciałem pani niepokoić zdradzając, że są w pani domu.

- Bardzo prawdopodobna historyjka!

- Nie, bardzo nieprawdopodobna, ale prawda jest często dziwniejsza od fikcji. Wymyśliłbym coś bardziej przekonującego, gdybym chciał panią oszukać.

- Tak, jest pan świetny w wymyślaniu historyjek!  
- Próbuje skłonić do poprawy Sharkeya.  
- Gdzie jest teraz ten złodziej?  
- Wykonuje dla mnie drobne zlecenie.  
- Ach, więc to pan kieruje! Proszę natychmiast zatrzymać powóz!

- Absolutnie legalne - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Ha! Nawet nie rozumiem znaczenia tego słowa, podobnie zresztą jak pan. Jakie? Przecież Sharkey nie zna się na polityce.

- Jego zadanie nie ma nic wspólnego z polityką. Związane jest z koniem, którego mam zamiar kupić. Sharkey się na tym zna. To koń na polowanie. Zostałem zaproszony na polowanie ze znajomymi Dolmana.

Rozmyślałam nad jego wyjaśnieniem, nie do końca przekonana.

- Dał pan Sharkeyowi pieniądze na czynsz?

- Pożyczyłem. Zawsze oddaje, nie kradzionymi towarami - dodał ze złością. - Dobry Boże! Tak pani mówi, jakbym był pospolitym złodziejaskiem.

- Ludzi można osądzić po towarzystwie, w jakim się obracają.

- Więc wolałaby pani nie widywać się ze mną za często, *n'est-ce pas?*

- Przyszło mi to do głowy, proszę pana.

Prawdę mówiąc fakt, że tak wybuchnął, bardziej mnie przekonywał o jego niewinności niż wszelkie uśmiešky i flirciki. Mógł naprawdę szukać naszyjnika, żeby go oddać lady Pryor. Nie zmartwił się, że

go oddałam. Przez dłuższy czas jechaliśmy nie odzywając się do siebie. W końcu odwrócił się i uśmiechnął tak czarująco, że postanowiłam mieć się na baczności.

- Nie psujmy naszej wyprawy, panno Irving. Tak na nią czekałam. Skoro pani zamierza niedługo wyjechać z Londynu, nie będziemy mieli zbyt wielu okazji, żeby się poznać. Somerset House ma ciekawą historię i dobre położenie, tuż nad Tamizą. Zaczął go budować Somerset w XVI wieku, ale został ściany, nim budynek ukończono. Mieszkały tu żony Karola I i Karola II. Dopiero pod koniec zeszłego stulecia oddano go do publicznego użytku. - Opowiadał dalej o historii i architekturze pałacu.

Gdy podjeżdżaliśmy, zauważyłam wiele powozów. Alger znalazł chłopaka, który wziął od niego lejce, a my oglądaliśmy budynek z zewnątrz. Był w stylu palladiańskim, dłuższym bokiem ustawiony do wody. Chłodny powiew od Tamizy w ciepły dzień był równie przyjemny, jak widok łódek płynących po rzece.

Wewnątrz ściany były gęsto obwieszane obrazami, jeden przy drugim, aż do sufitu. Mówiąc prawdę, żaden z nich nie wzbudził we mnie głębokiego podziwu. Była to wystawa pejzaży. Uwielbiam przyrodę, tak ją podziwiam, że obrazy wydają mi się niepotrzebne. Miałam nadzieję na wystawę portretu, aby zobaczyć sławnych londyńczyków.

Ciekawsza od malarstwa wydała mi się publiczność. Ze zdumieniem przyglądałam się eleganckim toaletom, jakie damy włożyły na popołudniowe

wyjście. Miały kapelusze ozdobione ogrodami z jedwabnych kwiatów i wypchanymi ptakami. Mój słomkowy kapelusik stał się niewidoczny, a płaszcz był w nieodpowiednim kolorze i z nieodpowiedniego materiału. Zostałam przedstawiona kilku osobom. Niejaka lady Mac Intyre i jej córka zagadnęły Algiera i poświęciły mnie, mojemu kapelusikowi i płaszczowi mniej uwagi niż dziełom sztuki

- Nie jest to najlepsza wystawa w sezonie - narzeką lady Mac Intyre. - Rozumiem, dlaczego nie ma tłumu.

Mnie ten tłum wydawał się wręcz olbrzymi, więc powiedziałam:

- Nie sądzi pani, że jest spora frekwencja, lady Mac Intyre? Chyba ponad sto osób.

- Och, moja droga, jeśli widzów można policzyć, to już kompletna klapa. - Zaśmiała się. - Kiedy żyli Reynolds czy nawet Romney, tłumy ciągnęły się na kilkadziesiąt metrów. To nawet nie tłum, tylko ścisk. Chodź, Samanto, pojedziemy do Hyde Parku. Tutaj nikogo nie ma. Zobaczymy cię wieczorem na raucie u lady Bonham, Algie?

- Jeśli czas mi pozwoli.

- Nie jesteś przyzwyczajony, żeby zarabiać na życie, co? Powiedz Dolmanowi, że o niego pytałam.

Lady Mac Intyre popchnęła swą córkę, żeby dygnęła, i odholowała ją.

- Teraz tłum liczy już tylko dziewięćdziesiąt osiem osób. Kompletna klapa - zażartował Alger.

- Pewnie uważa mnie pan za prostytutkę, skoro sądzę, że sto osób to tłum.

- Proszę nie wkładać mi w usta słów, które później rzuca mi pani w twarz. Nie uważam pani za prostytutkę, no, może za prowincjuszkę - dodał z beczelnym uśmiechem i uniósł ręce, jakby broniąc się przed ciosem.

- Jestem panną z Bath i szczycę się tym.

- Teraz pani sobie pochlebia. Raczej panną z Radstock. Czy w Radstock jest w ogóle sto osób, czy taki tłum musi przyjechać na wystawę z Bath?

- Liczy się jakość, a nie ilość. My przynajmniej patrzemy na obrazy, a nie gapimy się na publiczność.

- Nie zauważyłem, żeby pani zwracała taką uwagę na obrazy.

- Dlatego, że są słabe. Mamy lepsze wystawy w Radstock. - Zaraz po tej uwadze odwróciłam się, żeby lepiej przyjrzeć się obrazom.

Po chwili ze schodów zbiegło dwóch osiłków, którzy zauważyli Algera. Podeszli bliżej, wyraźnie taksując mnie wzrokiem. Jeden był wyższy i smuklejszy, drugi niższy i bardziej krępy. Wyglądali obaj jak...

- Co za nudna wystawa - wybrzydzał niższy.

- Drzewa i stodoły, i ani śladu pięknej kobiety.

- Rzeczywiście. Właśnie wychodzimy - odparł Alger. - Miło było was spotkać, panowie.

- Chwileczkę, Algie! Dlaczego nie przedstawiłeś nas tej damie?

Przedstawił niższego jako sir Gilesa jakiegoś tam, a wyższego jako pana Soamesa.

- Nie widziałem dotąd pani nigdzie, panno Irving

- powiedział sir Giles. - Algie trzyma panią dla siebie, chytrus jeden.

- Właśnie wychodzimy - powiedział natychmiast Alger i ujął mnie za łokieć, żeby wyprowadzić.

- Nie zaczekasz chwilę? - powiedział Soames.  
- Lady Evans ma do nas dołączyć.

Z jakiegoś powodu na dźwięk tego nazwiska Alger się wzburzył.

- Nie, naprawdę musimy iść - powiedział.

Wyszliśmy, a za nami rozległ się śmiech.

- Ty samolubie! - zawołał sir Giles. - Ta ciężka praca już ci uderza do głowy, Algie. Nie martw się, Evans nie powie lordowi Dolmanowi, że zrobiłeś sobie nie planowane wakacje.

Wyszliśmy w takim tempie, że nie mogłam złapać tchu, gdy dotarliśmy do powozu.

- Dlaczego tak biegniemy? Czy uciekł pan z pracy i boi się, że pana pryncypał dowie się o tym? Jeśli tak jest, to...

- Oczywiście, że nie!

- Więc mogę tylko uznać, że wstydzi się mnie pan przed swoimi znajomymi. Gdybym wiedziała, że nosi się teraz zielone narzutki, albo bym się o taką postarała, albo zostałąbym w domu.

- Zielone narzutki? O czym pani, do diabła, mówi?

- Musiał pan zauważyć, że wszystkie panie je miały.

- Nie, przecież zajęty byłem oglądaniem obrazów - odparował.

- Więc jeśli nie chodzi o mój płaszcz i nie musi



pan być w pracy, to co? Jest im pan winien pieniądze! - wykrzyknęłam.

Alger patrzył na mnie z niedowierzaniem, po czym na jego ustach wykwitł słaby uśmiech.

- Cóż za wzruszający brak próżności - mruknął.

- Większość kobiet uważałaby w tym przypadku, i słusznie, że nie chcę pani dzielić z innymi.

- Ale inne kobiety nie wiedzą zapewne o pańskich powiązaniach z Sharkeyem. Sądzę, że pańska chęć do trzymania mnie dla siebie powoduje nagłą konieczność powrotu na Wild Street. Tam na pewno nie będą nas prześladować osoby z towarzystwa.

- Przecież chce pani poznać śmietankę towarzyską, a ja obiecałem powiększyć krąg pani znajomych, jeśli pani pozostanie w Londynie.

- Nie musi się pan fatygować. Jestem absolutnie zdecydowana jak najszybciej sprzedać dom i wrócić do Radstock.

- To się pani Hennessey ucieszy - zażartował.

- Ale nim pani wyjedzie, jeszcze raz spróbuję panią skusić. Nie chciałbym, żeby pani opierała swą opinię o wydarzeniach kulturalnych w Londynie na podstawie tej żenującej wystawy.

Miałam nadzieję, że usłyszę coś na temat rautu u lady Bonham albo podobnej imprezy.

- Jest pani wolna dziś wieczorem?

- Skoro mnie nie było po południu, nie mogę znów zostawić panny Thackery wieczorem - odpowiedziałam w nadziei, że nie złapie mnie za słowo.

- Mam nadzieję, że panna Thackery zechce nam towarzyszyć do Covent Garden.

Nazwa ta wywołała obrazy życia londyńskich wyższych sfer. Żał byłoby wyjechać, nie widząc prawdziwego Londynu. Panna Thackery też by się ucieszyła.

- Mam bilety na przedstawienie w Covent Garden. Wznowienie *Rywali* Sheridana. Myślę, że wszystkim nam się przyda komedia po ostatnich wydarzeniach. - Czekał, a ja udawałam, że się waham. - Żadne przekupstwo ani rewanz. Po prostu wieczór w teatrze.

- Przypuszczam, że panna Thackery będzie zadowolona. Dobrze. Pójdziemy, jeśli ona się zgodzi.

Nie przewidywałam trudności. Ponieważ było jeszcze wcześniej, przejechaliśmy się Chelsea Road przed powrotem na Wild Street. Nie spotkaliśmy już żadnych znajomych Algera. Wciąż miałam niejasne przekonanie, że wstydził się mojego prowincjonalnego stroju, i postanowiłam, że wieczorem się poprawię.

Intrygowała mnie jeszcze jedna sprawa, więc spytałam, dlaczego przyjaciele mówią do niego Algie, chociaż nazywa się Alger.

- To takie przezwisko. Na przykład ludzi o nazwisku Smith nazywają często Smitty. Słyszałem, że panna Thackery mówi na panią Cathy, chociaż na imię pani Catherine, prawda?

- Tak.

- Oczywiście przywilej ten ogranicza się z pewnością do pani przyjaciół - powiedział poważnie, choć z uśmiechem w oczach. - Czy byłoby dużą impertynencją, gdybym mówił do pani Catherine?

Nie chodzi o nadmierną poufałość, ale pomost do przyjaźni.

Patrzył na mnie mówiąc i najechał na darni, która spadła z wiejskiego wozu.

- Algie! Uważaj! - krzyknęłam bez zastanowienia. Przytrzymałam się jego ramienia, gdyż kariołka miała wysoko umieszczone siedzenia, właściwie bez żadnej osłony.

- Uznam to za pozwolenie - powiedział.

- Nie znamy się tak dobrze, żeby być ze sobą po imieniu - oświadczyłam.

Prędko cofnęłam dłoń, gdy zauważyłam, że wciąż się go przytrzymuję.

- Myślę, że to podobny problem jak ten, co było pierwsze: jajko czy kura. Używanie imion ułatwia przyjaźń, a ponieważ planuje pani szybki wyjazd, możemy zostać przyjaciółmi prędko albo wcale. Przyjaźni nie należy pochopnie odrzucać, panno Catherine. Zauważyła pani, jak to zręcznie ułożyłem. Jest imię i „panno”, żeby było bardziej elegancko.

- Nie wie pan chyba, co to słowo oznacza. Panna Catherine to zupełnie nieeleganckie.

- Masz rację. Powinienem był pominąć „panno”. To mnie oduczysz siedzenia okrakiem na płocie.

Byłam w dobrym humorze wobec perspektywy wyprawy do Covent Garden i nie spierałam się już, kiedy mówił do mnie po imieniu, chociaż ja uparcie mówiłam „pan”. Po kilku kilometrach zawrócił i pojechaliśmy na Wild Street. Pan Alger wyszedł, gdy tylko mnie odprowadził. Przypuszczałam, że

pojechał do Whitehall, skoro przyjaciele tak się z niego podśmiewali, że opuszcza pracę. Za godzinę przyniesiono mi cudną wiązaną orchidei.

„Cieszę się, że mam przyjemność przebywać w pani towarzystwie dzisiejszego wieczoru”. Kartka była podpisana tylko nieczytelnymi inicjałami, ale nie miałam wątpliwości, kto ją przysłał. Lokaj, który ją przywiózł, wyglądał niezwykle elegancko w zielono-złotej liberii. Prawdopodobnie Alger pożyczył go od lorda Dolmana.

Resztę popołudnia spędziłyśmy z panną Thackery na przygotowywaniu toalet na wieczorne wyjście. Wprawdzie nie byłyśmy przygotowane na taką uroczystość, ale uznałyśmy, że przyjakichś uzupełnieniach z szafy ciotki Thalassy nie przyniesiemy wstydu panu Algerowi. Znalazłam jedwabny szal w kolorze pawim, haftowany w kwiaty, ozdobiony cekinami i długimi frędzlami. Moja towarzyszka uważała, że jest trochę zbyt wyzywający, ale może dlatego, że byłyśmy tak zapóźnione w sprawach mody. Uznałam, że szal nada jakiś styl mojej zielonkawej sukni. Panna Thackery miała mi upiąć włosy do góry i przypiąć perłowymi grzebykami ciotki. Sama wyszukała szal w kolorze ecru, który ozdobi jej ciemną toaletę.

Nasłuchiwałam powrotu Algera. Kiedy przyszedł o wpół do siódmej, wyszłam do holu, żeby podziękować mu za kwiaty. Był kompletnie zaskoczony.

- Ja ich nie przysłałem - powiedział, nieco zawstydzony, że o tym nie pomyślał. - Nie wydało mi się to konieczne.

- A więc kto mógł je przesłać? - spytałam. - Jest pan jedynym dżentelmenem, jakiego znam w Londynie.

Zamyślił się.

- Sir Giles! Widziałem, jak ten drań wpatrywał się w ciebie! Teraz już wiesz, dlaczego chciałem cię odciągnąć od swoich znajomych. Masz tę kartkę?

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad inicjałami.

- Druga litera wygląda na „S” - powiedział. - Nie sir Giles, ale Harley Soames.

- Ach, ten wysoki - powiedziałam.

Był również przystojniejszy.

- Widzę, że ich uznałaś za potencjalnych towarzyszy wyjść.

- Dama zawsze tak postępuje, proszę pana.

- Skąd on się, u diabła, dowiedział, gdzie mieszkasz? Musiał jechać za nami cały czas z Chelsea. Zrobiłem wszystko, żeby... - Przerwał zawstydzony.

- Nikt pana nie zobaczył z prowincjuską? Odkryto pańskie przewinienie. Ma pan zrujnowaną reputację.

- Miłe, że się o nią troszczysz, ale moja reputacja jest niewiele warta.

- Powinnam dać znać panu Soamesowi, że z nim nie wyjdę. Lokaj nie czekał na odpowiedź. Ma elegancką służbę, prawdą? Ta złota koronka! Ma pan jego adres?

- Tak, ale... lokaj? Soames nie ma lokajów. Wynajmuje mieszkanie w Albany. Ma totumfackiego, który spełnia rolę kamerdynera i służącego do wszystkiego.

- Więc to sir Giles wysłał kwiaty.

- Ach, tak, niski sir Giles - Alger wzdrygnął się.

- Diabelne zarozumiałstwo, żeby przypuszczać, że będziesz wolna. Niech przyjdzie i niech cię nie zastanie.

- Wygląda to wprawdzie dosyć niegrzecznie, ale rzeczywiście nie mogę nic innego zrobić, skoro nawet nie podał adresu. Chociaż orchidee są bardzo ładne - dodałam. - I to aż dwie. Cóż za ekstrawagancja!

- Lubisz orchidee? Zapamiętam to, Catherine.

Zdołał wymówić moje imię tonem nie tyle poufałym, co bardzo osobistym. A może sprawił to jego ciepły i szczerzy uśmiech?

Kiedy przyszedł po nas wieczorem, przyniósł wiązanki orchidei - aż trzy. Panna Thackery przypięła do gorsu mniejszy bukiet, a ja większy. Byliśmy wszyscy ubrani i gotowi do wyjścia, gdy rozległ się dźwięk kołatki.

Alger otworzył drzwi. Na progu stał stary pułkownik Stone. Pomarszczone policzki rozciągnął w uśmiechu.

- Już pani czeka, ubrana. Wspaniale. Wiedziałem, że mogę na panią liczyć. I przypięła pani mój bukiet. Bardzo jestem zobowiązany, panno Irving. Zamówiłem osobny gabinet u Clarendona.

I ostrygi - pomyślałam. Starczymi, wodnistymi oczyma wodził po moim biuście, udając, że podziwia orchidee.

- Niestety, jestem zajęta dziś wieczorem, pułkowniku - powiedziałam, starając się stłumić śmiech.

- Co? Co pani ma na myśli?

- Panna Irving wychodzi ze mną, pułkownika  
- powiedział twardo Alger.

Pułkownik zmierzył wzrokiem bary swego konkurenta i wymamrotał coś pod nosem.

- Czy Renie jest w domu? - zapytał.

Usłyszała jakieś zamieszanie na dole i wychyliła się przez poręcz.

- Pułkownik! Wychodzimy dziś wieczorem? Przysięgam, że zapomniałeś mi o tym powiedzieć. Na szczęście jestem wolna. Właśnie odmówiłam pójścia na kolację. - Wiedziałam doskonale, że nikt po nią nie przychodził. - Powinieneś jednak mnie uprzedzić. Możesz na mnie poczekać na górze. To niedługo potrwa.

Pułkownik przyjrzał się schodom i odpowiedział:

- Zaczekam tu na dole. Pospiesz się, Renie. Umieram z głodu.

Taki był komiczny początek wieczoru, w którym wiele się jeszcze wydarzyło, nim wróciliśmy na Wild Street.

## Rozdział 10

Dotarliśmy do Covent Garden z wielką pompą, w karecie wyściełanej aksamitem, ze srebrnymi ozdobami, z herbem na drzwiach. Innymi słowy, pan Alger pożyczył na ten wieczór powóz od Dolmana.

- Żałuję, że pani Hennessey nas teraz nie widzi! - powiedziała do mnie szep-tem panna Thackery.

Myślałam zawsze, że Teatr Królewski w Bath jest wspaniały, ale nie było nawet porównania z Covent Garden. Teatr ten spalił się kilka lat temu i został wspaniale odbudowany, jak katedra. Imponująca marmurowa fasada rozszerzała się, prowadząc do obszernego wnętrza. Piękne klasyczne proporcje, z kolumnami i alabastrowymi figurami, i galeriami, w których stały wyściełane pluszem kanapy. Poczulałam się



jak królowa, gdy wprowadzono nas do łoży znajdującej się na pierwszym piętrze.

Wokół nas i poniżej falowało morze szali, piór klejnotów, wachlarzy i lornetek. Przybyliśmy specjalnie wcześniej, żeby przyrzeć się publiczności. Pan Alger z zapałem pokazywał nam lorda i lady Castlereagh, hrabiego takiego czy innego oraz inne znakomitości. W moim haftowanym szalu i z trzema orchideami oraz w towarzystwie wytwornego Algera, czułam nareszcie, że należę do lepszego Londynu. Jeżeli moje życie może tak wyglądać, to muszę zrewidować swój pomysł powrotu do Radstock.

Pan Alger widział, że jestem zachwycona. Nachylił się nade mną i szepnął:

- Zamówiłem wino do naszej łoży w czasie przerwy. Spodziewam się, że wpadnie kilku przyjaciół. Podczas drugiej przerwy pójdziemy się przejść po foyer.

- Wspaniale... Algie - powiedziałam i uśmiechnęłam się, by wyrazić zadowolenie.

Na widowni zapanowała cisza. Wytwornie ubrany mężczyzna pojawił się na scenie anonsując początek przedstawienia i właśnie w tym momencie do łoży wszedł chłopak z obsługi. Popatrzyłam z ciekawością, jaką jeszcze niespodziankę przygotował nam Alger.

- Przepraszam, ale to łoża lorda Northa - powiedział chłopak, patrząc na nas, jak byśmy byli bandą Hunów. - Muszą państwo stąd wyjść.

- Mój dobry człowieku! - wykrzyknął pan Alger,

zrywając się na równe nogi. - To musi być jakaś pomyłka. Mam bilety do tej łoży. - Pokazał je chłopakowi, który zechciał na nie spojrzeć.

- Na zeszły tydzień, proszę pana - powiedział.

- Właśnie nadchodzi lord North w towarzystwie sześciu osób. Muszą państwo zwolnić te miejsca.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Alger, zabierając z powrotem bilety. Zmarszczył czoło, przyglądając im się. - Rzeczywiście. To prawda. Proszę pań! To chyba jakieś nieporozumienie. - Był czerwony jak burak, kiedy odwrócił się, by nas przeprosić. - Musi być jakaś wolna łoża - powiedział do biletera. - Jak pan widzi, jestem w towarzystwie pań.

- Trzeba było przedtem sprawdzić bilety, proszę pana. Chodźmy. Zobaczę, czy uda się państwa gdzieś umieścić.

Kiedy wyganiano nas z naszej wspaniałej łoży, zrobiło się głośniejsze i połowa publiczności patrzyła na nas i nasz wstyd. Widzieliśmy z hoku, jak wprowadzono sześć osób. Jeden z panów skinął głową Algerowi, nie mając pojęcia, że zajmowaliśmy ich łożę.

Między Algerem i bileterem wywiązała się jakaś rozmowa szeptem, a następnie pieniądze zmieniały właściciela. Po chwili Alger odwrócił się do nas i powiedział:

- Jest wolna łoża. Nie taka dobra jak ta, z której nas wyrzucono, niestety. Nie wiem doprawdy, jak mam panie przeproszać.

- Nie szkodzi - powiedziała panna Thackery. Tak samo jak mnie, było jej go żal. - Nie musimy

przecież siedzieć na honorowych miejscach, wśród książąt i hrabiów. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajone.

Bileter zaprowadził nas do najgorszej chyba łoży w teatrze. Znajdowała się na najniższym poziomie, wciśnięta w boczną ścianę. Scenę widziałyśmy z boku, a siedzenia były twarde.

- Porachuję się z tym Sharkeyem, podbiję mu oboje oczu, kiedy wrócimy do domu -jęczał Alger.

- Zapłaciłem mu trzy gwinee za te bilety.

- Algie, ty ofermo! - wykrzyknęłam. - Nie stać cię na takie ekstrawagancje! Dobry Boże, chyba nie zrobiłeś tego po to, żeby nam zaimponować.

- Nie nam, tobie - powiedział, zerknąwszy przedtem na pannę Thackery, czy nie podsłuchuje. Bardzo mnie wzruszył jego wysiłek i szczerze mu współczułam. Postanowiłam, że będę wyrażać zachwyt z powodu tego wieczoru, choćby nie wiem co jeszcze przyniósł.

W każdym razie przedstawienie było wyśmienite. Wino zamówione do naszej łoży na przerwę niewątpliwie trafiło do towarzystwa lorda Northa.

- Mówiłem bileterowi, żeby je tu przesłać - usprawiedliwiał się Algie.

Czekaliśmy, ale nie pojawiło się ani wino, ani żadni znajomi. Siedzieliśmy sami w ciemnym kącie patrząc, jak bawią się w innych łożach. Algie proponował, żebyśmy się przeszli, ale moja towarzyszka nie mogła znieść myśli, że przyniosą wino, a nikogo nie będzie.

- Sztuka jest wyśmienita - powiedziałam dwa

razy, starając się go pocieszyć. - A teatr przepiękny! Jeszcze nigdy czegoś tak pięknego nie widziałam. Bardzo nam się tu podoba. Naprawdę.

Uścisnął moje palce w ciemności.

- Jesteś bardzo miła, Catherine, ale oboje wiemy, że ten cenny wieczór jest zmarnowany. Jediną przyjemnością będzie znalezienie tępego narzędzia i rozbicie głowy Sharkeyowi, kiedy wrócimy do domu.

- Może naprawdę się pomylił? Pójdziemy w czasie przerwy do foyer, jak planowaliśmy. Spotkamy pewnie jakichś twoich znajomych.

Miałyśmy już ochotę na mały spacer, gdy nadeszła druga przerwa. Zauważyłam, że Algie ograniczył nasz spacer do jednego końca foyer, nie tam, gdzie stała w grupach elegancka publiczność, rozmawiając na temat przedstawienia. Później usadowił nas na pluszowej kanapce i poszedł po wino. Widziałam, jak rozmawia z niektórymi z tych ludzi, i zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo nie chce, żebyśmy się poznali. Siedziałyśmy cały wieczór. Chętnie pochodziłabym i pogadała z ludźmi.

Wrócił z winem sam. Jednak jeżeli świadomie nas izolował, jednemu z panów udało się go przechytrzyć. Dość przystojny mężczyzna podążał za nim wzrokiem, a kiedy Algie podszedł do nas, zbliżył się również. Ukłonił się i uśmiechnął.

- Lordzie Algernon - powiedział. - Nie miałem jeszcze przyjemności być przedstawiony pana znajomym.

Kieliszek w ręku panny Thackery zadrżał i kilka

kropel rozlało się na wyjściową suknię. Wymieniłyśmy spojrzenia. Lord Algernon!

Algie zignorował to dziwne powitanie.

- Pozwolą panie, że przedstawię: lord Evans - powiedział. - Evans, przedstawiam pannę Irving i jej towarzyszkę, pannę Thackery.

- Jestem zaszczycony - odparł lord Evans z ukłonem. - Rozumiem, że są panie sąsiadkami lorda Algernona z Suffolk, czy tak?

- Właściwie z Wiltshire - odpowiedziała panna Thackery, bo ja nie byłam w stanie się odezwać.

- Koło Bath.

- Ach, rozumiem, stąd się znacie. Lady Dolman przebywała w Bath zeszłej zimy. Jak tam podagra pańskiej matki, lordzie Algernon?

- Znacznie lepiej, dziękuję - odpowiedział Algie lodowato. - Ajak się ma lady Evans?

- Och, mama jak zwykle upaja się swymi waporami i omdleniami. Oddała się w ręce nowego konowała, który nie wierzy w upuszczanie krwi i przeczyszczenie. Ten ją na pewno wykończy. Wymyślił, że ma dużo chodzić i jeść dużo owoców i warzyw. Powinni go zamknąć.

Kilku znajomych wkrótce zauważyło Evansa i lorda Algernona i przyszło złożyć uszanowanie. Niektórzy widzieli, jak nas bezceremonialnie usunięto z łoży, i śmiali się lub pocieszali nas, zależnie od nastroju. Niewiele do mnie docierało z ich rozmów prócz tego, że więcej osób zwracało się do Algie'ego lordzie Algernon, a nazwisko Dolman pojawiało się często zamiennie z wyrażeniem: twój papa. Teraz,

skoro już bomba wybuchła, Algie trochę się rozchmurzył, a nawet zaczęło go bawić moje zakłopotanie. W jego oczach znów pojawiły się wesołe iskierki.

- Wyjaśnię wszystko później - powiedział cicho.
- Może pan być tego pewien! - syknęłam.

Dlatego tak strasznie się spieszył, żeby umknąć lordowi Evansowi na wystawie. Z innymi był po imieniu, więc nic się nie wydało, ale lord Evans był szalenie wytworny i używał tytułów. Lord Algernon nie chciał, abyśmy wiedziały, że jest synem lorda Dolmana.

Było to dla nas zagadką, ale musiało nią pozostać do końca przedstawienia, gdyż zadzwonił dzwonek ogłaszający koniec przerwy i wszyscy zaczęli się tłoczyć, aby wejść na ostatni akt. Nigdy nie widziałam ani nie czytałam Rywali i do dziś dnia nie wiem, jak Lydia Languish i Anthony Absolute wyjaśnili różne nieporozumienia między sobą, ale uśmiechy widzów po zakończeniu sztuki przekonały mnie, że im się to udało. Ja miałam głowę zajętą maskaradą lorda Algernona i jej przyczyną. Dlaczego powiedział, że jest sekretarzem swojego ojca? Dlaczego twierdził, że ma takie skromne środki? Każde jego słowo było kłamstwem. Kariolka czy powóz, które rzekomo pożyczył od Dolmana - wszystko nieprawda.

Po przedstawieniu Algernon zaproponował kolację w hotelu Pulteny, dokąd zmierzały liczne powozy z herbami. Chciałabym tam pójść, ale wiedziałam, że nie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Jeśli jest pan głodny, milordzie, zrobimy panu kanapki. Ja jestem bardziej złaknięta wyjaśnienia pańskich oszustw niż jedzenia - powiedziałam.

- Dobrze się składa. Z pewnością stolik, który zarezerwowałem, okazały się zajęty przez kogoś innego, bo zleciłem to Sharkeyowi.

Pojechaliśmy wprost do domu, ale nie zajmowałyśmy się kanapkami. Przy sherry i herbatnikach w końcu wyciągnęłyśmy z niego całą historię. Nie wiedziałyśmy tylko, na ile jest prawdziwa.

- Sprawa wygląda tak - powiedział lord Algeron - że mój ojciec był ze mnie niezadowolony. Długi karciane, hulaszczę życie. Przestał mi dawać pieniądze, ani pensa. Powiedział, że dostanę nauzkę, jak będę musiał sam się utrzymywać. Bał się, że przyjaciele zapewnią mi jakąś synekurkę, więc uparł się, żebym pracował dla niego jako sekretarz i utrzymywał się sam za minimalną pensję, jaką mi dawał.

- Powiedział pan, że proponował panu mieszkanie na Berkeley Square - przypomniałam.

- Tak, po kilku miesiącach złagodził warunki, ale wtedy ja postanowiłem mu pokazać, że nie jestem takim utracjuszem, za jakiego mnie ma. Wszyscy moi przyjaciele wiedzą o tym i pokpiwają sobie ze mnie. Zauważyłaś chyba, Catherine, że sporo osób, które spotkaliśmy, pytało o moją pracę.

- Tak, zauważyłam. Ale dlaczego powiedział pan, że nazywa się Alger?

- Fałszywa duma.

- Nie musi się pan wstydzić uczciwej pracy tylko

dlatego, że ma pan tytuł, lordzie Algernon! - powiedziała nagle panna Thackeray.

- Nie to miałem na myśli, proszę pani. Nie chciałem opowiadać, że jestem czarną owcą w rodzinie, i wolałem uchodzić za przyzwoitego, ambitnego dżentelmena o skromnych dochodach. Poza tym sądziłem, że bez tytułu będę bardziej pasował do innych lokatorów. Musicie przyznać, panie, że lord wynajmujący mieszkanie w tej okolicy to mało prawdopodobne. Podając się za pana Algera, zaoszczędzałem wyjaśnień.

Moja towarzyszka ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Bardzo mądrze z pana strony, milordzie. Sharkey obrabowały pana, a panna Whately...

- To bardzo dziwne - powiedziałam. - Czy nie mógłby pan się poprawiać, nie sprowadzając się na Wild Street?

- Może, ale ojciec był z początku wściekły. Pensja, jaką mi płaci, nie wystarcza na wynajęcie mieszkania na Albany czy w innej dobrej dzielnicy. Uważał, że takie ladaco powinno dostać nauczki. Później, jak nam obu przeszła złość, ja chciałem mu pokazać.

- No dobrze, pokazał mu pan, a teraz niech pan wraca do domu. To nie jest miejsce dla dżentelmena - powiedziałam srogo.

- Och, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Catherine. Przemieszkam tu rok. Wild Street jest bardzo sympatyczna... teraz. - Popatrzył mi w oczy, podkreślając ostatnie słowo, sugerując, że to dzięki mnie jest sympatycznie.



Panna Thackery nagle stwierdziła, że musimy wszyscy zjeść coś solidniejszego, i wycofała się do kuchni, aby nas zostawić samych. Sądziła pewnie, że czuć w powietrzu jakiś romans, ja natomiast podejrzewałam coś niemiłego.

- A co z pańskimi interesami z Sharkeyem? - spytałam. - Czy lord Dolman akceptowałby pańską pomoc pospolitemu przestępcy?

- Zawsze miał słabość do sprowadzania ludzi na dobrą drogę. Nawet to pochwała.

- Nigdy nie sprowadzi pan na dobrą drogę Erica Sharkeya.

- Nigdy nie mów nigdy. Sprowadziłem na dobrą drogę siebie - odpowiedział.

- Naprawdę był pan taki zły? - spytałam niechętnie.

- Traciłem mnóstwo czasu i pieniędzy. Nie wykorzystywałem niewinnych pańienek, nie oszukiwałem w kartach ani nikogo nie zabiłem. Oceń sama, na ile byłem zły. Czy jestem bezpowrotnie stracony? - uśmiechnął się zachęcająco.

- Nie znam pana dostatecznie dobrze, aby to ocenić.

Popatrzył na mnie przez chwilę, aż powiedział:

- Mam przeczucie, że przy odpowiedniej kobiecie, pilnującej mojego właściwego kursu, mógłbym się stać godnym członkiem społeczeństwa.

Odstawił kieliszek i dotknął moich palców.

Odsunęłam rękę.

- Co cię trapi, Catherine? Chodzi o te szachy czy kryształową karafkę? Lubię grać w szachy. Ten

komplet dostałem na urodziny od matki kilka lat temu. Nie uważałem, że łamię jakiś układ z ojcem, zabierając go ze sobą. A jeśli idzie o kryształową karafkę i kieliszki... Cóż, mogę się obyć bez osobistego kamerdynera i paru innych udogodnień w życiu, ale nie mogę i nie będę pił wina w filiżance. Zastawiłem perłowe spinki od koszuli w lombardzie, żeby je kupić.

- Ma pan odpowiedź na wszystko - rzuciłam.

- W odróżnieniu od ciebie, bo nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie zadał pan tego pytania.

- Pośrednio. Chodziło mi o to, czy jesteś skłonna poprawić prawie poprawionego?

- Sądzę, że na Wild Street są ludzie bardziej wymagający pomocy niż pan, lordzie Algernon.

- Przyjaciele mówią na mnie Algie, Catherine.

- Poznałam pana godzinę temu, lordzie Algernon.

Tak więc nasza znajomość jest bardzo krótka, prawda? Nie powinien pan wobec tego mówić mi po imieniu.

- Ależ nie! Przecież ja cię znam od kilku dni. Jesteś wciąż panną Irving z Radstock, nieprawdaż?

- Prawda. Jestem panna Irving i byłabym zobowiązana, gdyby tak pan się do mnie zwracał.

- O, nie! Nie zrezygnuję z ciężko zarobionego przywileju. Widzisz, nie jestem jeszcze zupełnie poprawiony.

Miał chyba zamiar powrócić do swych dawnych obyczajów, ale niestety weszła panna Thackery z zimną baraniną i chlebem i przerwała nasze sam na sam.

Poddała Algie'ego dyskretnemu, ale dokładnemu przesłuchaniu na temat rodziny, domu i innych tematów, dobitnie świadczącemu o traktowaniu go jak kandydata na swojego męża. Słuchałam uważnie, maskując jednak zainteresowanie znudzoną miną. Kończyliśmy kolację, gdy usłyszeliśmy, że ktoś wchodzi do domu. Zauważyłam, że Algie usiadł frontem do holu, by widzieć, kto wchodzi.

- To nie może być panna Whately - powiedziałam.

Słysząc było szybkie kroki na górę i żadnego śpiewania.

- Sharkey - powiedział Algie z groźnym uśmiechem.

- Panie wybaczą. Mam sprawę do omówienia z Sharkeyem. Dziękuję za uroczy wieczór.

Przekonywałyśmy go, że przyjemność była po naszej stronie, a kiedy już wchodził na schody pewnym krokiem, powiedziałam:

- Algie, na miłość boską, nie rób hałasu po nocy. Wyprowadź go na dwór, jeżeli chcesz użyć tego tępego narzędzia.

- Nawet nie usłyszysz, jak padnie - odpowiedział i pobiegł na górę.

Czekałam, nasłuchując, u stóp schodów. Bałam się, że obudzą panią Clarke i Jamie'ego, gdyż ich mieszkanie znajdowało się pod pokojem Algie'ego. Weszłam trochę wyżej, żeby posłuchać. Usłyszałam cichy śmiech Algie'ego i Sharkeya. Potem Algie coś powiedział, ale bez złości. Zadawał pytania, ale słów nie słyszałam.

Sharkey miał głośny, dobrze słyszalny głos. Jego odpowiedzi brzmiały wyraźnie.

- Szedłem za nią do domu. Nie zbliżył się do niej. Chyba nie masz racji, Algie. Nie wydaje się, żeby go interesowała ta dziewczyna.

Algie mruknął Coś w odpowiedzi. Sharkey powiedział:

- Nie martw się, będę jej pilnował. Ale jutro wieczorem będziesz musiał mnie zastąpić. Chyba że mam przestać chodzić do Stop Hole Abbey?

- Nie, nie! -sprzeciw Algernona był wystarczająco głośny, żeby słyszeć wyraźnie.

Zeszłam cicho na dół do swojej sypialni. Stop Hole Abbey to melina, gdzie handluje się kradzionym towarem. A lord Algernon wręcz zachęcał Sharkeya do pójścia tam. Wyglądało na to, że Algernon handluje kradzionym towarem. Co by powiedział i zrobił jego ojciec, gdyby się dowiedział?

Historia, jaką Algernon opowiedział o swoim ojcu, wydała mi się nieprawdopodobna. Żaden bogaty i szlachetnie urodzony ojciec nie pozwoliłby synowi mieszkać w takich warunkach. Algernon był tutaj, gdyż chciał współpracować z tym obrzydliwym Erikiem Sharkeyem, aby dzielić się z nim złodziejskim łupem. Algernon był kryminalistą.

Najbardziej osobiste przewinienie zostawiłam na sam koniec. Poza działalnością przestępczą Algernon tak zakochał się w jakiejś dziewczynie, że kazał Sharkeyowi ją śledzić, czy się z kimś nie spotyka. Prawdopodobnie jakaś dumna piękność, świadoma jego przestępczych skłonności. Starał mi się przypo-

chlebie tylko dlatego, że wygodnie mieć posłuszną gospodynię. Gdybym na przykład wiedziała to wszystko wczoraj, wydałabym policji jego i Sharkeya.

Teraz było już za późno. Nie miałam dowodu, ale przynajmniej lady Pryor odzyskała perły, pierścionek i zegarek. Przechytrzyłam ich tym razem i przechytrzę następnym. Sharkey wybierał się jutro wieczorem do Stop Hole Abbey. Pewnie wróci z jakimś kradzionym towarem. Będę warowała przy drzwiach, a jak pójdzie do Algernona z wypchanymi kieszeniami, poślę po policję.

Znacznie później, gdy już zasypiałam, przypomniałam sobie, że Algernon wcale nie zwymyślał Sharkeya za przedatowane bilety do Covent Garden. Ani trochę się nie przejął, że przeżyłyśmy takie upokorzenie, będąc wyrzucone z łoża. Ponowiłam postanowienie, aby sprzedać dom i wrócić jak najprędzej do Radstock.

## Rozdział 11

Następnego ranka wstałam wcześnie. Poszłam do kuchni powiedzieć Mullardowi o skrobaniu i malowaniu drzwi frontowych. Zajadali z Mary Freeman jajka na wędzonce. Mary zdziałała cuda w tej kuchni. Wszystko było czyściutkie, a ona miała na sobie czysty fartuszek i czepeczek. Bardzo mi to poprawiło humor, że wszystko się normuje, a w kuchni roznosi się smakowity zapach kawy.

Wzięłam sobie filiżankę kawy do jadalni, żeby czekać tam na śniadanie.

Przeglądałam gazety w poszukiwaniu agencji nieruchomości, kiedy pani Clarke wsunęła głowę do pokoju. Wyglądała na zmęczoną, była blada, a jej strój do pracy był niezwykle ubożuchny, ale ani to, ani prosty szary kapurek nie przeszkadzało jej naturalnej

urodzie. Powiedziałam dzień dobry i spytałam, jak się ma Jamie.

- Dzień dobry, panno Irving - powiedziała. - Jamie ma się dobrze. Ząbkuje i nie spał w nocy, ale to nic takiego. Chciałabym panią prosić o drobną przysługę. Oczekuję dzisiaj przesyłki od ciotki. Przesyła mi jakieś używane ubranka dla Jamie'ego. Czy odebrałaby pani tę paczkę i zatrzymała do mojego powrotu? Albo może pani poprosić pannę Lemon, żeby ją wzięła na górę, jeśli będzie pani przeszkadzać.

- Bardzo chętnie, pani Clarke.

- Dziękuję. Muszę pędzić. Mademoiselle Lalonde bardzo się złości, kiedy się spóźniam.

Słyszałam, że wychodząc powiedziała coś do Sharkeya w holu. Jej młodość i uroda miały taką moc, że nawet Sharkey zachowywał się uprzejmie.

- Idę w tę samą stronę - powiedział. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to pójdziemy razem.

- Chętnie skorzystam z pańskiej eskorty, bo po drodze wyburzają ten stary budynek na rogu i... niektórzy z robotników krzyczą za mną i zaczepiają, jak przechodzę.

- Zajmiemy się tym! - powiedział Sharkey wojowniczo.

- Zwykle odprowadza mnie pan Butler, ale... - drzwi zamknęły się i nie słyszałam reszty.

Pamiętałam, że wczoraj w salonie panna Thackery czytała *Observera*, więc poszłam po niego. Gdy wracałam do jadalni, z góry zszedł lord Algernon.

- Dzień dobry, Catherine - powiedział z uśmiechem.

- Dzień dobry, lordzie Algernon - powiedziałam chłodno. - Czy zdarł pan skórę z Sharkeya? Muszę pogratulować dyskrecji. Nie słyszałam spadającego ciała.

- Osiągnęliśmy kompromis. On dał mi bilety z właściwą datą do teatru Drury Lane na jutro, żeby wynagrodzić wczorajszą katastrofę. Mam nadzieję, że ty i panna Thackery będziecie moimi gośćmi.

- To bardzo uprzejme z pana strony, ale wolałybyśmy wiedzieć, co nas czeka, kiedy wychodzimy z dżentelmenem.

- Ostra jesteś! - powiedział. - Nie zapomnisz mi tego nigdy, co? Ale, jak powiedziałem, tym razem bilety mają właściwą datę.

- Jestem pewna, że bilety są dobre. Może pułkownik odstąpi panu pannę Whately do towarzystwa. Ja będę zajęta przygotowaniem domu, aby pokazać go przyszłym nabywcom. Szukam jakiegoś agenta nieruchomości, żeby się dzisiaj do niego zgłosić.

Spojrzał na mnie, bardziej zmartwiony niż zły.

- O co chodzi, Catherine? - spytał miękko.

- Fatalny atak poczucia rzeczywistości. Szkoda, że pan tego nie doświadczył.

- Cóż to oznacza?

- Taki chytry lis jak pan powinien się chyba tego domyślić.

Zostawiłam go opartego o barierkę i wróciłam do jadalni. Nie powinnam była okazywać gniewu. Może stać się bardziej ostrożny i trudno mi będzie przyła-



pać jego i Sharkeya z kradzionym towarem. Przy następnym spotkaniu będę ostrożniejsza, ale już więcej z nim nie wyjdę.

Zakreśliłam nazwiska dwóch agentów nieruchomości niedaleko Wild Street na podstawie mapy Londynu, którą znalazłam w biurku ciotki Thalassy. Jedynym ciekawym wydarzeniem tego przedpołudnia był list od ojca, który nakłaniał mnie do pozostania w Londynie tak długo, jak będzie trzeba, aby doprowadzić dom do stanu umożliwiającego sprzedaż lub wynajem. Czułam w tym rączkę pani Hennessey. Bardzo by się cieszyła, gdybyśmy z panną Thackery dały jej wolną rękę, jeśli idzie o ojca.

Przed południem Mullard zaczął zeskrobywać farbę z drzwi. Żeby ją trochę zmiękczyć, użył jakichś cuchnących chemikaliów. Woń rozeszła się po całym domu, więc panna Whately zeszła na dół z pretensjami. O wpół do dwunastej nie była jeszcze ubrana, lecz paradowała w kwiecistym szlafroku.

- Przecież od tego może rozboleć głowa, panno Irving. To dla wszystkich niezdrowe.

- Już kończy. Nie będę pani zatrzymywać, panno Whately, bo widzę, że jest pani w trakcie toalety.

- O Boże, już mi gardłem wychodzą te wszystkie stare szmaty. Jeżeli jeszcze raz będę musiała włożyć tę żółtą suknię, to zwymiotuję. A co pani robi z sukniami tej starej lali, panno Irving, jeśli mogę spytać? Tak sobie myślałam, nosiłyśmy prawie ten sam rozmiar, z wyjątkiem talii, a ona miała parę doskonałych rzeczy. Ja nie byłabym w stanie za-

płacić tyle, ile są warte, ale stary Jack odpaliłby parę funciaków. Lubi, jak się fikuśnie ubiorę.

- Proszę bardzo, może pani przejrzeć, panno Whately... Oddam to za darmo - dodałam.

Wobec takiej okoliczności panna Whately, którą koniecznie musiałam nazywać „Renie”, znalazła mnóstwo rzeczy w swoim guście, łącznie z jedwabnymi pończochami o spuszczonej oczkach i antycznych pantoflami z krzykliwymi srebrnymi sprzączkami i innymi strasznymi ozdóbkami.

- Może pani spytać panią Clarke, czy nie chce czegoś z tego, co zostało - powiedziała, niosąc pełne naręczka. - Ona ma taki talent do igły. Powinna pani zobaczyć, jak cudownie naprawiła rękaw pana Algera. Rozdarł go, kiedy pomagał wstawić kołyskę Jamie'ego. No, oczywiście, to jasne, skoro jest modystką i w ogóle. Ucieszy się, jakby pani miała dla niej jakąś dodatkową robotę, coś do naprawy czy szycia, panno Irving. Ona robi wszystkie chusteczki Algera.

Bardzo to było miłe ze strony Algernona, że tak pomagał wdowie. Dobrze, że był przynajmniej w jakimś przypadku szczodry.

- To może być nawet bardzo pożyteczne. Zobaczę, co mamy do zrobienia. Pewnie pan Butler też jej daje czasami coś do roboty?

- Tak, nawet stary Vivaldi. Jak chce pani wiedzieć, to on ma na nią oko. Nie raz go przyłapałam, jak się kręcił koło jej drzwi. Stary piernik/mógłby być jej ojcem. Oczywiście, to żadna konkurencja dla pana Algera.

- Ale to przecież pan Butler jest jej głównym wielbicielem.

- Niech pani w to nie wierzy - powiedziała Renie i zaśmiała się. - Nie spojrzała na niego od czasu, jak wpadła w oko Algerowi. To zrozumiałe, taki kawaler. On bardzo lubi panią Clarke. Zabiera ją czasami swoim powozem. Ona mówi, że odwiedza krewnych swojego nieżyjącego męża, a ja twierdzę, że jadą do najbliższej oberży. Och, ten Alger, to jest... Chętnie sama postawiłabym kaptcie pod jego łóżkiem, że się tak wyrażę - dodała, widząc mój zdumiony wzrok i rozdziawione szeroko usta.

Jednak moje zdziwienie spowodowała nie jej wulgarność, ale nowina, że Algernon uwodził tę milutką panią Clarke. Byłam wściekła, ale starałam się ukryć zainteresowanie tą sprawą i wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji.

- Może napiłabyś się kawy, Renie? - zaproponowałam.

- Chętnie, kochaneczko. Właśnie mi się skończyła. Ostatnia była już taka słaba, że wypiałam prosto z dzbanka.

Poszłyśmy do salonu i zadzwoniłam na Mary, żeby przyniosła kawę.

- Ślicznie pani odszykowała tę norę. - Renie rozejrzała się. - Kto by pomyślał, że to może tak przyjemnie wyglądać.

- Tak, pokój ma dobre proporcje i niezły kominek. Czy Alger dawno się widuje z panią Clarke?

- Kiedy tylko się wprowadził. Jak ją zobaczył, od razu się do niej zaczął zalecać. Spędził w jej pokoju

cały pierwszy wieczór, a wtedy jeszcze panna Lemon tam nie mieszkała. - Pokiwała głową. - Zresztą to on znalazł pannę Lemon i nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to on jej płaci. Przecież pani Clarke dostaje tylko pół renty po mężu, prawda? Jak mogłaby sobie pozwolić na stałą pomoc?

- Przecież pracuje.

- No tak, ale kiedyś mi wyznała, że odkłada to co do grosza na kształcenie Jamie'ego, niech pani sobie wyobrazi. I to prawda, bo zerknęłam kiedyś w jej książeczkę oszczędnościową.

Miałam wielką ochotę spytać, jak jej się to udało, ale pomyślałam, że może lepiej nie wiedzieć.

Z filiżanką w ręku Renie stawiała się jeszcze bardziej rozmowna.

- Panu Butlerowi się to nie podoba - stwierdziła, przypatrując się karafce z sherry.

Nie chciałam jej ułatwiać picia, więc udałam, że tego nie widzę.

- Słyszałam, jak prawili morały, kiedy wychodziła z Algerem - ciągnęła. - „Nie rozumie pan - mówiła.

- Pan Alger to po prostu przyjaciel". Z takimi przyjaciółmi nie potrzebuje bankiera. Kiedy z nim wychodzi, aż ma rumieńce z zadowolenia, a na drugi dzień dostaje jakiś prezencik, jak zauważyłam. Tę małą szafkę w saloniku, mówi na nią szyfoniera, dostała po pierwszym wieczorze z Algerem. A po drugim zegarek. Nie, żeby się skarżyła, należy jej się. Stary Jack wciąż mi obiecuje zegarek i nic. Ale w końcu od niego wyciągnę.

Renie nareszcie skończyła kawę i zabrała swoje

łupy na górę. Siedziałam sama rozmyślając. Pani Clarke była bez wątpienia ładna. Podejrzywałam lorda Algernona od razu, że jest wrażliwy na damskie wdzięki. Sharkey szpiegował dla niego jakąś damę, do mnie zalecał się z dużą wprawą. Co zdumiewało mnie najbardziej, to fakt, że wdowa była chętna jego awansom. Wydawało się, że interesuje ją tylko Jamie. Czy robiła to dla niego, dla zapewnienia mu przyszłości? Mogłoby to może usprawiedliwiać ją, ale nie Algernona.

Weszła panna Thackery, która usiłowała wałczyć z bałaganem w ogrodzie, z wiadomością, że Mullard skończył skrobać, więc może sprawdziłabym kolor farby, nim zacznie malować. Była ciemnozielona, tak jak prosiłam. Kupił też piękną mosiężną kołatkę z głową lwa, która doda odrobinę elegancji naszemu domowi, chociaż jednocześnie podkreśli zaniedbanie reszty budynku.

Podziwiałyśmy kołatkę, kiedy nadeszła paczka dla pani Clarke. Pokwitowałam odbiór i zaniósłam na górę. Otworzyła mi panna Lemon, trzymając na rękach Jamie'ego.

- Ząbkuj, biedaczek - powiedziała. - Mogłaby pani położyć tę paczkę na sofie?

Cieszyłam się, że mam okazję zobaczyć mieszkanie, a zwłaszcza tę szyfonierę od Algie'ego. Bardzo elegancka, z chińskimi ozdobami na górze i szufladami poniżej. Była taka nowa, że aż dziwnie wyglądała w tym pokoju. Na sofie leżała znana mi męska kamizelka w złotobrazowe paseczki. Panna Lemon zauważyła, na co patrzę, i zarumieniła się.

- Jak to nieprzyzwoicie wygląda! - powiedziała i zaśmiała się. - Pani Clarke przyszywa guziki panu Algerowi. Szyje czasem w domu, żeby związać koniec z końcem.

- Trudno jest młodej wdowie z dzieckiem - powiedziała, hamując złość.

- Och, ale Jamie jest tego wart. Ona go uwielbia. Jamie zaczął marudzić z bólu. Policzki miał czerwone.

- Czy on ma gorączkę? - spytałam.

- Jest trochę cieplejszy, ale to przez te ząbki. Muszę mu dać gryzaczek. Gdzie ja go mogłam położyć? - rozglądała się bezradnie.

- Może pomogę?

- Dziękuję. Chyba w sypialni. Czy mogłaby pani zobaczyć w jego kołysce, panno Irving? - zapytała i wskazała na otwarte drzwi.

Weszłam do środka. Był to pokój pani Clarke, z kołyską w rogu. Skromne urządzenie nastawione było na potrzeby dziecka. Nie było tu ozdobnych szyfonier *ani* toaletki ze zbytkownymi akcesoriami. Komoda, którą jej dałam, pomalowana była na niebiesko, na półeczkach w tym samym kolorze wisiały zabawki, a na ścianie obrazki ze zwierzętami. Nad jej skromnym łóżkiem, bez żadnych baldachimów, wisiał portrecik oficera, zapewne nieżyjącego porucznika Clarke. Był przystojny, z ciemnymi włosami i ciemnymi oczyma.

Nie wyglądało to jak pokój utrzymanki, lecz ubogiej wdowy, która dobro dziecka stawia ponad wszystko. Na nocnym stoliku leżała książka. Zer-

knęłam, co czyta, sądząc, że to Biblia lub sentymentalna powieść. Była to pikantna powieść francuska *Les Amours de Lise*. Porwałam gryzak i zaniiosłam pannie Lemon. Chciała mnie poczęstować herbatą, ale marzyłam, żeby jak najprędzej stąd wyjść. Co pani Clarke, która twierdziła, że nie zna francuskiego, robiła z francuską powieścią? Książka leżała otwarta w miejscu, gdzie pani Clarke skończyła czytać. Nagle nie wydało mi się niemożliwe, że jest kochanką lorda Algernona. Żałowałam, że poszłam na górę zobaczyć tę sypialnię. Wiedziałam, że Algernon pomaga Sharkeyowi sprzedawać kradziony towar, ale to, że uwodził biedną wdowę, było znacznie gorsze.

Może to Algernon czytał tę pikantną powieść? Pani Clarke stanowczo mówiła mi, że nie rozumie po francusku. Nie było żadnego logicznego powodu, dla którego miałaby skrywać tę umiejętność. Nie, musiał Algernon ją czytać, może czytał jej głośno. Wkradał się nocą do jej mieszkania, kiedy wszyscy spali. To dlatego najał pannę Lemon. Potrzebował kogoś, kto nie będzie sprzeciwiał się takiemu związkowi. Było to obrzydliwe i nie będzie się odbywało pod moim dachem. Nie mogę dbać o moralność całego świata, ale mogę przynajmniej sama odgrodzić się od zepsucia.

Z każdą chwilą było bardziej jasne, że muszę sprzedać dom. Londyn stracił dla mnie cały powab. Może pojedę do Bath, ale na pewno nie zostanę tutaj, gdzie nikt nie był tym, *na* kogo wyglądał. Londyn był dla mnie zbyt zepsuty.

## Rozdział 12

Po południu Mullard zawiózł pannę Thackery i mnie do pośrednika nieruchomości. Pan Simcoe miał imbirowe włosy, cynamonowe oczy, musztardowe zęby i czosnkowy oddech. Ten człowiek -przyprawa taki był chętny do pobrania swojej prowizji, że razem z nami pojechał od razu na Wild Street. Przez następną godzinę słuchałyśmy negatywnych, choć bardzo zawoalowanych opinii na temat domu. Lokalizacja była „trudna”, stan posesji „nieoptymalny”, wystrój „daleki od ideału”, a dochód „niezbyt wystarczający, by wzbudzić zaufanie”.

Tak się o domu źle wyrażał, że w końcu powiedziałam:

- Pan tak mówi, jakby był kupcem, wyszukującym wszystkie wady. Miałam nadzieję, że mój agent skupi się na



pozytywnych stronach, pokazując dom potencjalnym nabywcom.

Wkrótce przyznał, że mury jeszcze się trzymają, a komin jest nietknięty.

- Gdyby pani podzieliła mieszkania na mniejsze, dochód byłby bardziej interesujący - zaproponował.

- Ale oznacza to wydatki na cieśli, zburzenie paru ścian i drzwi i wstawienie nowych.

- Ale jaką cenę za dom proponuje pan w jego obecnym stanie? - spytałam.

Była to wielka tajemnica, którą starałyśmy się z niego wyciągnąć od godziny, a on jej strzegł jak oka w głowie.

- Mogę pani powiedzieć, za ile poszedł dom na rogu trzy lata temu - zaczął. - Trzy i pół tysiąca. Ale został podzielony na przynoszące większy dochód mieszkania.

- Nie jest taki duży i ładny jak mój - zauważyłam.

- Tak, ale nikt go nie będzie kupował, żeby w nim mieszkać. Tacy, co tu mieszkają, nie mają pieniędzy. Jakby mieli, to mieszkaliby gdzie indziej. W tej okolicy mieszkają drobne złodziejaszki, ladacznice, a czasami się zdarzy uczciwa krawcowa czy drobny urzędnik.

Sharkey, Renie, pani Clarke i pan Butler. Opis był tak precyzyjny, że trudno się było nie zgodzić. To byli moi lokatorzy, poza profesorem Vivaldim i Algernonem. Przypomniało mi się wtedy, jak Renie mówiła, że nawet Vivaldi interesował się modystką. Tu się chyba myliła.

- Mówiono mi o kwocie pięciu tysięcy - powiedziałam, mając na myśli wycenę Algernona.

- Moglibyśmy zbliżyć się do tej sumy - powiedział z powątpiewaniem pan Simcoe. - Ten dom na rogu sprzedano trzy lata temu i, jak pani powiedziała, pani dom jest w lepszym stanie. Spróbujemy, czy ktoś się skusi za pięć tysięcy. Może pani zawsze obniżyć do bardziej realnej sumy, jeśli w ogóle dostanie pani jakąś ofertę.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale powiedziałam:

- Doskonale.

Miałam umowę pod nosem tak szybko, że nawet nie zauważyłam, jak ją wyciągnął z kieszeni. Nim opuścił Wild Street, z wielką trudnością wbił w ziemię słupek z tablicą, oznajmijącą „Na sprzedaż”. Przed kolacją tablica była już zwalona przez miejscowych uliczników. Mullard znalazł ją i ponownie wkopał. Po godzinie znów była przewrócona. W końcu włożyliśmy ją za okno salonu od wewnątrz, więc miejscowi musieliby wejść do domu, żeby się do niej dostać, co było praktycznie niemożliwe.

Pan Simcoe sugerował, żebym wywiesiła ogłoszenie na tablicy zawiadamiające lokatorów, że mam zamiar sprzedać dom i że powinni zaciąć szukać innych mieszkań. Jego zdaniem, jeśli ktoś będzie tak głupi i kupi ten dom, natychmiast podniesie czynsz lub podzieli go na mniejsze mieszkania.

Ogłoszenie wywołało oczywiście ogromne zainteresowanie lokatorów. Pierwszy przyszedł pan Butler i wyjaśniło się, dlaczego nie odprowadzał ostatnio

pani Clarke. Był wydelegowany przez szefa do Camden Town.

Spytał od razu:

- Czy pani Clarke wie? Nie wiem, co ta biedna dziewczyna zrobi.

- Pośrednik sądzi, że nabywca będzie nadal wynajmował mieszkania - powiedziałam.

- Tak, po astronomicznej cenie, najaką nie będzie mogła sobie pozwolić. Muszę pobiec do mam'selle Lalonde i zawiadomić panią Clarke.

Kiedy wróciła z pracy, wraz z Butlerem przyszła do mnie, zadając dziesiątki pytań, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Nie mogłam im obiecać takiego samego czynszu, skoro nie miałam jeszcze żadnych ofert.

- Na Boga - powiedział pan Butler, patrząc nieśmiało na panią Clarke - jak przyjdzie co do czego, będziemy musieli się ścieśnić i razem zamieszkać z panią Clarke, ha, ha. To znaczy, pobrać się - dodał widząc, że nie zainteresowała się zbytnio tym pomysłem.

- Nie wiem, jak Jamie by to przyjął - powiedziała.

- Chłopak potrzebuje ojca, jeśli chce pani wiedzieć - oznajmił pan Butler żartobliwym tonem.

Zauważyłam, że nie skrytykowała od razu tego pomysłu. Wiedziała z pewnością, że nie może liczyć na propozycję małżeńską od Algernona. Pobiegli razem na górę, rozmawiając z ożywieniem.

- Z nich jeszcze będzie para - podsumowała panna Thackery.

Nie powtórzyłam jej plotek od Renie na temat

Algernona i pani Clarke, ale nie powstrzymałam się od złośliwych komentarzy dotyczących Algernona. Uznała to zapewne za sprzeczkę zakochanych i nie zwróciła większej uwagi.

Sharkey wrócił kilka chwil po pani Clarke. Zapewne zobaczył ogłoszenie, ale nie przyszedł do nas.

Następnym przybyszem był profesor Vivaldi. Zatrzymał się w salonie i powiedział smutno:

- Widzę, że sprzedaje pani dom. Bardzo mi przykro. Stary samotnik, jak ja, znajdzie gdzieś pokój, ale martwię się o panią Clarke. Czy mówiła, dokąd pójdzie?

- Nic jeszcze nie jest postanowione, panie profesorze - powiedziałam. - Dopiero dziś wystawiliśmy ogłoszenie.

- Biedna dziewczyna - powtórzył, potrząsając głową. Trzymał w ręku brązową torebkę. Otworzył ją i pokazał nam ołowiane żołnierzyki w drewnianym pudełeczku. - Kupiłem to na urodziny Jamie'ego - powiedział.

- Ależ, panie profesorze, jego urodziny są dopiero za trzy miesiące - sprostowała moja towarzyszką.

- Doprawdy? Słyszałem, jak mówiła coś o urodzinach, kiedy zabieraliśmy od pani meble. Nie znam się na dzieciach. Nigdy nie miałem dzieci - powiedział. - I tak dam jej te żołnierzyki. Znalazłem takie w mundurach regimentu jej męża. To zostanie na pamiątkę dla Jamie'ego, kiedy będzie starszy.

Dziwne, jak człowiek wciąga się w życie innych ludzi, mieszkając pod tym samym dachem. Profesor

musiał chyba podsłuchiwać, gdy pani Clarke opowiadała mi, że Jamie ma urodziny, bo skończył dziewięć miesięcy. Nie mówiła do niego. Jego zainteresowanie mogłoby potwierdzać teorię Renie o romantycznych uczuciach do pani Clarke. Mnie się jednak wydawało, że chodzi raczej o dziecko. Wydawał się taki smutny, kiedy mówił, że nigdy nie miał syna.

- Niech mi pani da znać, gdyby pani Clarke znalazła gdzieś mieszkanie - powiedział. - Popytam wśród znajomych, może coś się uda znaleźć. Biedna dziewczyna.

Wsadził pudełko z żołnierzykami do torebki i poszedł na górę.

- Jest samotny - powiedziała w zamyśleniu panna Thackery.

- Potrzeba mu żony. Nie zechciałabyś się postarać o tę posadę?

Panna Thackery zawsze reagowała na takie dowcipy.

- A może od razu postarać się o celę w więzieniu? - odparowała. - Małżeństwo z biedakiem to jak więzienie. Dziękuję bardzo, ale mi dobrze tak jak jest. Gdyby był lordem, to co innego.

Udawałam, że nie zrozumiałam aluzji do Algerona. Wrócił tego wieczoru ostatni, ale nie zajrzał do nas.

Mary Freeman upiekła nam kurczaka na kolację, a jej matka przysłała ciasto z jabłkami. Był to nasz najlepszy posiłek od chwili opuszczenia Radstock.

Po kolacji panna Thackery poszła do kuchni pomóc Mary, a ja udałam się do salonu odpisać na list papy. Nie odpowiedział, *co* zrobić z Mullardem i powozem, póki jesteśmy w Londynie. Obawiałam się, że brak mu powozu, więc pytałam, czy nie przysłać mu Mullarda. Gdy pisałam, usłyszałam jakieś zamieszanie na schodach, a kiedy wyszłam do holu, zobaczyłam wszystkich swoich lokatorów. Wiedziałam, dlaczego przyszli. Nie chcieli, żebym sprzedawała dom.

Jako swego przedstawiciela wybrali lorda Algerona.

- Bardzo nam przykro, że pani sprzedaje dom, panno Irving. Zebraliśmy się wszyscy razem i przedyskutowaliśmy tę sprawę. Zastanawiamy się, czy zmieniłaby pani zamiar, gdybyśmy dobrowolnie podwyższyli czynsz o dziesięć procent. Wtedy pani inwestycja byłaby bardziej opłacalna i...

- To nieładnie tak namawiać moich lokatorów, panie Alger - powiedziałam używając nazwiska, pod jakim go znano. - Przyjechałam do Londynu tylko po to, by obejrzeć dom i wystawić go na sprzedaż. Przykro mi, że narażam państwa na niewygodę, ale chyba jest dużo mieszkań do wynajęcia w Londynie.

Rozległ się pomruk niezadowolenia. Ktoś powiedział, że odpowiada im bardzo ta lokalizacja, ktoś inny podkreślił czystość domu, co wzbudziło moją ciekawość, jak muszą wyglądać inne domy. Pani Clarke zwróciła uwagę na obszerne pokoje, a pan Butler powiedział coś na temat sympatycznych

lokatorów. Ani złodzieje, ani prostytutki, ani oszukujący lordowie nie byli dla mnie sympatyczni i podtrzymałam swój projekt.

- W takim razie - powiedział pan Butler do pani Clarke - wyjdźmy od razu *na* miasto szukać innych mieszkań.

Większość ubrana była do wyjścia. Pani Clarke miała kapelusz, panowie pogniecione meloniki.

Pani Clarke była niezdecydowana:

- Powinnam przedtem zamienić słowo z panną Lemon.

- Do licha, już jej pani mówiła o naszych planach - powiedział Butler. - Jamie śpi jak złoto. Nie dowie się, że pani wyszła.

Pozwoliła się wyprowadzić. Renie spytała, czy nie było dla niej wiadomości od pułkownika Jacka. Poinformowałam, że nie było.

- Też coś! Teraz, jak mam nowe suknie, muszę siedzieć w domu. - Gadała jeszcze chwilę w tym tonie opowiadając, jak przerobiła sukienki.

Kiedy tak paplała, profesor Vivaldi ukłonił się, włożył kapelusz i wyszedł. Monolog Renie nie wymagał wielkiej uwagi, więc mogłam się rozglądać, jak zareagował Algernon. Spodziewałam się obrażonej miny i krzywych spojrzeń, ale nie poświęcił mi w ogóle uwagi.

Rzucił tylko okiem na Sharkeya, ten nieznacznie kiwnął głową i wyszedł. Nie zamienili ani słowa, a jednak było dla mnie jasne, że Algernon wydał mu jakieś polecenie. Na pewno poszedł zakupić jakiś kradziony towar.

Kiedy zostaliśmy sami, Algernon spojrzął na mnie z wyrzutem.

- Więc zrobiłaś to. Wyrzuciłaś nas na bruk.

Odpowiedziałam:

- Wywiesiłam ogłoszenie, że mam zamiar sprzedać dom, gdy tylko znajdę kupca. A na razie, jeżeli pan i Sharkey przyniesiecie jeszcze jakiś kradziony towar do tego domu, każę wam wyprowadzić się natychmiast, jeszcze przed sprzedażą.

- Mnie? Czy sugerujesz, że ja?...

- Tak, lordzie Algernon. Sugeruję, że dał pan znak Sharkeyowi, żeby załatwić jakiś interes. Jesteście partnerami i wiem, kto tu jest szefem. Wstydziliby się pan.

Zacisnął usta i powiedział przez zęby.

- Źle pani zrozumiała, madame.

- Rozumiem, poszedł szukać panu innego źródła zbytu. A może dzisiaj wieczorem jego zadaniem jest śledzenie kobiety?

Jego twarz przybrała kamienny wyraz, ale oczy rozbłysły.

- O czym, do diabła, pani mówi? - warknął.

- Mówię o tym, że wykorzystuje pan mój dom jako dom schadzek i melinę dla kradzionego towaru. Nie zgadzam się na to, więc niech mnie pan nie obwinia o wyrzucanie lokatorów na bruk. To pan psuje im szyki.

Nie zwrócił uwagi na inne zarzuty, ale przełknąwszy kilka razy ślinę, powiedział:

- Co masz na myśli mówiąc „śledzić kobietę”?

- Musi pan powiedzieć Sharkeyowi, żeby następ-



nym razem ściszył głos. Ale niech się pan nie martwi, nie powiem pani Clarke, że jest pan niewierny. Jej zachowanie można jeszcze jakoś usprawiedliwić, chociaż też nie jest zupełnie bez winy.

Stał spokojnie, ale widziałam, że gorączkowo usiłuje znaleźć jakieś wytłumaczenie. Wszystko, co powie, będzie kłamstwem.

W końcu powiedział:

- Cokolwiek sądzisz o mnie, Catherine, krzywdzisz panią Clarke sugerując, że mam z nią romans. Jest to najśłodsza, najbardziej niewinna...

- Ale o dziwnych upodobaniach literackich - przerwalam.

- O czym ty mówisz? - spytał niespokojnie.

- Weszłam dziś po południu do jej pokoju po gryzaczek Jamie'ego. A może ta pikantna francuska powieść przy jej łóżku należała do pana, lordzie Algernon?

Zdenerwował się, ale mówił cicho.

- Nie, nie do mnie. Może do panny Lemon - powiedział. - Na pewno kładzie się w pokoju pani Clarke, kiedy Jamie zasypia.

To wyjaśnienie nie przyszło mi wcale do głowy. Czułam się głupio, że oskarżyłam jego i panią Clarke, dopóki nie powiedział:

- Przypadkowo wiem na pewno, że Anne nie mówi po francusku.

To bezmyślne „Anne” zdradziło większą bliskość, niż się przyznawał.

- Czy mówiłaś komuś o tej francuskiej powieści?

- Nie, dlaczego? Nie zajmuję się plotkami.

- Nie mówiłaś Renie, jak przyszła po suknie?

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam o książce. Dlaczego martwi się pan o Renie? Ona doskonale wie, co jest między panem a panią Clarke. To ona...

- Nie zajmuje się pani plotkami, tylko ich słucha, prawda, panno Irving? I wierzy pani tej... aktorce bardziej niż mnie?

- Dlaczego mam panu wierzyć? Od chwili gdy pana poznałam, opowiada pan same kłamstwa. Chcę, żeby pan opuścił ten dom natychmiast. Dzisiaj!

- Nie bądź niemądra - powiedział.

Wcisnął kapelusz na głowę i wypadł z domu. W tym pośpiechu i wściekłości zapomniał, że drzwi są świeżo malowane i pewnie ubrudził ręce albo płaszcz, bo usłyszałam serię przekleństw, gdy zaszaskiwał drzwi.

Siedziałam teraz sama, drżąca i zła na siebie, że okazałam złość. Więcej niż złość, była to zazdrość. Pozwoliłam sobie zadurzyć się w Algernonie - najgłupsza rzecz, jaką mogłam zrobić. Nigdy nie wyjdę za złodzieja i oszusta, a gdyby był prawdziwym lordem, nie zainteresowałby się kimś takim jak ja. Spotkaliśmy się tylko dlatego, że odziedziczyłam ten przeklęty dom na Wild Street. Im szybciej się go pozbędę, tym lepiej.

## Rozdział 13

Gdy lokatorzy rozeszli się, wieczór dłużył się niemiłosiernie. Zastanawiałam się, co robiła wieczorami moja ciotka. To dziwne, że siostrze marny odpowiadało mieszkanie w takim miejscu. Pannie Thackery wydało się równie dziwne, że nie zjawili się u nas żadni jej przyjaciele. Czy miała jakichś godnych szacunku znajomych? Doszliśmy do wniosku, że musiała na starość nieco zdziwaczeć, bo nie było innego wyjaśnienia.

Tęskniłam za domem, papą i Radstock. W takie piękne wieczory chodziliśmy na spacer na deptak i spotykałam przyjaciółki. Dzieci bawiły się na trawniku, a drzewa szumiały tajemniczo na wietrze, gdy czerwone słońce znikało za wieżami kościoła papy. Czasami siadałyśmy na ławkach, gadałyśmy i przyglądałyśmy się kaczkom pły-

wającym po stawie. Kiedy indziej, kiedy wiatr wiał zbyt silnie, wstępowałyśmy na kawę do któregoś z sąsiadów.

Na Wild Street kobieta wieczorem nie śmiała zrobić kroku bez męskiej eskorty. Wysokie ciemne domy o zakurzonych oknach wyglądały odstraszająco. Wolałam nawet nie wiedzieć, *co* się za nimi dzieje. Ulicznicy zbierali się na rogach, krzycząc, poszturczując się i czekając na zapadnięcie zmroku. Każda przechodząca kobieta była traktowana jak ulicznica, zresztą na ogół nią była. Od czasu do czasu wytaczał się jakiś klient z meliny handlującej ginem. Było jasne, że nie mogę tu pozostać na stałe, ale myślałam o wyjeździe z ciężkim sercem. Jednak nie było mi żal porzucić Wild Street, tylko lorda Algernona.

Pani Clarke i pan Butler wrócili pierwsi. Nie zatrzymali się w salonie, ale pobiegli na górę, radośnie paplając.

- Miło słyszeć, że się śmieje - powiedziała panna Thackery. - Jest zbyt młoda i ładna, żeby zostać na zawsze w podłym mieszkanku na Wild Street. Dobrze byłoby, gdyby pan Butler zabrał ją do domu swego tatusia. Na pewno miałyby lepsze warunki dla małego Jamie'ego.

Wkrótce po nich wrócił profesor Vivaldi. Wstąpił spytać, czy mógłby zostawić u nas paczkę, po którą jutro ktoś się zgłosi. Przesyłał książki jakiemuś przyjacielowi. Oczywiście zgodziłyśmy się, więc po chwili wniósł pudło i ustawił w rogu salonu. Później przyszedł Sharkey. Jeśli miał jakiś kradziony towar, to dobrze ukryty pod kurtką.

Podszedł do drzwi i obdarzył mnie swym krokodylim uśmiechem.

- Wygląda pani uroczo, jak zwykle, niech mi będzie wolno powiedzieć - zaczął. - Zbyt ładnie, żeby tak siedzieć sama - podchodził coraz bliżej z obleśnym uśmiechem. Zauważył pannę Thackery i wycofał się.

Policja nie poszukiwała go. Siedziałyśmy ze swoimi robótkami do wpół do jedenastej, zastanawiając się, czy posłać do domu po jakieś ubrania, czy zadowolić się tymi, które przywiozłyśmy. Algernona wciąż jeszcze nie było, więc wypiliśmy po filiżance kakao i poszłyśmy spać.

Nazajutrz wstałam już o wpół do ósmej. Słyszałam, jak jeden po drugim lokatorzy wychodzili do pracy. Oczywiście, z wyjątkiem Renie, która „pracowała” na nocną zmianę, jeśli w ogóle. Mullard musiał jeszcze poprawić drzwi, bo były na nich ślady kilkunastu palców. Panna Thackery poszła do ogrodu, a ja usiłowałam ulepszać wygląd domu, aby był bardziej zachęcający dla kupca.

Przyjechał woźnica po paczkę profesora Vivaldiego. Zastanawiałam się, dokąd ją wysyła, bo nie było adresu, ale woźnica powiedział, że wie, gdzie dostarczyć i zabrał pudło. Poszłam za nim do drzwi przypilnować, żeby nie otarł farby. Sądziłam, że takie wielkie pudło z książkami musi być ciężkie, ale uniósł je bez trudu. Wóz był załadowany innymi pudłami. Wyglądały, jakby wszystkie szły w to samo miejsce, w każdym razie wyglądały tak samo, podpisane czarnymi literami

i cyframi: A-D-L-1, A-D-L-2 i tak dalej, było chyba z dziesięć pudełek.

Renie zeszła na dół pokazać mi, jak przerobiła jedną z sukni po ciotce. Zrobiła to bardzo sprytnie, zwężając w talii i powiększając dekolt, żeby wyeksponować swoje wdzięki. Siedziała przez chwilę i gadała. Kiedy powiedziałam, że chcę usunąć niepotrzebne dywany, zaofiarowała się z pomocą. Zawołałam Mary i we trzy zdjęliśmy dwie warstwy dywanów w salonie. Renie zabrała jeden do swojego pokoju, a Mary chętnie wzięła drugi. Chciała, żeby brat przewiózł go do ich domu. Ten, który pozostał, w kwiaty na kremowym i brązowym tle, był całkiem ładny.

Przestawiłyśmy też meble. Kiedy skończyłyśmy, Mary przyniosła herbatę i przyszła do nas panna Thackery.

- Myślicie, że Butler przestał się obijać i ona machnie się za niego? - spytała Renie, wsypując mnóstwo cukru.

- Chce pani spytać, czy zaproponował jej małżeństwo? - powiedziałam. - Sądzę, że jest blisko tego.

- No, to szczęście się do niej uśmiechnie - powiedziała Renie. - Jego tatuś jest całkiem dziany. Pięćset akrów w Devonshire, chociaż Butler niestety nie jest najstarszym synem. Ale i tak coś dostanie, jak tatuś kopnie w kalendarz.

Nie mogłam się zdobyć, aby wymienić nazwisko pana Algera w towarzystwie panny Thackery, ale zauważyłam, że Renie nie przywiązywała specjalnej

wagi do tego romansu. Sądziła, że pani Clarke przyjmie każdą ofertę małżeństwa.

- Żebym to ja miała taką okazję - ciągnęła.

- Wolę nie myśleć, co mnie czeka na przyszłość. Naprawdę, nie wiem. Co się ze mną stanie teraz, jak zaczynają mi się robić zmarszczki i reżyserzy już mnie nie chcą?

Przypuszczam, że z powodu tych zmartwień nadużywała alkoholu. Rzeczywiście, przyszłość rysowała jej się bardzo niewyraźnie.

Panna Thackery spytała:

- Czy nie ma pani jakichś innych umiejętności poza aktorstwem, panno Whately?

- Mam, ale i do tego robię się za stara. Jack nie przyszedł po mnie wczoraj.

Moja towarzyszka dyskretnie odchrząknęła i powiedziała:

- Świetnie pani wyszła przeróbka tej sukni po pani Cummings. Słyszałam, że poszukują szwaczek teatralnych w Covent Garden.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła.

- Mary Freeman o tym mówiła. Jedna z jej siostr chciała się tam zgłosić. Mary ma przy sobie w kuchni to ogłoszenie. Chciałaby pani zobaczyć?

- Boże, a co mi to da? Nigdy nie radziłam sobie z literami. Zawsze ktoś musiał uczyć mnie roli i tylko dlatego nie zostałam gwiazdą, moje panie, bo warunki miałam, wierzcie mi. Dajcie mi tylko nazwisko dyrektora, a pójdę z nim pogadać.

Panna Thackery zadzwoniła na Mary, żeby przy-

niosła ogłoszenie, i wkrótce Renie pobiegła do Covent Garden.

- To twój dobry uczynek na dzisiaj - pochwaliłam panią Thackery. - Tak mi żal moich lokatorów. Przykro mi zostawiać ich w potrzebie. Wydają się tacy bezbronni.

- Mogłabyś przyjąć tę dziesięcioprocentową podwyżkę, jaką ci oferują, i oddać zarządzanie domem pośrednikowi.

- Tak, chyba mogłabym to zrobić.

- Mogłybyśmy wynająć sobie ładne mieszkanie w Bath, Cathy. Podejrzewam, że pani Hennessey posunęła się w zakusach na twego ojca podczas naszej nieobecności. Pewnie mu pożycza swój powóz, nie uważasz?

- Zapewne.

- Miałaby powód, żeby przybiegać do niego do domu dziesięć razy dziennie. On jej się oświadczy, nim wrócimy.

Popołudnie minęło spokojnie. Renie wróciła rozanielona. Dostała pracę jako szwaczka.

- W ciągu roku mogę zostać przełożoną - zapewniła nas. - To stare pudło, które teraz projektuje kostiumy, nie ma pojęcia, co się podoba mężczyznom. Suknie zapięte pod szyję. Reżyser powiedział, że potrzebują teraz kogoś młodszego - pochwaliła się. - Pan Davies przyjdzie do mnie później wieczorem porozmawiać na temat kostiumów - ciągnęła.

- Zdażę tylko przerobić tę fioletową suknię po pani



ciotce. Nie ma pani przypadkiem butelki wina, którą mogłaby pani odstąpić?

- Przykro mi, Renie, ale to ostatnia butelka. Muszę zamówić więcej.

Spojrzała na mnie ze złością.

- To dziwne. Pani ciotka miała zawsze pełną piwnicę.

- Pani Scudpole powiedziała, że to ostatnia butelka.

- Czy mogę sprawdzić?

- Proszę bardzo.

Wyszła i wróciła po kilku minutach, kręcąc głową.

- Zostałyście obrobione, panie. Wasza piwnica jest pusta jak mój portfel. Podejrzewam, że wiem, kto to zrobił. Sharkey jest w domu?

- Tak, poszedł na górę.

Wyszła, a ja zwróciłam się do panny Thackery:

- To właśnie robił Sharkey na naszym przejeździe koło domu tego pierwszego ranka. Miał załadowany wóz i odjechał z winem tuż przed moim nosem. Słyszałam jakieś hałasy przy kuchennych drzwiach. Pójdę na górę i każę mu oddać. - Wstałam, gotowa stoczyć walkę.

Panna Thackery myślała przez chwilę, aż powiedziała:

- Nie zajmuj się tym, Cathy. Nie masz dowodów, a my wkrótce stąd wyjeżdżamy. Nie będziesz woziła wina do Radstock. Podróże są dla win niewskazane, poza maderą, która lubi trochę podskakiwania. Musiałabyś zawiadomić policję i skierować sprawę do sądu.

Siadłam zmartwiona. O wpół do siódmej poszłyśmy się odświeżyć przed kolacją.

- Ciekawe, że nie majeszcze pani Clarke. Zwykle o tej porze siedzi już w domu - zauważyła panna Thackery.

- Może poszła razem z panem Butlerem oglądać inne mieszkania?

Myślałyśmy o tym przez chwilę. Siadłyśmy do stołu i jadłyśmy resztę kurczaka, tym razem na zimno. Ledwo zaczęłyśmy, kiedy przyszła Mary powiedzieć, że Sharkey chce ze mną porozmawiać.

- Ten człowiek w ogóle nie ma manier - oburzyła się panna Thackery. - Czy powiedziałaś mu, Mary, że siadłyśmy właśnie do stołu?

- Tak, proszę pani, ale powiedział, że to bardzo pilne.

Obawiałam się, że znów popadł w konflikt z prawem, ale jeśli sądził, że go będę bronić, to się mylił. A w każdym razie będę się domagała zwrotu wina. Wyszłam do holu, gotowa roztrzaskać mu na głowie najbliższe krzesło.

- O co chodzi, panie Sharkey?

Sądząc po przerażonej minie, był w niezłych opałach.

- Czy miała pani jakąś wiadomość od pani Clarke? - spytał. - Nie wróciła do domu. Panna Lemon martwi się o nią. Nic nie mówiła, że przyjdzie później. Może przysłała pani jakąś wiadomość?

- Nie, dlaczego miałyby mnie zawiadamiać? Myś-

łę, że razem z panem Butlerem szukają mieszkania, nim się ściemni. - Był bardziej przejęty, niż wymagała tego sytuacja. - Dopiero dochodzi siódma. Nie ma się co martwić.

- Nie poszła z Butlerem. Wrócił sam do domu. Poszedłem po nią do sklepu, ale było zamknięte. Na drzwiach był napis W LIKWIDACJI.

Serce podskoczyło mi do gardła.

- To niemożliwe! Wyszła rano do pracy o zwykłej porze z panem Butlerem.

- Tak, ale on się z nią rozstaje na rogu, niedaleko sklepu pani Lalonde. Do diabła, szkoda, że nie ma Algie'ego.

- Może są razem - powiedziałam sztywno.

- Nie, poszedł do Izby. Pójdę mu powiedzieć.

- Czy pana Algiera to specjalnie interesuje? - spytałam w napięciu.

- Chciałby wiedzieć - odpowiedział Sharkey dyskretnie.

- Oczywiście, niech mu pan powie.

Alger interesował się panią Clarke tak bardzo, że Sharkey poszedł do sklepu eskortować ją, jakby był ochroną osobistą.

Chciałam już zaczepić Sharkeya na temat wina, ale otworzyły się drzwi i wszedł Alger. Popatrzył na mnie, na Sharkeya i domyślił się.

- Co się stało?

- Pani Clarke spóźnia się do domu i pan Sharkey sądził, że chce pan o tym wiedzieć - powiedziałam nieco pogardliwie.

Dodałam dwa do dwóch i doszłam do wniosku, że

to pani Clarke była kobietą, którą Sharkey śledził na polecenie Algernona. On nie zauważył nawet mojej złośliwości. Był wściekły.

- Miałaś jej pilnować! - krzyknął do Sharkeya.

- Ale ona nie wyszła ze sklepu, Algie. Czekałem piętnaście minut, a później podszedłem do drzwi i zobaczyłem napis W LIKWIDACJI. Sąsiad powiedział, że było zamknięte całe popołudnie, a Anne wyszła rano i nie wróciła do domu.

- O Boże! Muszę się zastanowić!

Był kłębkiem nerwów. Zrozumiałam wtedy, że pani Clarke jest dla niego czymś więcej niż spódniczką. Był w niej naprawdę zakochany. Serce mnie bolało, ale cieszyłam się, że nie traktuje młodej wdowy jak zabawkę. Przynajmniej nie jest taki zepsuty. Przysłonił oczy ręką i zaczął chodzić w kółko, mrużąc coś do siebie.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytałam, gdyż koniecznie chciałam ulżyć mu w bólu.

Spojrzał na mnie.

- Czy Vivaldi wrócił do domu?

- Nie wiem. Nie widziałam go.

- Biegnij i zapukaj do niego, Sharkey - powiedział Algernon. - Wymyśl coś, że chcesz pożyczyć herbaty albo mleka.

Sharkey popędził jak strzała.

Algernon spytał:

- Czy mówiłaś Vivaldiemu, że Anne miała w pokoju tę francuską książkę?

- Nie! Dlaczego miałabym to robić?

- No tak, oczywiście, że nie.

- Algie, co się dzieje? Co Vivaldi ma do tego?

- Nie wiem. Może nic.

- Nie zrobiłby jej krzywdy. Bardzo ją lubi.

Sharkey zbiegł na dół, zdyszany i czerwony.

- Nie odpowiada.

- Musimy się dostać do jego pokoju - powiedział Algernon. - Może pozostawił jakiś ślad. Czy masz klucz do jego pokoju, Cathy?

- Nie mogę pana wypuścić.

- To kwestia życia i śmierci. Daj mi klucz - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Wzięłam klucz i poszłam razem z nimi zobaczyć, czy nie zniszczy czegoś w pokoju Vivaldiego. Czułam się winna. Nie miałam pojęcia, jak się tłumaczyć, gdyby Vivaldi wrócił do domu i zastał nas grzebiących w jego rzeczach. W całej tej historii było coś nierzeczywistego.

- Czego szukamy? - spytałam, gdy Sharkey i Algie kręcili się po pokoju, zaglądając w kąty i wyciągając szuflady.

- Nie wiem - odpowiedział Algie niezbyt zachęcająco.

Zobaczyłam stos książek na biurku i wzięłam jedną do ręki. Moje palce natychmiast pokryły się kurzem. Całe biurko pokrywała warstwa kurzu. W ogóle go nie używał. Otworzyłam książkę i zobaczyłam pieczętkę antykwariatu. Wszystkie miały takie same pieczętki. Kupił używane książki, żeby uchodzić za naukowca. Pokazałam je Algernonowi.

- Wcale nie jest naukowcem, prawda? - spytałam.

- Może kiedyś był.
- A kim jest teraz? Co robi tu, na Wild Street?
- Śledzi Anne.

Sharkey zawołał przez ramię.

- Zobacz to, Algie.

Rzuciliśmy się oboje, żeby sprawdzić, co znalazł. Była to książeczka oszczędnościowa. Olbrzymie sumy pieniędzy, tysiące funtów, które wkładano i wyjmowano w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

- Więc to tak - powiedział ponuro Algernon. - On ją ma. Szukajcie dalej. Przyłapiemy go, kiedy wróci, i wytrząśniemy z niego prawdę.

Panowie dalej przeszukiwali biurko, otwierali listy i przeglądali. Nie wiedziałam, czego szukają, więc poszłam do sypialni. Zauważyłam, że nie sprawiała wrażenia zamieszkaney. Nie było niczego na toaletce, żadnego grzebienia ani szczotki. Podeszłam do komody i otworzyłam szufladę. Była zupełnie pusta, tak jak i pozostałe. Zajrzałam do szafy. Pusto. Ani śladu ubrań.

Zawołałam do gabinetu:

- Chodź tu, zobacz, Algie. Sądzę, że profesor Vivaldi już nie wróci.

Wbiegł do sypialni.

- Wszystko zabrał - powiedziałam. - Kiedy to zrobił? Nie wychodził z kufrem.

- Niewiele miał - powiedział Sharkey. - Zawsze nosił to samo ubranie.

- Musiał mieć chociaż jakąś bieliznę.

Nagle przypomniałam sobie paczkę z książkami. Powiedziałam im o tym.

- Czy udało ci się dojrzeć adres? - spytał Algernon.  
- Nie było adresu. Powiedziałam to woźnicy, ale stwierdził, że wie, gdzie ją zawieźć, więc nie pytałam.

- Jak wyglądał ten woźnica? - spytał Algernon, a raczej warknął, taki był przejęty.

- Miał czapkę na oczach. Około czterdziestki, średniej budowy. Niczym się nie wyróżniał spośród tysiąca innych robotników.

- Czy zauważyła pani coś w wozie? - spytał Sharkey.

- Prawie nie patrzyłam. Zauważyłam tylko, że był już niezłe załadowany. Znajdowały się tam wielkie kartony. Coś było na nich napisane.

- Co? Jakie słowa?

- Nie słowa. Tylko litery i chyba cyfry. Nie pamiętam, niestety.

- A czy te litery to mogło być A-D-L? - spytał Sharkey.

- Tak! Oczywiście! Skąd pan wie?

- Już je widziałem - uśmiechnął się chytrze, po czym powiedział do Algie'ego: - Oznaczają Adele D. Lalonde. Tak jest oznaczany towar dla jej sklepu. Szmuglowany jedwab przesyłają z Kentu, a ona go odbiera w dokach. Vivaldi użył tego wozu, żeby zabrać swoje rzeczy.

- Dziwne. To z pewnością nie jest przypadek - powiedziałam.

Mężczyźni zapomnieli już o mojej obecności.

- Algie, co się dzieje? Czy pani Clarke jest w niebezpieczeństwie?

- Może już być nawet martwa - odparł ponuro.
- Chodź, Sharkey. Będą potrzebne twoje umiejętności, żeby się dostać do sklepu.

Wypadli z mieszkania. Słyszałam, jak biegną po schodach, gdy gasiłam świece i zamykałam pokój. Pani Clarke została porwana. *Jej* życie jest w niebezpieczeństwie. Algernon i Sharkey prawdopodobnie jadają ratować. Ale dlaczego miałby ktoś porywać nieszkodliwą młodą wdowę?



## Rozdział 14

Zeszłam na dół przerażona i zastałam pannę Thackery bardzo zaniepokojoną.

- Co się dzieje, Catherine? - spytała ostro. Jestem dla niej Catherine tylko w szczególnie dramatycznych okolicznościach lub gdy jestem w niełasce.  
- Sharkey i pan Alger galopują po domu jak wariaci, ty zostawiasz nie dojeżdżoną kolację.

Coś w mojej twarzy jej powiedziało, że sprawa jest znacznie ważniejsza niż dobre maniery.

- Co to ma znaczyć? Co się dzieje? - spytała.

Wciągnęłam ją do jadalni i zamknęłam drzwi.

- Pani Clarke zaginęła - powiedziałam. - Nie wróciła z pracy. Algie sędzi, że profesor Vivaldi ją porwał. Vivaldi zabrał wszystko ze swego mieszkania i uciekł.

- O Boże! - powiedziała, łapiąc się za serce.  
- Porwał tę miłą panią Clarke! Jesteś pewna, że to nie pan Butler? Może potajemny ślub?

- Wciąż myślisz kategoriami z dobrego towarzystwa. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyszła za Butlera, jeśli chciała. To jest Wild Street. Została uprowadzona.

Powiedziałam tyle, ile wiedziałam, a kiedy już to przetrzymała, zaczęłyśmy się zastanawiać.

- Dlaczego Vivaldi miałby zrobić coś takiego? Nigdy nie zachowywał się jak satyr. Sądzisz, że robi jej krzywdę? Wiesz, co mam na myśli... zgwałci? - Ostatnie słowo wzbudziło dreszcz *grozy*.

- Algie uważa, że ona może już być martwa - powiedziała i poczułam się nie tylko zmartwiona, ale i winna, że podejrzewałam tę kobietę.

Nie uważałam już, że jest kochanką Algernona. Cokolwiek ich łączyło, nie było to nic takiego. Nie dlatego Sharkey ją śledził. Miał zapobiec porwaniu jej. A sklep mademoiselle Lalonde odgrywał tu jakąś rolę.

Wypiłyśmy po kieliszku wina dla uspokojenia nerwów, gdy omawiałyśmy tę sprawę. Podzieliłam się z panną Thackery swymi podejrzeniami, pomijając sprawę ewentualnego romansu między piękną wdową a Algernonem. Staraliśmy się znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, ale nic nam się nie układało. Nie miała pieniędzy, a więc nie było to porwanie dla okupu. Co takiego mogła robić młoda wdowa, co zagrażałoby jej życiu? Syn był dla niej całym światem, więc nie narażałaby się lekkomyślnie.

- Tak sobie myślę - powiedziała panna Thackery - że ten sklep, w którym pracuje, chyba należy do Francuzów, co? Ta kobieta nazywa się mademoiselle Lalonde. Czy to może mieć coś wspólnego ze szpiegostwem? Piszą w gazetach, że Londyn pełen jest francuskich szpiegów. Mógł ją skłonić do tego fakt, że jej mąż został zabity przez Francuzów. Rodzaj zemsty. Ale pani Clarke nawet nie mówi po francusku. Nie wiem, jak mogłaby się czegoś dowiedzieć. Chyba że kradła listy albo coś w tym rodzaju.

Pomyślałam o francuskiej powieści przy jej łóżku, o tym, że kiedy się pierwszy raz widziałyśmy, twierdziła stanowczo, że nie zna francuskiego.

- Myślę, że mówi, a przynajmniej czyta po francusku - powiedziałam i wyjaśniłam wszystko pannie Thackery.

- Nie mówiłaś mi o tym, Cathy.

- Nie wydawało mi się to ważne.

- I Algernon jest w to zamieszany, prawda? Dziwi mnie, że tak narażał tę biedną dziewczynę.

- Nie osądzajmy go zbyt ostro, dopóki nie znamy wszystkich faktów.

Przynajmniej tego mnie nauczyły ostatnie wydarzenia.

Panna Thackery zauważyła, że Wild Street jest zbyt wulgarna dla takich naiwniaczek jak my i musimy natychmiast usunąć się stąd do hotelu.

- Ale może zdołamy jakoś pomóc - zaproponowałam. - Ja zostaję, jeżeli...

- To o ciebie mi chodziło, Cathy. Nic nie zaszkodzi takiej starej kobiecie jak ja.

Skończyłyśmy wino i poszłyśmy do salonu czekać na wiadomość. Wydawało nam się, że minęło wiele czasu, nim wrócili Algernon z Sharkeyem - sami. Podbiegłam do drzwi spytać, czy ją znaleźli. Sądząc po ponurych twarzach bałam się, że znaleźli jej ciało, ale nie było aż tak źle.

- W sklepie nie zastaliśmy nikogo. Sharkey otworzył tylne drzwi - wyjaśnił oględnie Algie. Przypuszczam, że dostanie się do zamkniętego pomieszczenia nie było dla Sharkeya niczym nowym. - Nie było kapelusza ani płaszcza Anne, ale zostawiła torebkę, więc z pewnością była tam.

Sharkey trzymał czarną lakierowaną torebkę. Gdy nam ją pokazywał, rozległ się okrzyk panny Lemon, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

- To jej torebka! - Podbiegła do nich. - Panie Alger, znalazł ją pan?

- Jeszcze nie, panno Lemon - powiedział cicho - ale nie spoczniemy, nim ją odnajdę.

- Nie żyje! Wiem to! Och, mówiłam, żeby tego nie robiła! To zbyt niebezpieczne!

Algie pospieszył do niej i rozmawiali cicho. Zrozumiałam, że panna Lemon doskonale wiedziała, co zamierza jej pani. Algernon chyba ją zatrudnił, aby pomagała pilnować pani Clarke. Rozmawiali chwilę, a następnie przejrzeni jej torebkę w poszukiwaniu jakichś śladów, ale nic nie znaleźli. Panna Lemon wróciła na górę do Jamie'ego, zabierając znaną torebkę.

Algie zwrócił się do mnie:

- Vivaldi oczywiście nie wrócił?

- Nie i nie wróci. Algie, czy nie masz pojęcia, gdzie ona może być?

Popatrzył na pannę Thackery i na mnie, jakby zastanawiając się, czy można nam zaufać.

- Wiemy, o co chodzi - powiedziałam. - Sklep panny Lalonde był skrzynką kontaktową szpiegów francuskich, a pani Clarke ich śledziła.

- A więc domyśliłyście się. No cóż, to prawda. Anne nie przyznała im się, że mówi po francusku. Sądzili, że nic nie rozumie, więc czasami omawiali przy niej swe sprawy. Zorientowała się, że są szpiegami, i przyszła do władz zaoferować swoje usługi. Chcieliśmy, żeby zrezygnowała z tej pracy. Posłalibyśmy kogoś starszego i bardziej doświadczonego. Nie chciała o tym słyszeć. Pomogła nam w kilku sprawach.

- Czy mówili kiedykolwiek o jakimś innym miejscu, jakimś domu czy czymś takim, dokąd mogliby ją zabrać?

- Była tylko mademoiselle, a właściwie madame Lalonde i jej mąż Alfonse Lalonde. W każdym razie uchodzili za małżeństwo. On dostarczał towar, zajmował się rachunkami i tak dalej. Madame Lalonde projektowała i robiła przymiarki, Anne pomagała szyć. Mieszkali nad sklepem. Teraz tam też już jest pusto.

- Więc nie masz pojęcia, gdzie mogłaby być?

- W tej chwili nie, ale nie zrezygnujemy z poszukiwań. Znam kilka kawiarni, gdzie wysiadują

żabojady. Sharkey mi pomagał. Jest jeden klub, do którego Alfonse chodzi regularnie. Może tam być, a jeśli nie, Sharkey skieruje nas do kilku jego przyjaciół. Wezmę ich na przesłuchanie.

- A dlaczego porwali ją właśnie teraz, skoro spędziła tam sześć miesięcy nie wzbudzając podejrzeń?

- Anne przypuszczała, że zaczynają ją podejrzewać. Ostatnia informacja, jaką mi przyniosła, była fałszywa. Chyba ją wypróbowywali. Alfonse miał się spotkać z informatorem w Hyde Parku o jedenastej wieczorem. Wiemy, że jest nim jakiś angielski zdrajca ze straży konnej. Chcemy się oczywiście dowiedzieć, kto to. Poszedłem zobaczyć, ale informator się nie pojawił. Nie sądzę, żeby Alfonse mnie widział, ale mogli mieć jeszcze kogoś innego. Gdyby mnie rozpoznano, wiadomo byłoby, że wiadomość przekazała Anne. Była pewna, że nie wiedzieli, iż mówi po francusku, ale może Vivaldi jakoś na to wpadł. Dlatego się tu wprowadził, żeby ją obserwować.

- Może zobaczył tę francuską książkę, kiedy poszedł zanieść żołnierzyki dla Jamie'ego.

- Była trochę nieostrożna z tymi książkami, ale tak niewiele osób do niej przychodziło, że nie miało to większego znaczenia. Jeśli Vivaldi tam był, to coś zwęszył.

- Szkoda, że nie udało ci się jej przekonać, żeby zrezygnowała, kiedy zaczęli ją podejrzewać.

- Ja też żałuję, ale się uparła. Mówiłem, że gdyby się kiedykolwiek coś takiego zdarzyło, musi im

powiedzieć, żeby skontaktowali się z lordem Dolmanem, który zapłaci dobry okup za jej uwolnienie. Ma udawać krewną. Wątpię, żeby ją zabili, nie próbując dostać pieniędzy. Ojciec mnie zawiadomi od razu, jeśli coś nadejdzie.

- Czy naprawdę zapłaci za jej bezpieczeństwo?  
- zapytałam Algera.

- Rząd ma pewne fundusze na takie przypadki, ale ma to być przynęta, aby złapać szpiegów.

- Algernon wstał i powiedział: - Musimy iść. Przyszedłem tylko powiadomić pannę Lemon, co się szykuje. Jeśli panie chcą pomóc, proszę iść do niej na górę. Trudno jej być samej teraz.

- Tak, oczywiście, zajmiemy się panną Lemon.

Uśmiechnął się tak smutno, że marzyłam, abyśmy byli sami. Był taki czuły, kochający.

- Uważaj na siebie, Algie - poprosiłam.

- Będziemy w kontakcie. Pewnie mnie przeklinasz, że namawiałem cię do pozostania tutaj. Ale mieliśmy wszystko tak świetnie zorganizowane. Sharkey i ja mogliśmy pilnować pani Clarke, a Butler był pod ręką, chociaż nie miał pojęcia, co się tu dzieje. Żal było to przerwać. Nie wiedzieliśmy tylko, że Vivaldi jest kółkiem w tej maszynie. Pojawił się miesiąc temu, od czasu, gdy zaczęli ją podejrzewać.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby był Francuzem - odezwał się Sharkey. - Udaje Włocha, żeby usprawiedliwić swój dziwny akcent.

- Pewnie masz rację - potwierdził Algernon. Spojrzał na zegarek i wyszli.

- Cóż za straszna sprawa - powiedziała panna Thackery. - Pójdę teraz na górę do panny Lemon. Musi być bardzo przejęta. Czy pójdziesz ze mną, Cathy?

- Przyjdę niedługo. Chcę posiedzieć chwilę spokojnie i pomyśleć, czy nie przypomnę sobie czegoś, może Vivaldi coś powiedział, nie wiem...

Oczywiście trudno było myśleć racjonalnie. Widziałam Anne ze wstrętnymi żabojadami, którzy nie zamierzali cackać się z angielskim szpiegiem. Biedny Jamie, nie tylko bez ojca, ale i bez matki. Jakaż ona była dzielna! Wyglądała na najdelikatniejszą dziewczynę w Anglii, a było w niej serce lwicy. Algie ostrzegał ją, że może być w niebezpieczeństwie, ale ona nie przerwała działalności, skoro miała nadzieję odpłacenia wrogom za śmierć męża. Jak go musiała kochać!

Niedługo byłam sama. Po pięciu minutach przyszedł pan Butler, bardzo zmartwiony.

- Pani Clarke jeszcze nie wróciła z pracy. Czy miała pani jakąś wiadomość od niej? Może pracuje po godzinach? Czasami to robi. Może powinienem pójść po nią do sklepu. To znaczy... - Przerwał, patrząc na mnie. - Coś jej się stało - powiedział słabo. Zbladł.

Wkrótce i tak będzie musiał poznać całą prawdę. Był jej najbliższym przyjacielem. Może mógł coś wiedzieć?

Najdelikatniej, jak mogłam, opowiedziałam mu, że pani Clarke znikła, najprawdopodobniej wprowadzona przez mademoiselle Lalonde i profesora Vivaldiego.



- Ten obleśny staruch! Widziałem, jak się na nią gapił, kiedy przyniósł Jamie'emu żołnierzki!

- Chyba nie o to chodziło. Sprawa ma związek z Francuzami w sklepie...

Siedział drżąc, niezdolny wykrztusić coś z siebie. W końcu powiedział:

- Zawsze wiedziałem, że kryje jakąś tajemnicę. Na przykład z tym francuskim. Ma Biblię po francusku i widziałem kiedyś, jak ją czytała. Mówiła, że nie chce publicznie używać francuskiego, bo Francuzi zabili jej męża. Dlaczego mi nie powiedziała, co robi? Żeby się tak narażać!

- Czy przypomina pan sobie coś, co mówiła, a co mogłoby nam pomóc? Czy wymieniała jakieś nazwiska ludzi przychodzących do sklepu?

- Szyła kiedyś suknię dla Caro Lamb.

- Nie tylko klientki, ale i inne osoby. Francuzi - dodałam wyraźniej.

- Nigdy wiele nie mówiła o pracy. Przeważnie o mężu i o Jamie'em. Ale ostatnio jakby trochę doszła do siebie. Kiedy wywiesiła pani ogłoszenie o sprzedaży domu, umówiliśmy się, że przeprowadzimy się razem. Miałem nadzieję, że może zostaniemy małżeństwem. Już ją prawie do tego namówiłem. Pozwoliła nazywać się Anne. Znaleźliśmy ładne mieszkanie na Tavistock Street. Zbyt drogie jak na jedno z nas, ale gdybyśmy zamieszkali razem... Nie przyjęła jeszcze propozycji małżeństwa, ale nie powiedziała nie.

- I nie przychodzi panu do głowy nic, co mogłoby pomóc ją odnaleźć?

- Nie, ale znajdę ją, do diabła, choćbym miał przeszukać Londyn, kamień po kamieniu!

Starając się go uspokoić, opowiedziałam o planach Algernona i oświadczyłam, że na pewno będzie mógł jakoś pomóc, ale dla jej dobra musi być spokojny. Nalałam mu kieliszek wina i siedziałam z nim, czekając na powrót Algernona.

## Rozdział 15

Nie mam wątpliwości, że salon na Wild Street widział już różne rzeczy, ale chyba najdziwniejsze działy się owego wieczoru.

Właśnie przekonałam Butlera, że musijeść, aby mieć siły, i posłałam go do jadalni, żeby spróbował trochę kurczaka, kiedy wrócił Algernon, sam, niezwykle podniecony.

Zajrzał do salonu sprawdzić, czy jestem sama, i zawołał:

- Mam żądanie okupu! - Wyciągnął rękę, żeby mi pokazać. - Wpadłem do ojca, żeby mu powiedzieć, co się stało. Właśnie dostał tę kartkę.

Był to kawałek taniego białego papieru.

- To pismo Vivaldiego - powiedział Algernon. - Widziałem na twojej tablicy ogłoszeń.

Notatka była krótka i rzeczowa.

*Pięć tysięcy funtów w złotych monetach. Macie czas do jutra w południe. Szczegóły wymiany dostarczymy. Jeśli chcecie widzieć panią Clarke żywą, nie zawiadamiajcie policji.*

Skąd możemy wiedzieć, że jeszcze żyje? - spytałam.

Wręczył mi drugi liścik, napisany na skrawku dzisiejszej gazety, z datą, jako dowód autentyczności listu. Otworzyłam złożony skrawek papieru i wypadł z niego kosmyk włosów Anne. Na widok tego blond loczka ścisnęło mi się serce. Notatka pisana była drżącą ręką:

*Algernon: żyję i mam się dobrze. Zróbcie, co każą, i zajmij się Jamie'em.*

Jesteś pewien, że to jej pismo? - spytałam.

- Chyba tak. Nie sądzę, żeby mieli ją zabić, jeśli żywa jest warta pięć tysięcy funtów.

Znów popatrzyłam na jasny loczek.

- Niech Butler tego nie zobaczy. Dlaczego obcięli jej włosy?

- Na dowód, że ją mają. Poza tym chcieli nas zastraszyć. Jeśli mogą ściąć włosy, mogą i głowę - powiedział ponuro.

- Och, musimy ją ratować! Pięć tysięcy funtów! Czy możesz zdobyć te pieniądze do jutra w południe?

- Ojciec to załatwia. Oczywiście, spróbuję ją wcześniej uwolnić, w miarę możliwości nie nabijając im kiesy. Sharkey nie wrócił?

- Jeszcze nie.
- Widocznie ma kłopoty. Powinien był wrócić przede mną. Ta knajpka, gdzie chodzą Francuzi, jest niedaleko stąd.

Mieliśmy niewiele czasu na rozmowę. Rozmawialiśmy tylko o tym, jak uratować Anne. Algernon opowiedział, jak przeszukali z Sharkeyem sklep i mieszkanie nad nim, ale nie znaleźli niczego, co mogłoby ich naprowadzić na ślad.

- Nie zabierali mebli, więc trudno było znaleźć kogoś, kto zauważyłby, dokąd pojechał ten wóz - wyjaśniał. - Sklep Lalonde'a był niczym więcej, jak punktem kontaktowym. Paczki, które widziałas na wozie, nie dotarły do tego sklepu, tylko gdzie indziej. Przypuszczamy z ojcem, że mają całą ich sieć w mieście. Lalonde'owie to pŁotki, dowodzi tym wszystkim ktoś inny. Cała sprawa była od dawna zaplanowana.

- Zastanawiam się, kim może być ten człowiek.

- Tego nie wiemy na pewno. Wiemy natomiast, bo papa to sprawdził, że nigdy nie było w Oksfordzie żadnego profesora Vivaldiego. Wymyślił go sobie. Jest wykształconym człowiekiem. Grałem z nim dwa razy w szachy i muszę powiedzieć, że to nieprzeciętny umysł. Jestem uważany za dość dobrego szachistę, ale przy nim nie miałem szans. Mówił, że należy do klubu szachowego. Sądzymy, że mógł tam się spotykać ze swym informatorem. Śledzą teraz niejakiego Clarence'a Makepiece'a. Nie zatrzymali go jeszcze, ale z pewnością niedługo będzie ostro przesłuchiwany.

- Vivaldiego nie było całymi dniami - powiedziałam. - Chodził pewnie po swoich podwładnych, zbierał informacje i kombinował przeciwko nam.

- Tak sędzę. To szansa, żeby go złapać - powiedział ze smutnym uśmiechem.

Drzwi się otwarły i wszedł Sharkey.

- Ani śladu nikogo - oświadczył. - U Milkinsa prawie pusto. Milkins powiedział, że dzisiaj nie było żadnego żabojada. Dostali cynk, żeby zniknąć.

Algernon wymamrotał pod nosem parę przekleństw i w bezsilności trzasnął pięścią w moje biurko.

Sharkey powiedział zgorszony.

- Cii, Algie. Tu jest dama. - Zaszczycił mnie swym krokodylim uśmiechem, nim zwrócił się do Algernona: - Nie trać nadziei. Nadałem sprawę paru łebskim chłopakom. Każdy kombinator, ulicznik, notowany, alfons, rajfura w okolicy skuszą się na nagrodę. Musiałem zaoferować nagrodę - dodał uprzedzając ewentualne zarzuty. - Mam nadzieję, że stać cię na dziesięć gwinei. Każdy, kto coś widział, ma się tu do mnie natychmiast zgłosić.

- Jeszcze nie tak drogo - zgodził się Algernon.

- A co to są notowani i kombinatorzy? - spytałam, oszołomiona.

- Różni podejrzani ludzie - wyjaśnił oględnie Algernon.

Nie musiałam już pytać, kto to jest rajfura. Powiedziałam słabo:

- Ale dlaczego ci... ludzie mają przychodzić tu, do mojego domu?

- Powiedziałem im, żeby uważali, jak się wyrażają, i przyzwoicie się zachowywali, bo tu jest dama - obiecał szybko Sharkey.

- Oczywiście, proszę bardzo, jeśli pomogą odnaleźć Anne, ale czy nie mają nic wspólnego z Francuzami?

- Jasne, że nie! Najlepsi patrioci, przy tym więcej wiedzą, co się dzieje w Londynie, niż wszystkie gazety i politycy razem wzięci - powiedział Sharkey. Spędzają dni i noce na ulicach i mają oczy i uszy otwarte. Muszą być czujni, żeby przeżyć. Jak ktoś zostawi pusty dom, na pewno o tym wiedzą. Pusty dom to miejsce, gdzie się można nocą przespać, a poza tym zwinąć parę fantów. Założę się, że sklep tej Lalonde jest już obrobiony do czysta z każdej wstążeczki i każdego guzika. Na pewno paru chłopaków tam śpi, dopóki nie wprowadzą się nowi lokatorzy.

- Przecież pan już sprawdzał sklep Lalonde'ów.

- To był tylko taki przykład - powiedział Sharkey.

- Ale jak złapać kupę łebskich chłopaków, to będą wiedzieli nie tylko, że ktoś wyjechał, ale i dokąd. O to nam chodzi.

- Rozumiem - powiedziałam.

- No i kolesie od szkap - dodał.

- Złodzieje koni - wyjaśnił Algernon.

- Znają każdego konia w Londynie, każdego woźnicę i dorożkarza. Mamy swojego człowieka wśród nich, Jocka. Lalonde'owie nie mieli gabloty, więc musieli wynająć jakąś dwukółkę, żeby przewieźć panią Clarke. No i Vivaldi. Nie rozpląnął się w po-

wietrze. Jeden do dziesięciu, że pojechał dorożką do miejsca, gdzie się ukrywa. Nadałem to Jockowi, jako bardzo pilne.

- Dobra robota - pochwalił Algernon.

Wkrótce potem zadzwieczała kołatka. Sharkey zerknął przez firankę.

- To chyba westalka z teatrów Drury Lane, zwana Kostropatą Meg.

Była to pospolita rajfura. Swe nieeleganckie przezwisko zawdzięczała zarówno swej cerze, noszącej ślady po ospie, jak i plamom na sukni, nie pranej chyba od kilku miesięcy. Meg okazała się masywna i wesoła. Jej wiek trudny był do określenia: albo wcześniej postarzała trzydziestolatka, albo młodo wyglądająca czterdziestolatka. Jedyne ślady szarości na jej miedzianych włosach stanowił kurz.

- Sharkey, kotku - powiedziała, przymilając się do niego i jednocześnie zerkając niepewnie w moją stronę czarnymi błyszczącymi oczkami. - Słyszałam, że jest tu coś dla każdego śmiertelnika, który widział tego faceta, co nazywa siebie profesorem Vivaldi.

- Dla każdego, kto go wskaże - sprostował Sharkey. - Zniknął.

- Rzuć mi dyszkę, to może coś ci będę mogła ciekawego powiedzieć.

Sharkey dał jej dwa pensy, które schowała za dekolt. Spojrzała tęsknie na wino. Nalałam jej kieliszek i zaproponowałam, żeby siadła.

- Bardzo dziękuję, kochana. - Uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać.

- To był dziwny typ, ten profesor. Wiedziałam,



że coś kręci. Na przykład wychodził z tego domu codziennie rano i szedł Keane Street aż do Aldwych. Adwokat, myślałam sobie, idzie do sądu. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego przyzwoity dżentelmen tu mieszka, więc któregoś dnia poszłam za nim kombinując, że może coś z tego będę miała. Może ucieka przed żoną albo wierzycielami, myślałam. - Łyknęła wina i otarła usta wierzchem dłoni. - No więc, proszę pana, on wskakiwał do dorożki i jechał w przeciwnym kierunku, na zachód, Strandem. Zaciekawilo mnie to, że idzie w jednym kierunku, a potem jedzie w drugim, więc poszłam za nim parę razy. Zawsze tak samo. On coś kręci, tak sobie pomyślałam, no nie?

- Czy widywał kogoś? - spytał Algernon.

- Nikoguśko. Z nikim się nie zadawał. To nie taki, co by zaczął dziewczynę. Poszłam wieczorem o szóstej w to samo miejsce, gdzie rano wsiadał, i proszę bardzo, przyjeżdża i znów wraca pieszo tą samą pokręconą drogą. Rozumie pan coś z tego, co?

- Mogłabyś opisać ten powóz? - spytał Sharkey.

- Przyzwoity, ale nic ozdobnego. Po prostu czarny. Ze stangretem, ale bez lokaja. Para gniadoszy.

- Przyślij tu Jocka, jak go zobaczysz - powiedział Sharkey. - Puść wiadomość do ludzi.

Meg skończyła wino, a Algernon wręczył jej monetę, co przywołało radosny uśmiech na jej twarz.

- Och, bardzo dziękuję - powiedziała i dołożyła ją do dwupensówki. - Z powrotem na ulicę - powie-

działa, poklepała się z zadowoleniem po biuście i wyszła.

- Co o tym sądzicie? - spytał Algernon, gdy poszła.

- Jocko może coś wiedzieć o gablocie i szkapach - powiedział Sharkey.

- Czy ona pracuje w dzień i w nocy? - spytałam bez zastanowienia. - Myślałam, że w jej... profesji pracuje się w nocy, a ona jest na ulicy i w dzień.

- Kostropata Meg bierze się za wszystko - wyjaśnił Sharkey. — Nie ma specjalizacji. Jest artystką w podkradaniu drobiazgów ze sklepów, zimą nawet odgarnia śnieg, jak jej interes słabo idzie, czasem zdejmie pranie ze sznura - tłumaczył cierpliwie.

- Jest bardzo... wszechstronna - powiedziałam, usiłując jej nie potępić.

- Tak - uśmiechnął się Algernon. - Mam nadzieję, że nie byłaś zbyt przywiązana do tej porcelanowej miseczki, która stała na biurku.

Spojrzałam w tę stronę i zobaczyłam, że naczynie z miętówkami panny Thackery znikło.

- Zabrała nawet miętówki!

- Policz swoje palce, Algie - powiedział Sharkey i zaśmiał się ze sztuczki Meg. - Mówiłem jej, żeby się odpowiednio zachowywała. Odzyskam to naczynie, panno Irving.

- Nie trzeba. Jej się bardziej przyda niż mnie.

Naszymi następnymi gośćmi byli włamywacze zwani Cichy Sam i Głośny Ned. Pracowali w parze. Głośny Ned padał przed jakimś domem, udając konwulsje. Nadchodził Cichy Sam, udając lekarza,

aby dostać się do domu. Posyłał służbę po wino albo jakieś medykamenty i kradł drobne kosztowności, kiedy byli sami. Czekali z tym przedstawieniem, aż państwo wyjdą, bo służba była bardziej łatwowierna. Zresztą na pierwszy rzut oka Sam i Ned wyglądali na porządnych dżentelmenów.

- Mówią, że interesujecie się tym lokalem Lalonde - powiedział Ned. Sam rzeczywiście był cichy. Właściwie nic, od niego nie usłyszeliśmy. - Ja i Sam złożyliśmy tam wizytę tak koło drugiej, jak już od godziny nikogo nie było. Uczciwy Eddie ulokował się tam na noc. Gra w karty z jakimiś nadzianymi tłumokami ze wsi.

- Co tam znaleźliście? - spytał Sharkey.

Sam, chociaż milczący, znalazł sposób komunikowania się. Uniósł prawą dłoń i potarł kciuk o palce dając do zrozumienia, że chodzi o zapłatę.

- Najpierw posłuchamy, co macie do powiedzenia - zastrzegł Sharkey.

Ned wyciągnął z kieszeni listę i zaczął czytać:

*Łokieć muślinu, kolor żółty.*

*Pół łokcia j.w., kolor różowy.*

*Zwój zielonego jedwabiu, wystarczy na szal.*

*Cztery metry atlasowej wstążki.*

Sharkey machnął ręką, żeby się uspokoił.

- Nie chcemy tu spisu, Ned. Czy były jakieś mapy, listy, adresy?

- Nic. Czyściutko. Znikły książki rachunkowe,

pieniądze, biurko opróżnione. Zwinęli się. Nie ma co nawet opieczętować.

- Tego nie warto było słuchać - podsumował Sharkey. - Ale macie tu coś za fatygę. Jak zobaczycie Jocka, przyslijcie go. - Podał Nedowi kilka drobnych monet.

Ponieważ Sharkey zapłacił, nie wahałam się poprosić Sama, żeby oddał fotografię w srebrnej ramce, przedstawiającą nieżyjącego męża ciotki, którą wziął z biurka, gdy Ned nas zabawiał. Wyciągnął ją z kieszeni z krzywym uśmiechem.

- Skąd się to tutaj wzięło? - powiedział. Były to jedyne jego słowa, jakie usłyszeliśmy w czasie całej wizyty.

Dopiero później zauważyłam, że któreś z nich, albo on, albo Kostropata Meg, wyniosło srebrny kałamarnic.

- Jak mogli go ukraść? Był przecież pełen atramentu! - wykrzyknęłam.

Sharkey wskazał na stojący na biurku kieliszek, w którym zostawiłam resztkę wina. Był teraz pełen ciemnoniebieskiego płynu.

- Ci ludzie się marnują. Powinni występować jako sztukmistrze. Niestety, nie mogę przynieść nowej butelki wina - powiedziałam patrząc wymownie na Sharkeya. - Znikło z piwnicy w jakiś tajemniczy sposób.

- W piwnicy są szczury - odpowiedział.

- I umieją wyciągnąć korek?

Przerwał nam inny gość, który zajmował się podrabianiem dokumentów, ale nie zrobił tego ani

dla Vivaldiego, ani dla innych. Zaproponował mi dokumenty francuskiej hrabianki za dwie gwinee albo włoskiej księżnej za trzy. Odmówiłam.

- Właściwie, chyba i racja. Nie wygląda pani na cudzoziemkę. Z taką twarzą jak angielski pudding. Jakby pani chciała sobie odjąć z dziesięć lat, wyszykuję pani błyskawicznie nową metrykę. Każdy sędzia się na to nabierze.

- Ale czy jakiś dżentelmen? - spytał Sharkey i roześmiał się wesoło. - Żartuję, panno Irving. Jest pani młodziutka jak jagnię na wiosnę.

- Dziękuję, może skorzystam z pańskiej oferty, jak się stanę owcą.

- To jeszcze co najmniej pięć lat - pocieszył mnie Sharkey.

Myślałam, że po wizycie fałszerza dom nie doznał żadnego uszczerbku, dopóki nie wyszłam do holu, żeby otworzyć następnemu gościowi. Znikły parasole. Na początku wieczoru w dużym, biało-niebieskim wazonie stały trzy parasole. Schowałam wazon, zdjęłam obraz ze ściany i uznałam, że jeśli ktoś będzie miał ochotę na wyliniały chodniczek, to proszę bardzo.

Otworzyłam drzwi i wpadła przez nie osoba, którą w pierwszej chwili wzięłam za chłopca. Przyjrzawszy się bliżej zobaczyłam, że to niezwykle drobny mężczyzna o pomarszczonej twarzy, z nielicznymi zębami, a kiedy zdjął kapelusz, okazało się, że wcale nie ma włosów. Te nieliczne, które przedtem było widać, okazały się przyczepione jakimś cudem do kapelusza.

- Słyszałem, że Shark mnie szuka - powiedział z bezzębnym uśmiechem.

- A kim pan jest?

- Jocko, panienko. Po prostu Jocko. On będzie wiedział.

- Jocko! - schwyciłam go radośnie za klapy.

- Niech pan wejdzie. Czekaliśmy na pana.

Odsunął moje ręce i przygłodził wilgotne klapy. Zauważyłam, że palce wychodzą mu z rękawiczek. Były to niegdyś rękawiczki bardzo dobrego gatunku, dwa numery za duże na Jocka.

- Proszę tędy - powiedziałam.

Obrzucił spojrzeniem pusty hol i ruszył za mną.

## Rozdział 16

Sharkey popędził do holu na spotkanie Jocka.

- Zuch chłopak! Długo trwało, nim tu dotarłeś!

- Z największym wstydem muszę przyznać, że dotarłem tu per pedes. Ja! Najlepszy złodziej koni w kraju! Uwierzyłyś? - Wślizgnął się do salonu. - To niezwykły dzień, żeby nogi Jocka dotykały bruku. Co się stało? Chłopaki urządziły karcięta z parą ćwoków ze wsi. Miałem ich uwolnić od szkap, a kapitan Sharp od pieniędzy. Okazało się, że to cwaniaczki. Przyjechali wynajętą dorożką, przywieźli własne karty i wino, a w kieszeniach mieli broń. Grali w opuszczonym sklepie Lalonde'ów. Właśnie szedłem powiedzieć Krostropatej Meg. Może chce z nimi spróbować. Chyba nie przywieźli własnych panienek.

- Dowie się. To jest ważniejsze.

Usadził Jocka w wygodnym fotelu. Ja przyniosłam kieliszek i pozostałą odrobinę wina.

Jocko popatrzył na karafkę z obrzydzeniem i spytał.

- Miałyby pani przypadkiem kropelkę brandy?

- Niestety, nie - odpowiedziałam.

- Dolna półka w kredensie, po lewej, za filizankami - poinformował mnie Sharkey. - Zaopatrywałam pani ciotkę - wyjaśnił, widząc moje zdumienie.

Przyniosłam brandy. Nim zdążyłam nalać, Jocko wziął butelkę i napełnił sobie duży kieliszek od wina.

- Nektar bogów! - wyszczerzył się w bezzębny uśmiechu i wypił. - Jaki to dziwny naród, co je żaby, a taki ma dobry gust w napojach. Więc czym ci mogę służyć, Sharkey?

- Gość nazwiskiem Vivaldi wychodził co rano z tego domu i wsiadał do powozu gdzieś na skrzyżowaniu Aldwych i Drury Lane.

- A, taki zagranicznik, co się nazywał profesor?

- Zgadza się, Vivaldi.

- Zwykła czarna buda, przyzwoita para gniadoszy, oczywiście nie pełnej krwi, ale przyzwoite. Powóz jego własny, a konie wynajmowane ze stajni Bootersa na Eagle Street, koło Gray Inn. Co chcesz o nim wiedzieć?

- Zniknął. Chcemy go odnaleźć. Jeśli pan wie, dokąd jeździł tym powozem, ta wiadomość jest coś warta - powiedział Algernon.

- Mam powody przypuszczać, że jest komiwoja-



żerem. Nosi czarną walizeczkę, zatrzymuje się w sklepach z artykułami dla pań i zabawkami.

- Czy mógłby nam pan zrobić listę tych sklepów?  
- spytał Algernon z błyskiem w oku. To pewnie siatka szpiegowska Vivaldiego.

- Musiałbym przejechać tą trasą. Teraz nie powtórzę nazw, ale rozpoznam te sklepy. Specjalnie się nie interesowałem tym profesorem, bo jego człowiek nigdy nie zostawiał koni samych, ale widywałem ten powóz, jak robiłem swoje objazdy.

- Dobrze, jutro przejedziemy tą trasą, a na razie ciekawi nas, gdzie się teraz znajduje ta para gniazdoszy.

- To mogę powiedzieć - ucieszył się Jocko. - Są z powrotem w stajni Bootera. Byłem tam, bo sprzedawałem Booterowi pięknego damskiego wierzchowca, kiedy woźnica je przyprowadził po południu. Wynajął silniejszą czwórkę. Wyglądało, jakby planował jakiś wyjazd. Nie potrzeba czwórki na miasto.

- Ucieka do Francji, bo przejrzeliśmy jego grę - powiedział Sharkey do Algernona.

- Jakieś ciemne interesy, tak? - spytał Jocko bez większego zainteresowania, pociągając brandy.

- Czy słusznie przypuszczam, że interesuje was ten gość, a nie konie?

- O to chodzi - powiedział Sharkey. - Jeżeli najmuje konie, Booter musi mieć jego adres.

- Podał adres na Wild Street - powiedział Jocko z chytrym uśmiechem. - A tam go nie znajdziecie.

- Czy wiesz, gdzie on jest? Podaj swoją cenę!  
- włączył się Algernon.

Radosny uśmiech rozjaśnił twarz Jocka.

- Tak, proszę pana. Udało mi się podsłuchać, jak Booter pytał woźnicę, czy podoba mu się St. John's Wood. Zorientowałem się z rozmowy, że profesor jeździ tam na weekendy. Mam pewną przyjaciółkę... Ale to was nie interesuje. Starczy powiedzieć, że widywałem profesora jadącego w tamtą stronę, przeważnie w niedzielę, kiedy odwiedzam swoją Bessie.

Algernon błyskawicznie wstał z fotela.

- Czy orientuje się pan, gdzie w St. John's Wood?

- Tak, sir. Wiem, który to dom. Jak tylko ustalimy cenę. Powiedzmy... dwadzieścia gwinei?

- Dwadzieścia gwinei! - wykrzyknął Sharkey.

- Na głowę upadłeś! Dziesięć.

- Nie ma czasu na targowanie. Niech będzie dwadzieścia - powiedział Algernon i ściągnął Jocka z fotela.

- Przypadkowo usłyszałem, jak Booter go pytał, czy widział start balonów, który odbywa się w St. John's Wood. Gość odpowiedział, że w niedzielę oglądał przez okno. Musi więc to być pusty plac na rogu Abbey Road i Grove Road. Mogę panu pokazać ten dom. Ale jeśli mają być jakieś rękoćzyny czy strzelanina, to musi mnie pan wyłączyć z uczestnictwa - powiedział. - Zapewniam tylko informację, a nie siłę fizyczną... poza końmi.

- Zabierz Butlera, Algie - poradziłam. - Chętnie z tobą pojedzie.

- Przyda nam się jeszcze jeden mężczyzna. Nie wiemy, ilu ich tam jest - powiedział Sharkey.

- Dobrze. Powiedz, żeby się pospieszył.

Pobiegłam do jadalni, gdzie siedział Butler z Mary i rozmawiali o Anne. Mary miała mokre oczy, a Butler był bliski tego.

- Niech pan prędko przyjdzie. Chyba wiemy, gdzie jest Anne - powiedziałam.

Wpadł do salonu jak bomba.

- Czy macie broń? - spytałam.

- A czy psy mają pchły? - odpowiedział pytaniem Sharkey.

- Uważajcie, na miłość boską! - jęknęłam, ściskając rękę Algernona.

Było za mało czasu i za dużo ludzi na odpowiednie pożegnanie. Nagle odkryłam, że tyle chciałam mu powiedzieć. Przecież mogę go już nigdy nie zobaczyć. Chciałam przeprosić za nasze sprzeczki... i powiedzieć, że go kocham.

- Niech pani już nastawi wodę na herbatę - powiedział Sharkey. - Wrócimy w trymiga.

- Moja droga - powiedział Algernon, podnosząc moją rękę do ust. - Dziękuję... za wszystko.

Oczy mu błyszczały z przejęcia i mówiły wszystko to, czego nie mogły powiedzieć usta.

Kiedy wyjechali, poszłam na górę przekazać panie Lemon i pannie Thackery najnowsze wieści. Bardzo się ucieszyły, choć oczywiście prawdziwa ulga nastąpi, kiedy Anne będzie już w domu.

Wróciłam na dół, aby przyjąć ewentualnych gości, którzy mogli zechcieć znów mnie z czegoś ograbić.

Niby zawsze wiedziałam, że istnieją na tym świecie kieszonkowcy, włamywacze, złodzieje koni, pro-

stytutki, ale ponieważ nigdy nikogo takiego nie znałam, byli dla mnie jakąś fikcją. Teraz, gdy zetknęłam się z nimi osobiście, miałam dla nich więcej współczucia niż potępienia. Żyli z dnia na dzień, na ulicy, jak bezpańskie psy, robili to, co musieli, by przeżyć kolejny dzień.

Mimo to jednak bałam się być sama na dole, więc posłałam po Mullarda, żeby mi dotrzymał towarzystwa. Nim przyszedł, pojawiła się kolejna westalka z Drury Lane. Nazywała się Florie, zbyt młoda, żeby być na ulicy. Mogła mieć szesnaście lat i chyba jej wdzięki pozostały jeszcze nie tknięte.

- Przyszłam w sprawie apelu Sharkeya, panienko - powiedziała, dygając niezdarnie.

- Pan Sharkey wyszedł, ale jeżeli masz jakąś wiadomość, możesz ją mnie przekazać.

- Widziałam, jak on i Jocko wychodzili. Czekałam koło domu, zbierając się na odwagę, żeby wejść. Mówiąc gniotła nerwowo spódnicę. - Widziałam, jak zabierali modystkę, panienko. Zawinęli ją w koc. Myślałam, że może jest chora.

- Która to była godzina?

- Och, dawno temu. Żebym wiedziała, że coś nie w porządku, tobym przyszła wcześniej.

- Widziałaś, dokąd ją zabrali?

Łzy zaczęły płynąć po jej policzkach.

- Nie, proszę pani. Włożyli ją do powozu. Nie broniła się ani nic. To był czarny powóz. Chyba jej nie zabili, co? I jeszcze ma to małe dziecko...

- Nie, myślę, że wszystko będzie dobrze. Oni...

- postanowiłam zachować to dla siebie.

Popatrzyła na mnie wielkimi, niewinnymi oczami.

- Pojechali po nią? - spytała bystrze.

Podejrzewając podstęp powiedziałam:

- Nie. Pojechali w innych sprawach. Nie ma to nic wspólnego z panią Clarke.

Odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. Bo przysłałam pani powiedzieć, panienko, że jeden z ludzi, którzy wsadzali modystkę do powozu, obserwował ten dom patrząc, kto wchodzi i wychodzi. To był Alfonse. Kochanek madame Lalonde. Pojechał za powozem pana Algery, ale jeśli to nie ma nic wspólnego z modystką...

Czułam, jakby serce we mnie zamarło. Alfonse szpiegował mój dom! Pojechał za Algernonem, na pewno z pistoletem w kieszeni.

- Panienko, czy panienka dobrze się czuje? - spytała Florie.

Opanowałam rosnący strach.

- Dziękuję, Florie, dobrze. Masz tu coś za swoje starania. - Dałam jej gwineę.

- Och, dziękuję, panienko. Nigdy w życiu nie miałam całej gwinei.

Było to tak smutne, że zadrżałam mimo innych targających mną uczuć.

- Przyjdź tu jutro, Florie - powiedziałam.

Wyszła ściskając swą gwineę i dziękując dziesiątki razy. Pobiegłam w stronę kuchni, spotykając po drodze Mullarda, który szedł do mnie.

- Co się stało? - spytał widząc moją bladą twarz.

- Musimy szybko jechać za Algernonem i ostrzec go, że jest śledzony.

Mullard zupełnie nie wiedział, co się zdarzyło tego wieczoru, ale teraz nie było czasu, żeby mu tłumaczyć.

- Natychmiast szykuj powóz, Mullard. Opowiem ci wszystko po drodze.

Pobiegłam po kapelusz i płaszcz. Serce mi waliło i żołądek się ścisnął. Wiedziałam, że powinnam powiedzieć pannie Thackery, ale wiedziałam też, że nie zechce się zgodzić na mój wyjazd. Poprosiłam Mary, by powiedziała jej po moim wyjściu, że musiałam nagle wyjechać. Żałowałam z całego serca, że nie mam pistoletu. Nie trzymaliśmy broni w powozie. Zastanawialiśmy się nad tym przed moim wyjazdem z domu, ale papa uważał, że nie jest to konieczne ani rozsądne. Złapałam pogrzbacz i pobiegłam czekać przy drzwiach, bo nie mogłam usiedzieć spokojnie. Nawet sekunda mogła mieć znaczenie.

Czekanie przez kilka minut zdawało się wiecznością, ale w końcu powóz podjechał i wyskoczyłam w ciemność.

## Rozdział 17

Dokąd jedziemy, panienko? - spytał Mullard, przytrzymując mi drzwi powozu.

- St. John's Wood. Pospiesz się.

- A jak tam się jedzie?

Stanęłam jak wryta, z jedną nogą na stopniu powozu, drugą na ziemi.

- Nie wiem.

Nie pomyślałam o tym ani przez moment. Wiedziałam tylko, że Algeron jest w niebezpieczeństwie i muszę do niego jechać. Dla Mullarda i dla mnie St. John's Wood mogło być równie dobrze w Timbuktu, i tak nie mieliśmy pojęcia, jak tam można dojechać.

- Mapa - powiedział Mullard.

Studiowaliśmy ją przy świetle latarni powozu. Trwało to chyba ze sto lat, nim zlokalizowaliśmy St. John's Wood w górnym lewym rogu, prawie na skraju mapy.

- To bardzo daleko - powiedziałam tracąc nadzieję.

- Ale prosta droga - zauważył Mullard.

Obejrzeliśmy tę drogę dwa razy, aż nauczyliśmy się jej na pamięć. Gdy znaleźliśmy się na Oxford Street, wiedzieliśmy, co dalej. Najtrudniej było dostać się na Oxford Street. Na mapie kłębił się labirynt ulic, z których żadna nie znajdowała się tam, gdzie powinna, jak do niej dojeżdżaliśmy. Mullard musiał dwa razy się zatrzymywać i pytać o drogę i oba razy umierałam z niecierpliwości. Marzyłam, żeby mieć skrzydła i przefrunąć nad tym zatłoczonym labiryntem.

W końcu gdy dotarliśmy na Edgware Road, ruch był na tyle mały, że mogłam już sięść obok Mullarda i opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Nie powinna była pani jechać, panienko - powiedział Mullard, gdy już wszystkiego się dowiedział. - Ja bym pani nie zabrał, jakbym wiedział, co pani zamierza. Pojechałbym sam. Co pani tatuś powie, jak się dowie?

- Nie dowie się ode mnie, Mullard.

Wymieniliśmy konspiratorskie uśmiechy.

- Ani ode mnie, chyba że będę musiał opowiedzieć o pani śmierci. Ale tak nie będzie. Pani zostanie w powozie, a ja poszukam lorda Algernona, żeby go ostrzec.

- Jeżeli nie przybędziemy za późno. Nie dogonimy go tymi starymi, zmęczonym szkapami.

- Te szkapy są świeżutkie - powiedział, popędzając konie. Teraz, na otwartej drodze, mieliśmy już



niezłe tempo. - Może nie dojadą do domu, ale są szybkie na krótki dystans.

Ruch zmałał i drzewa były coraz gęstsze, gdy oddalaliśmy się od miasta. Jechaliśmy na przemian przez las lub oświecone gwiazdami łąki. Chwilami widzieliśmy przed sobą powóz. Mullard popędzał wtedy konie, ale to, co wyprzedzaliśmy, to były ciężkie, miejskie wozy. Ani śladu Alfonse'a czy Algernona. Pojawił się napis St. John's Wood. Okolica była wciąż zalesiona, ale pojawiały się już tu i ówdzie domy i jakieś budynki handlowe. Przy Grove End Road Mullard skręcił w lewo.

- Teraz niech pani wyteżę wzrok i szuka ulicy Abbey Road - powiedział. - To mniej niż pół mili stąd według naszej mapy.

- Wątpię, czy Algernon zajechałby pod samo wejście. Jego powóz musi stać gdzieś tutaj, na bocznej drodze albo wśród drzew.

- My też tak zrobimy. Pani ukryje się w powozie, a ja się przemknę i znajdę ten dom.

- Nie mogę zostać tu sama, Mullard! Ktoś może zwinąć szkapę. Z tobą będę bezpieczniejsza.

- Co to za język! - wykrzyknął naśladując papę, ale zgodził się, bym mu towarzyszyła.

Pojechaliśmy jeszcze kilkaset metrów, aż znaleźliśmy olbrzymi, rozłożysty wiąz, pod którym ustawiliśmy powóz, ukryty przed ciekawskimi. Stąd szliśmy pieszo. Ja ścisnęłam pogrzebacz, a Mullard gruby kij, który znalazł na drodze. Pojawiła się tabliczka z napisem Abbey Road, gdzie znów natrafiliśmy na problem. Stały przy nim dwa domy na dwóch rogach.

- Ciekawe, który to? - zastanawiał się Mullard.  
- Ten - powiedziała, wskazując na gipsowo-drewniany domek. - Jest za nim pusty plac. Jocko mówił, że startował stąd balon. Nie wystartowałyby ze środka lasu.

Przyglądaliśmy się z daleka, co się dzieje w domu. Na parterze od frontu było światło, natomiast tył i całe piętro tonęły w ciemności.

- Podkradniemy się i zajrzemy do okien - powiedziałam - ale musimy być ostrożni. Mogli postawić kogoś przed domem na straży.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedział Mullard.

Przybliżyliśmy się, ukryci się za drzewami, a Mullard rzucił kamieniem. Upadł na progu z dość głośnym stukiem. Nikt nie wyszedł z ukrycia, żeby sprawdzić. Rzucił jeszcze kilka, a kiedy upewniliśmy się, że z zewnątrz dom nie jest strzeżony, przyczołgaliśmy się bliżej. Zasłony były zaciągnięte i nie mogliśmy zobaczyć, co dzieje się w środku.

- Wydaje mi się, że dotarliśmy tutaj przed innymi - powiedział Mullard.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, skoro później wyruszyliśmy i jechaliśmy dość powoli. Muszą być wewnątrz. Tylko dlaczego jest tak cicho? Chyba że... - zakrztusiłam się ze strachu.

- Nie, panienko. Nie czas się teraz niepokoić. Wejdę do domu od tyłu.

- Przyłożmy najpierw ucho do drzwi.

Teraz, kiedy miało dojść do ostatecznej konfrontacji, czułam, że choć duch mój jest silny, ciało

- słabe. Odwaga, jakiej spodziewano się po córce duchownego, nie miała charakteru fizycznego. Najodważniejszym moim wyczynem było uratowanie Ginnie Simpson przed psem, który zaczynał się jej dobierać do nóg. Miałam wtedy dziesięć lat.

- Ciekawe, gdzie trzymają panią Clarke - zastanawiał się Mullard. - Pewnie zamkniętą gdzieś w pokoju na górze.

Myśląc o odwadze Anne i niebezpieczeństwie grożącym Algernonowi, zebrałam się w sobie i wczołgałam się po dwóch drewnianych schodkach. Już chciałam przyłożyć ucho, kiedy rozległ się straszny hałas. Nie był to wystrzał z pistoletu, lecz głuchy łoskot, jakby ciało uderzyło o ziemię.

Wyobraziłam sobie od razu, że to Algernona tak potraktowano. Zaraz nastąpił następny łomot, jakby łamanie krzesła.

- Musimy wejść, Mullard - powiedziałam, kładąc rękę na klamce. Nie ustąpiła. - Zamknijcie!

- Spróbuję od tyłu. Pani zostanie tutaj.

Poszłam za nim. Tylne drzwi nie były zamknięte. Niemożliwe, żebyje tak zostawili. Byłam pewna, że to Sharkey poradził sobie z zamkiem. Kiedy znaleźliśmy się w środku, odgłosy walki stały się wyraźne. Słysząc było głos kobiety, krzyczącej coś po francusku. Rozległ się strzał, po nim następny. Przebiegłam przez kuchnię do salonu i zobaczyłam, jak Algernon okłada pięściami Vivaldiego, a potargana blondyna, krzycząc, próbuje uderzyć Algernona dzbanem na wodę. Algernonowi nie groziło niebezpieczeństwo ze strony starszego, słabszego Vival-

diego. Rozejrzałam się i zrozumiałam, gdzie jest prawdziwe zagrożenie. Ciemnowłosa przystojny mężczyzna, zapewne Alfonse, wymierzył pistolet w walczących mężczyzn, czekając na okazję, by strzelić, nie raniąc Vivaldiego.

Kiedy zobaczyłam ten pistolet wymierzony w Algernona, opuścił mnie wszelki strach. Podbiegłam jak szalona, wymachując pogrzebaczem. Alfonse zauważył mnie i skierował we mnie broń. Wtedy zobaczyli mnie inni. Algernon wykrzyknął dziwnym, zdumionym głosem:

- Cathy!

Zapadła martwa cisza. Resztką manier Alfonse'a uratowała mi życie. Na ułamek sekundy zawahał się, czy strzelać do kobiety. To wystarczyło, żebym uderzyła go z całej siły pogrzebaczem w głowę. Wprawdzie nie upadł, ale na moment go zamroczyło. Mullard skoczył i wykręcił mu rękę do tyłu. Pistolet Alfonse'a upadł na ziemię.

- Coś do związania rąk temu bandycie - odezwał się Mullard.

Zerwałam Alfonse'owi krawat z trzymałam lufę przy jego ciele, gdy Mullard związywał mu rękę. Madame przeszła od krzyku do łez. Vivaldi opadł z sił. Rzucił wiązaną francuskich przekleństw, a Algernon popchnął go na krzesło i przywiązał koronkowym szalem madame. Jej nie związywali. Rzuciła się na Alfonse'a najpierw z pretensjami, później z płaczem, a następnie obsypała go pocałunkami.

- Gdzie Anne? - spytałam Algernona.

Patrzył na mnie, zdumiony i zaskoczony, wciąż nie wierząc własnym oczom.

- Skąd się tu wzięłaś? Co tu robisz?

- Później, Algernonie. Gdzie Anne?

- Sharkey i Butler poszli po nią na górę. Poszli obaj, bo nie mieliśmy pojęcia, ilu jej pilnuje. Mieliśmy nadzieję, że uda się ją wydostać, nim się ta banda zorientuje, że tu jesteśmy. Ja stałem na straży w kuchni, żeby ich zatrzymać, jeśli usłyszą i przyjdą nas powstrzymać. Alfonse chyba czatował na zewnątrz i zobaczył, jak wchodzimy.

- Jechał za tobą z Londynu.

- A, to wyjaśnia, dlaczego tu jesteś. Ale nie usprawiedliwia! Co, u diabła?...

Przerwało mu głośne tupanie po schodach. Był to Sharkey. Rozejrzał się dookoła i powiedział:

- Widzę, ludzie, że nie potrzebujecie mojej pomocy. Tam na górze leży jeszcze jeden związany. Zostawiłem go na łóżku, gdzie leżała Anne.

- Leżała! - wykrzyknęłam. - Sharkey, czy ona...

- Nieprzytomna od jakiegoś narkotyku. Butler znosi ją na dół. O, już jest. Czy mogę ci pomóc, Butler?

Butler schodził wolno, tuląc w ramionach swą ukochaną Anne. Lewe oko mu siniało i było opuchnięte, ale uśmiechał się czule.

- Oddycha. Chyba nic jej nie będzie - oświadczył. - Musimy ją natychmiast zawieźć do lekarza.

- Przyprawdzą powóz - zaoferował się Mullard i wyszedł.

Usadziliśmy Butlera i Anne na sofie i zbadałam ją. Jej twarz miała naturalny kolor. Oddychała równomiernie. Była nieprzytomna, więc nie mogliśmy dać jej wina.

- Może teraz mnie zechce - powiedział Butler nieśmiało. - Wprawdzie nie jestem bohaterem wojennym jak jej mąż, ale, do diabła, pójdę za nią w ogień.

- Na pewno pana działalność dzisiejszej nocy zrobi na niej wielkie wrażenie - zapewniłam.

Zostawiłam ich i poszłam do Algernona.

- Co zrobisz z tymi Francuzami? - spytałam.

- Jocko mówił coś o sprowadzeniu konstabla. Było to sprzeczne z jego zasadami, żeby dobrowolnie kontaktować się z przedstawicielami prawa, ale ponieważ konie, którymi jechał, nie były kradzione, więc się zgodził. Zawieź Anne do domu, Cathy. Zawieź ją do papy. Tam się nią zajmą.

- Nie, Algie. Ona chciałaby być z Jamie'em.

- Oczywiście, masz rację. Przyjadę do was jak najszybciej.

- Nic ci się nie stanie?

- Mówiłem pani, że go będę pilnował - włączył się Sharkey. - Niech pani pojedzie do domu i zaparzy wreszcie tę herbatę. Nie, do diabła, niech pani zapomni o herbacie. Trzeba otworzyć butelkę najlepszego wina pani ciotki,

- Nie mam żadnego wina, panie Sharkey.

- To lepsze jest w drugiej piwnicy, pod dremnem. Zostawiłem parę butelek - powiedział i zaśmiał się.

- Więc jednak ukradł pan moje wino!

- Tylko żartowałem, panno Irving. Czy ja mógłbym panią okraść?

- Dlaczego nie? Wszystkich pan okrada.

- Nie przyjaciół! A przecież jesteście kumplami. Uśmiechnęłam się lekko.

- Więc może pan odda wino?

- Za późno. Już sprzedane, ale mogę je dla pani odkupić po dobrej cenie.

Wkrótce pojawił się Mullard z powozem. Alge-  
rnon pomógł ułożyć Anne na siedzeniu, a Butler ją podtrzymawał. Nim wsiadłam, Algie powiedział do mnie:

- To było bardzo nieroztropne z twojej strony, Cathy, żeby tu przyjeżdżać. Dlaczego to zrobiłaś?

- A jak myślisz? - spytałam.

- Żeby uratować Anne?

- To też.

Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz satysfakcji, nawet triumfu. Ujął moje ręce i odsunął mnie trochę od powozu w ciemność.

- Próbowałem, ale nie mogę czekać do powrotu na Wild Street, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, Catherine - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. Przemknęło mi przez głowę, że i on, podobnie jak panna Thackery, w ważnych momentach używa mojego oficjalnego imienia.

Jego oczy błyszczały w ciemności jak dwa diamenty. Przybliżyły się do mnie i wpatrywały intensywnie, jakby chciał na zawsze zachować w pamięci mój obraz. Zamknęłam oczy i poczułam jego usta na swoich. Moje serce zatrzepotało jak skrzydła

ptaka, całe moje ciało zadrżało. Przycisnął jeszcze mocniej moje drżące usta, a trzepotanie w moim sercu przeszło w łomot.

Objął mnie mocno ramionami, a łomot przerodził się w odległe echo niebiańskich dzwonów. Po tym, jak zaryzykowałam życie, było zupełnie naturalne, że mogłam stracić i serce. Nie mogłam się już wycofać. Jego usta domagały się całkowitego oddania, obiecując w zamian to samo. Moje myśli wówczas nie były tak uporządkowane, jak to teraz przedstawiam, ale czułam w tym pocałunku nieuchronność czegoś „na zawsze”. To nie był po prostu flirt, jak wydawało się na początku.

Było mi ciepło i lekko, a miłość wypełniała mnie jak gorące powietrze w balonie, gotowym unieść się w niebo. Powstrzymały mnie przed tym chyba tylko ramiona Algernona. Powoli wypuścił mnie z uścisku. Dotknął lekko mojego policzka i znów moje ciało przeszedł niepokojący dreszcz.

Całował moje oczy, nos, policzki.

- Niedługo będziemy kontynuować to rozkoszne ćwiczenie - powiedział.

Wróciliśmy do powozu i ruszyliśmy na Wild Street. Algernon stał, odprowadzając was wzrokiem.



## Rozdział 18

Panna Thackery czekała na mnie przy drzwiach z przestraczem w jednym, a furią w drugim oku. Gdy znalazłam się bezpieczna w domu, jej zdenerwowanie wyraziło się, jak zwykle, w słownej reprimendzie.

- Co ty sobie wyobrażasz, Catherine, wybiegając nagle z domu w środku nocy? A Mullard jeszcze ci pomaga! Zawiadomię o tym twojego ojca.

- Przywieźliśmy Anne do domu, więc nie miej do mnie żalu - pocałowałam ją w policzek.

Spojrzała mi przez ramię, zauważyła Butlera niosącego Anne i wybiegła im na spotkanie.

- Czy wszystko w porządku? O Boże, wygląda jak śmierć! Co oni jej zrobili? A pan? Ma pan fioletowe oko!

Nieczęsto widywałam pannę Thackery tak bliską histerii.

- Trochę szarpaniny, ale nic mi nie dolega - zapewnił ją Butler.

Zaniósł Anne na górę do panny Lemon. Anne powoli budziła się. Położono ją do łóżka i Mullard poszedł po doktora. Zostawiłyśmy Butlera na gorze i zeszłyśmy, żebym mogła zdać pannie Thackery szczegółowe sprawozdanie z wydarzeń dzisiejszej nocy. Opowiedziałam, że przez znajomego Sharkeya Algernon odkrył, dokąd wywieziono Anne, i pospieszyli jej na ratunek. Młoda kobieta, która przyszła potem, ostrzegła mnie, że Alfonse szpiegował Algernona, więc kazałam Mullardowi ostrzec go. Tak, było trochę zamieszania, w czasie którego Butler został uderzony w oko, ale wkrótce przyjechał konstabl i wszystko już jest w porządku.

- Ufam, że pozostałaś w powozie, Catherine, i nie kręciłaś się wśród szpiegów i broni.

- Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo - zapewniłam ją. Wzięła to za potwierdzenie swojego założenia, że pozostałam w powozie.

- Mam tylko nadzieję, że twoje rozbijanie się po mieście w takim rozgardiaszu nie wzbudziło niechęci lorda Algernona do ciebie.

W tym momencie naszą rozmowę przerwało przybycie niesłychanie wytwornego dżentelmena w herbowym powozie z dwoma lokajami w liberjach. W jego twarzy i sylwetce zauważyłam podobieństwo do Algernona. Trzymał czarną torbę...

- Przepraszam, że przychodzę o takiej porze - po-

wiedział - ale muszę bardzo pilnie zobaczyć się z panem Algerem.

- Czy lord Dolman? - zaryzykowałam. Spojrzał na mnie zaskoczony. - Lord Algernon powinien wkrótce tu być. Sprawa... została pozytywnie załatwiona.

Widziałam, że nie chce rozmawiać, bojąc się, że zdradzi tajemnice państwowe. Aby go uspokoić, powiedziałam:

- Znamy całą sprawę, milordzie. Jeśli ta czarna torba zawiera pięć tysięcy funtów okupu, może pan ją zwrócić straży.

- Widzę, że mój syn był niedyskretny - powiedział ze złością. - Ponieważ wie pani o sprawach, o których nie powinna pani wiedzieć, może mi pani powie, czy znalazł panią Clarke.

- Jest na górze, w łóżku. Za chwilę powinien tu być lekarz. Nie przypuszczamy, żeby coś jej się stało, ale została czymś odurzona.

Pokiwał głową z zadowoleniem.

- Kiedy załatwiono tę sprawę? - spojrzał w kierunku panny Thackery, jakby nie chciał przy niej mówić.

Przedstawiłam ją. Zaproponowała herbatę, a Dolman przytaknął, pewnie, żeby się jej pozbyć. Zaprosiłam go do salonu. Obrzucił pokój uważnym wzrokiem, starając się nie okazywać niesmaku.

Powiedziałam:

- Profesor Vivaldi, Alfonse i madame Lalonde zostali zatrzymani. Alger, lord Algernon, uważa, że Vivaldi stoi na czele siatki szpiegowskiej-

Streściłam pokrótce wydarzenia dzisiejszej nocy, a lord Dolman był na tyle uprzejmy, że wysłuchał, nie przerywając mi. W miarę jak opowiadałam, jego rezerwa topniała.

- Na Boga, jest pani nadzwyczajną kobietą, panno... Jak, do licha, pani na imię? Nie powiedziała pani.

- Nazywam się panna Irving i jestem przyzwyczajona, że nazywa się mnie damą, milordzie - powiedziałam, a on się uśmiechnął. Wolałam to wyjaśnić, bo wydawało mi się, że Algernon wkrótce go poprosi o zgodę na nasze małżeństwo.

- Proszę mi wybaczyć, panno Irving. To z wrażenia po tylu wiadomościach. Co, do diabła, taka miła dziewczyna jak pani robi w tej norze?

- Właśnie ją odziedziczyłam po swojej ciotce.

- Ach, jest pani siostrzenicą Thal Cummings. Cudowna kobieta, hm, dama. I zamierza pani wynajmować dom, tak jak ciotka?

- Ponieważ zostałam wciągnięta w sprawy moich lokatorów, muszę przyznać, że żał byłoby mi sprzedawać dom i zostawić ich na bruku, bo trudno o przyzwoite a tanie mieszkanie.

- No właśnie, a poza tym chyba nie najgorszy dochód, jak sądzę?

- Lepszy niż w kasie oszczędnościowej - zgodziłam się.

Uśmiechnął się trochę jak pułkownik Jack i przysunął krzesło bliżej.

- Do licha, naprawdę mądrała z pani. I do tego ładna. Ale nie musi pani tu mieszkać, wynajmując

dom. Niech pani znajdzie gospodynię. Ja widziałbym panią w małym domku w Camden Town albo w mieszkanku na West Endzie...

Albo był bardzo spragniony, albo zapomniał, że czeka nas herbata, bo wstał, nalał dwa kieliszki brandy i podał mi jeden. Usiadł obok mnie na sofie. Poczułam się niewyraźnie, a kiedy objął mnie w pasie, nie miałam wątpliwości, co do jego intencji.

Wstałam gwałtownie i powiedziałam:

- Lordzie Dolman! Muszę panu powiedzieć, że lord Algernon...

- Uprzedził mnie, ten chytrusek? Mogłem się domyślić. I ani słowa staremu ojcu! Nie szkodzi, panno Irving. Może pani spokojnie siadać. Nigdy nie kłusuję na cudzym terenie, a zwłaszcza mojego syna.

Nie trzeba było wielkiej inteligencji, żeby zrozumieć, że wziął mnie za panienkę lekkich obyczajów. Nim zdołałam go wyprowadzić z błędu, przyszedł doktor i panna Thackery z herbatą. Chętnie się wyrwałam i zaprowadziłam doktora na górę, a panna Thackery podała herbatę. Siedziałam na górze jak najdłużej, bo nie wiedziałam, jak się zachować wobec lorda Dolmana. Nie chciałam z nim zadzierać, ale nie mogłam mu pozwolić na tak swobodne zachowanie.

Anne obudziła się i jej pierwsze słowa dotyczyły Jamie'ego. Butler siedział przy jej łóżku, trzymając ją za rękę, uśmiechnięty promiennie. Jamie spał w kołysce. Wszystko było w porządku. Nie zauważyłam nawet, którego pukla jej brakowało.

- Widzę, że nawet nie ma powodu pytać, czy się dobrze czujesz, Anne - powiedziałam.

Zapewniła mnie, że porywacze jej nie męczyli. Wydaje się, że obietnica okupu trzymała Alfonse'a w szachu. A najważniejsze, że widziała przez dziurkę od klucza angielskiego zdrajcę i może go zidentyfikować. Opisała go jako wysokiego dżentelmena, w średnim wieku, lekko łysiejącego.

Butler słuchał tego niecierpliwie. Miał inne nowiny do zakomunikowania. Widać to było po jego twarzy, ale po chwili powiedział:

- Anne zgodziła się za mnie wyjść, panno Irving. Chcemy wziąć ślub jak najprędzej. Będzie krucho z pieniędzmi teraz, kiedy ona jest bez pracy, ale będę pracował bez wytchnienia dla niej i dla Jamie'ego.

Przyszło mi w tym momencie do głowy, że mogłabym poprosić Anne, aby została gospodynią w moim domu. Jeśli Florie się pojawi, można by ją przyjąć do pomocy. Mary była tu tymczasowo, a Anne będzie potrzebowała kogoś, by zajmować się i domem, i dzieckiem.

Zaproponowałam im to. Wyraz szczęścia na jej twarzy był wystarczającą odpowiedzią.

- I mogę być w domu z Jamie'em! - powiedziała.

- Och, dziękuję, panno Irving.

Zostawiłam ich szczęśliwych i zeszłam na dół. Panna Thackery zapewne przekonała lorda Dolmana, że nie jesteśmy kobietami, za jakie nas brał. Rozmawiali o Radstock, parafii ojca i innych przyjemnych sprawach.

Było dobrze po północy, gdy lord Dolman powstał.

- Przetrzymałem panie niewybaczalnie długo. Coś widocznie zatrzymało Algernona. Proszę mu powiedzieć, że tu byłem. Oczekuję go jutro albo w domu, albo w urzędzie. Cieszę się, że mogłem panie poznać.

- Ukłonił się i wyszedł, patrząc na mnie zawstydzony. - Przepraszam, za... ehm... Proszę, bez urazy - mruknął przechodząc.

- Możemy nareszcie udać się na spoczynek, Cathy - powiedziała panna Thackery. - Jutro dowiemy się wszystkiego dokładnie od lorda Algernona. Jego ojciec jest bardzo miły, nieprawdaż? Wcale nie zarozumiały.

- Tak, bardzo miły - powiedziałam niepewnie.

Moja towarzyszka poszła spać, ale ja siedziałam jeszcze w salonie. Wiedziałam, że nie zasnę, póki Algernon z Sharkeyem nie wrócą. Wracałam myślami do całego minionego tygodnia i jego niezwykłych wydarzeń. Było ich więcej niż przez całe moje życie w Radstock. Poznałam uliczników i złodziejasków, którzy skradli moje rzeczy, poznałam policjanta, szpiegów, lordów - i trudno powiedzieć, co było gorsze. Miałam niedwuznaczne propozycje od pijanego pułkownika i wybitnego członka Izby Lordów. I widziałam więcej odwagi u młodej wdowy niż u nich wszystkich razem. A przede wszystkim znalazłam miłość.

W takim upojnym nastroju doszłam do wniosku, że pani Hennessey nie jest taka zła, jak myślałam. Tak jak wszyscy, starała się po prostu przeżyć z dnia na dzień. Nie było jej łatwo, skoro wy-

chowowała sama dwie córki. A i ojcu nie było lekko. Proboszcz potrzebuje żony. Panna Thackery i ja pomagałyśmy w działalności parafialnej, ale po pracy mężczyzna musi mieć kogoś, kto czeka w domu.

Musiałam zasnąć, bo nie słyszałam, jak Algernon wszedł. Gdy otworzyłam oczy, wpatrywał się we mnie tak tkliwie, że poczułam się cenniejsza od brylantów.

- Twój ojciec tu był, Algernonie - powiedziałam, otrząsając się ze snu.

- Byłem w domu. Opowiedział mi wszystko... i przepraszał - powiedział, powstrzymując uśmiešek.

Za łokciem Algernona pojawił się krokodyli uśmiech Sharkeya.

- Czy możecie, dwa gołąbki, powstrzymać się na chwilę, żebyśmy mogli oblać tę okazję? Dobra robota, panno Irving.

- Dziękuję, Sharkey, ale...

Wyciągnął zakurzoną butelkę wina, wydobytą pewnie spod szczap drewna. Nalał trzy kieliszki i wzniosł toast:

- Za mnie - powiedział. - Erica P. Sharkeya. Pierwszy raz naraziłem się na niebezpieczeństwo nie dla pieniędzy. Jestem bohaterem... albo głupcem.

- Uniósł swój kieliszek i opróżnił.

- Jesteś bohaterem, Sharkey. Zrobiłeś to dla Anglii - powiedziałam.



- Oczekuję nagrody - oświadczył, patrząc z nadzieją na Algernona. - Co Anglia zrobiła kiedykolwiek dla mnie? Nie było policji? - dodał zaraz.

Tym razem nie przeszył mnie dreszcz strachu.

- Nie. Co podwędziłeś, Sharkey?

- Podwędziłem? Nie jestem złodziejem. Jestem hurtownikiem. Ned miał podrzucić muślin i jedwab, które zwinął od Lalonde. Mam klienta w Cheapside, któremu je obiecałem.

- Nie przynoś mi tego do domu.

- Kazałem mu zostawić przy kuchennych drzwiach. Jest tam sztuka niebieskiego jedwabiu, panno Irving. Byłaby z tego śliczna suknia ślubna. - Zachichotał oblesnie i popatrzył na nas, jakby się spodziewał, że Algernon padnie zaraz na kolana i oświadczy się.

- A może dałbyś ten jedwab Anne? - zaproponowałam. - Ona i Butler wkrótce się pobiorą.

- Nareszcie zrobi z niej uczciwą kobietę.

- Jesteś niepoprawny! - zauważyłam i zarumieniłam się na myśl, że uważałam ją za kochankę Algernona.

- Sprzedam ten jedwab Butlerowi. - Syknął. - Po dobrej cenie! W sklepie zapłaciłby dwa razy tyle.

Algernon uśmiechnął się wyrozumiale.

- Może byś go teraz spytał? - zaproponował, by pozbyć się Sharkeya.

- Dobry pomysł. Jak zrobię to przy pani Clarke, będzie się wstydził targować.

Wyszedł, a ja opowiedziałam Algernonowi, że Anne jest skłonna zidentyfikować angielskiego zdraj-

cę. Po opisie sądząc, był to, zdaniem Algernona, Makepiece.

Usiedliśmy obok siebie na sofie. Ujął moją rękę i ścisnął.

- Papa mówił, że masz zamiar zatrzymać dom, Cathy.

- Tak, ale nie będę tu mieszkać.

- Będziesz szczęśliwsza na Grosvenor Square - powiedział, ciekaw mojej reakcji. - To propozycja małżeńska, moja droga. - Siedziałam, nic nie mówiąc, oszołomiona ze szczęścia. - Czy usłyszę tak?

- Och, tak! Oczywiście, tak.

Uczciliśmy nasze zaręczyny pocałunkiem, potem następnym. Nim skończyliśmy, odsunęłam się.

- Grosvenor Square? Myślałam, że mieszkasz na Berkeley Square?

- Mieszkałem, ale wygląda na to, że ojciec też jest tobą zauroczony...

- Myślał, że jestem panienką lekkich obyczajów, Algie!

- Skrzyczałem go za to, ale niezbyt głośno, bo sam w pierwszej chwili, gdy cię poznałem, popełniłem ten błąd.

- Jaki ojciec, taki syn.

- To dlatego, że mieszkasz w tym domu. Ponieważ nic cię już nie może zdziwić po tych przygodach, mogę ci powiedzieć prawdę. Twoja ciotka była papy... hm...

- Utrzymanką!

Gdy minął szok, zdałam sobie sprawę, że właściwie podejrzewałam Thalassę o to od jakiegoś czasu.

Te strojne suknie, mieszkanie w tej okolicy... Największą niespodzianką było to, że miała tak wysoko postawionego patrona.

- Właśnie. Dlatego papa wybrał ten dom, gdy zgłosiła się do nas panna Clarke. Mieszkała przedtem też w wynajętym mieszkaniu na skraju Long Acre. Stać by ją było na więcej, jak sędzę, ale uparła się, żeby oszczędzać na edukację Jamie'ego. Nie chciała zapłaty za swoje usługi. Niezwykłe, prawda? Czasami udawało mi się namówić ją na przyjęcie jakiegoś drobiazgu, którego potrzebowała.

Pomyślałam o szyfonierce i zegarku.

- Twoja ciotka miała na nią baczenie, no i oczywiście ja też, z pomocą panny Lemon i Sharkeya - ciągnął Algernon. - Śmierć twojej ciotki właśnie wtedy, kiedy sprawy doszły do najważniejszego momentu, była dla nas ciosem. Potem pojawiłaś się ty, nalegając, że sprzedasz dom. Oczywiście, trudno mieć o to do ciebie żal. To nie miejsce dla damy, żeby się zadawać z takimi kombinatorami jak Sharkey.

- Nie, nie pozwolę ci obrażać mojego domu i moich lokatorów. Uznałam, że są damami i dżentelmenami z natury. Chcę, żeby pozostali, tylko jak zacznę szukać następcy Vivaldiego, to będę bardziej wybredna.

- Potrzebna ci gospodyni.

- Już ją mam. Anne się zgodziła. Nada się doskonale i cieszy się, że nie będzie musiała zostawiać Jamie'ego wychodząc do pracy. Ulży im też finansowo, jak nie będą płacili czynszu.

- Wspaniały pomysł. Papa miał rację. Jesteś naprawdę nadzwyczajną kobietą. A... damą.

- Im prędzej się pobierzemy, tym lepiej. Kiedy będę lady Algernon, nikt nie będzie wątpił, że jestem damą.

- Zgadzam się w zupełności. A na razie cieszymy się, panno Irving.

Jego uścisk nie był zbyt dżentelmeński, ale panna Irving cieszyła się bardzo.